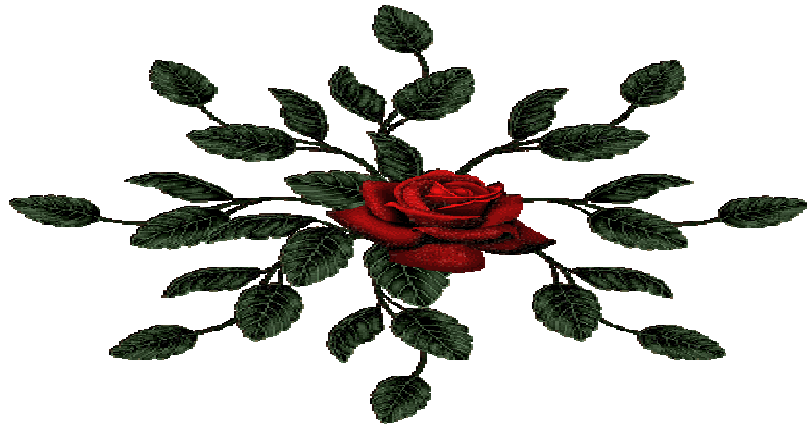




***CONNIE BENNETT***



***TORNADO***

---

## *Prolog*

To tornado - w porównaniu z innymi - nie było bardzo silne. Przeszło przez Dry Creek, nieduże miasteczko w Oklahomie, mniej więcej o północy, posuwając się z prędkością około trzydziestu kilometrów na godzinę, i pozostawiając za sobą kilkunastometrowej szerokości pas zniszczeń.

Na Main Street zrównało z ziemią sklep Riley'a i roztrzaskało wszystkie szyby w oknach banku handlowego. Na Elm zepchnęło z fundamentów dom Morrisonów, a nowy nabytek Gravera Smithersa, pikap marki Chevy, zważyło na środek warzywnika Myry Brick.

Na Sassafras wirująca trąba powietrzna kruszyła solidne mury, niszczyła linie wysokiego napięcia, wyrywała z korzeniami drzewa, zdzierała z domów dachy.

Wszystko to stało się tak nagle, że nikt nie miał czasu przygotować się, zabezpieczyć, poszukać schronienia. Kiedy w biurze szeryfa zorientowano się w sytuacji, natychmiast polecono włączyć mieszczącą się na budynku straży pożarnej syrenę alarmową, ale na niewiele to się zdało. Wprawdzie niektórych mieszkańców Dry Creek zbudził ogłuszający ryk zbliżającego się tornada i ci zdążyli w porę zbiec do piwnic, inni jednak błogo spali, nieświadomi, że za moment dosięgnie ich śmierć.

Pięć minut później było już po wszystkim. W tym krótkim czasie dwadzieścia siedem osób przeniosło się na tamten świat.

Nazajutrz rano zszokowani, zrozpaczeni mieszkańcy Dry Creek oszacowali szkody, po czym zakasali rękawy i wzięli się do pracy. Najpierw pochowali zmarłych, potem zaczęli usuwać skutki tornada. Starali się ocalić wszystko, co tylko było do uratowania. Niektórzy od razu przystąpili do remontu, inni poddali się i wyjechali z Dry Creek, zdecydowani znaleźć nowy dom w bezpiecznym miejscu, gdzie śmierć i zniszczenie nie zaskakują we śnie niewinnych ludzi.

Tej nocy jedni stracili więcej, drudzy mniej, ale nikt nie wyszedł bez szwanku. "Malutkie" tornado, które nawiedziło Dry Creek w Oklahomie, było jak zły duch: prześladowało jego mieszkańców do końca życia.

Lśniący błękit nieba ciągnął się bez końca nad nierówną, poznaczoną skałami i skąpą roślinnością kalifornijską pustynią. Wprawdzie tu i ówdzie widać było skłębione cumulusy, ale niemal całkowity brak wiatru sprawiał, że ich fantazyjne kształty długo pozostawały nie zmienione.

Na Górze Cieni cyrkulacja powietrza wyglądała jednak zupełnie inaczej. Po zderzeniu z pionową, dwustumetrową skałą leciusieńki, prawie niewyczuwalny powiew, który leniwie gładził piaszczyste dno pustyni, raptownie skręcał i nabierał prędkości; wysoko, nad brzegiem urwiska, hulał już prawdziwy wiatr.

Dla kogoś, kto w upalne popołudnie pragnie się chwilę ochłodzić, było to niemal wymarzone miejsce; dla lotniarza, który pragnie wzbić się w powietrze, było to miejsce niebezpieczne - a zatem dla kogoś takiego jak Teddi O'Brien nadawało się po prostu idealnie.

Trzymając w ręku przyrząd do mierzenia siły wiatru i kątem oka spoglądając na nierówny grunt pod nogami, szczupła kobieta powoli zbliżała się do przepaści. Mniej więcej dziesięć metrów od krawędzi urwiska wyczuła w powietrzu dużą turbulencję - tak zwane przez lotniarzy wiatry wirujące - ale nad samym urwiskiem prądy powietrza stały się bardziej przewidywalne; nadal były silne, lecz nie tak zmienne.

Wiatr targał kasztanowymi włosami kobiety, a także szeleścił cienkim, jaskrawoczerwonym kombinezonem, który miała na sobie, ona jednak nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Z właściwym sobie skupieniem starała się prześledzić w myślach swój skok ze skały oraz późniejszy lot. Próbowwała przewidzieć wszystko, co może ją zaskoczyć, i zastanowić się, w jaki sposób mogłaby zaradzić kłopotom.

Copper Bottom, gdzie znajdowało się lądowisko, dzieliło od Góry Cieni dobrych kilka kilometrów. Teddi O'Brien wiedziała, że zanim tam dotrze, musi przelecieć nad dwoma potencjalnie groźnymi grzbietami górskimi. Musi również wykonać niebezpieczny obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, a następnie wylądować w oznaczonym miejscu w wyschniętym korycie rzeki. Przez cały czas jej zmagania będzie śledził doświadczony instruktor.

Jeżeli zdoła osiągnąć to, co sobie zaplanowała, zdobędzie odznakę lotniarza piątej klasy. Jeżeli zaś nie... No cóż, wtedy albo naje się wstydu, albo z połamanymi kośćmi trafi do szpitala, albo zginie śmiercią tragiczną.

Jednak ryzyko nigdy jej nie odstraszało, wprost przeciwnie - było podniętą. Reżyserując filmy dokumentalne, Teddi często igrała ze śmiercią; zawsze odczuwała przy tym dreszcz emocji i ogromną przyjemność. W porównaniu z innymi rzeczami, jakie robiła w swoim trzydziestosześcioletnim życiu, szybowanie na lotni było zajęciem tak spokojnym jak kołysanie się na fotelu bujanym.

Szybowała od lat, ale dopiero niedawno na poważnie zajęła się tą dyscypliną sportu. Postanowiła podszkolić się u światowej sławy

instruktora lotniarstwa, Duke'a Ostermana, który po pierwszej lekcji oznajmił, że albo niech Teddi poskromi swe impulsywne zapędy i zastosuje się do wymogów bezpieczeństwa, albo niech w ogóle zrezygnuje z latania.

Metody Duke'a okazały się skuteczne. Teraz Teddi była gotowa wykonać niebezpieczny skok z dwustumetrowej, wietrznej skały.

- Teddi! Tata jest już na miejscu!

Gwałtowny podmuch wiatru porwał słowa tak szybko, że Teddi ledwo zdołała je usłyszeć. Cofnąwszy się z przerażenia, kobieta wróciła pośpiesznie tam, gdzie czekał Carl, dwudziestopięcioletni syn, a zarazem wspólnik Duke'a Ostermana. W ciągu ostatniego roku obydwaj służyli jej radą i pomocą, dzięki temu wszyscy troje serdecznie się zaprzyjaźnili.

- Tata oznakował lądowisko - rzekł Carl, wyciągając w jej stronę krótkofalówkę. - Chce z tobą pogadać.

- Dzięki, Carl. - Schowała przyrząd mierzący siłę wiatru do zapinanej na suwak kieszeni kombinezonu, po czym wzięła od chłopaka słuchawkę i wcisnęła umieszczony z boku przycisk. - Duke? Tu Teddi. Co u ciebie? Wszystko gotowe?

Zwolniła przycisk. Przez chwilę w słuchawce słychać było trzaski, potem rozległ się męski głos:

- Tak, moja śliczna, wszystko gotowe. A u ciebie? Co z wiatrem?

Teddi zerknęła przez ramię w kierunku urwiska; wyobraziła sobie wirujące prądy powietrza.

- Jest, jaki jest. Już się nie zmieni.

- Bardzo się denerwujesz?

Roześmiała się podniecona i puściła oko do Carla.

- Kto? Ja?

- Tak, ty - odparł Duke. - Psiakość, kiedy wreszcie zrozumiesz, że odrobina strachu dobrze robi na zdrowie?

Głos instruktora był gniewny, ale Teddi wiedziała z doświadczenia, że Duke uśmiecha się od ucha do ucha.

- Dla zdrowia, mój drogi, to ja łykam witaminy. A latam dla przyjemności. I nie widzę najmniejszego powodu, żeby robić w gacie ze strachu i psuć sobie zabawę.

- Co za wspaniała sentencja - oznajmił ironicznie Duke. - Każę ją wyryć na twoim nagrobku.

- Bywają gorsze epitafia.

Znow rozległy się trzaski, a po chwili doleciał Teddi rechot instruktora.

- Jesteś niepoprawną wariatką!

- A ty męczysz duszą! No, bierzmy się do roboty. Chcę zdobyć tę cholerną odznakę, żebyśmy mogła filmować latem waszą wyprawę. Potrzebuję pracy. A może już o tym zapomniałeś, co?

Wyobraziła sobie, jak Duke kręci ze zniecierpliwieniem głową.

- Przestań się zamartwiać, słyszysz! - skarcił ją ostrym tonem. - Jesteś jednym z najlepszych fachowców w swojej dziedzinie! Całą półkę nad kominkiem masz zastawioną trofeami! Ręczę ci, że zanim miesiąc dobiegnie końca, dostaniesz jakąś ciekawą propozycję. A teraz masz myśleć wyłącznie, powtarzam: wyłącznie o lotni i warunkach atmosferycznych, zwłaszcza o sile wiatru. Jeszcze ani razu

w mojej karierze instruktorskiej nie straciłem studenta i nie zamierzam pozwolić, żebyś ty była pierwsza. Więc skup się, do cholery!

- Tak jest, szefie! - odparła, wybuchając śmiechem.

Duke Osterman miał rację; niepotrzebnie się dręczy. Prędzej czy później na pewno dostanie kolejne zlecenie. Nigdy długo nie była bez pracy, choć czasem zdarzało się, że w ostatniej chwili wszystkie plany brały w łeb. Tak właśnie było tym razem: gdyby nie koszmarna biurokracja i konieczność zdobycia najróżniejszych zezwoleń, to zamiast latać na lotni w południowej Kalifornii, kręciłaby teraz film dokumentalny o dzikich zwierzętach żyjących na nie zamieszkanym obszarach Rosji.

Wciąż nie mogła pogodzić się z faktem, że wyprawa filmowa nie doszła do skutku; bądź co bądź ostatnie pół roku życia poświęciła na drobiazgowo przygotowania. Jednak w głębi duszy wiedziała że wkrótce otrzyma jakieś nowe zlecenie, a nawet jeżeli w najbliższym czasie nic ciekawego nie wypali, to ma mnóstwo własnych pomysłów, które tylko czekają, na realizację.

Dlatego, między innymi, chciała podszkolić się w szybowaniu. Tego lata Duke planował zorganizować wyścig przełajowy na lotniach i Teddi uznała, że woli sfilmować zawody z powietrza, jako uczestnik wyścigu, niż z ziemi, jako obserwator. Żeby móc filmować z powietrza, musiała udoskonalić swoje umiejętności. Co też zrobiła. Jeżeli więc wszystko dobrze pójdzie, pod koniec tygodnia otrzyma upragnioną odznakę.



Tymczasem jednak rozpaczliwie potrzebowała jakiegoś zajęcia. Nie cierpiała beczynności. Nienawidziła czekania, ponieważ miała wtedy za dużo czasu na myślenie. Tak, stanowczo musi wypełnić pracą najbliższe pół roku, bo inaczej zwariuje.

Ale Duke ma rację; nie powinna teraz myśleć o niczym poza lotnią i wiatrem. W końcu po to zatrudniała agenta; niech Larry Harkins szuka dla niej filmu do nakręcenia, ona zaś skupi się nad zadaniem, które za moment musi wykonać.

- Spokojna głowa, Duke - powiedziała do instruktora. - Jestem skoncentrowana wyłącznie na locie. Za chwilę pójde sprawdzic, czy wszystko jest na swoim miejscu, potem Carl pomoze mi ze skokiem. Myśle, ze za jakies dziesiec minut powinienam byc juz w drodze.

- Dobra, bede cie wypatrywal. Powodzenia, Teddi.

- Dzieki, przyjacielu. - Przekazala Carlowi krótkofalówkę.. - Gotów? - spytala go.

- Tak.

- Nie tracmy wiec czasu.

Sięgnęła po kask i wsunęła go na głowę, zakrywając uczesane w warkocz, gęste włosy. Następnie starannie, centymetr po centymetrze, sprawdziła lotnię. Przesuwając ręce po prętach, upewniła się, czy nic się nie oblużowało, po czym obejrzała czerwono-złote, nylonowe skrzydła, szukając w nich jakiegoś pęknięcia lub rozdarcia. Na końcu dokładnie skontrolowała uprząż, każdy sworzeń, śrubę, linę, klamrę i ściągacz.

Dopiero kiedy przekonała się, że wszystko działa sprawnie, włożyła gogle i wsunęła się pod skrzydła. Zająwszy miejsce, zapięła pasy i przyjęła pozycję startową.

Kiedy oparła na ramionach drążek kontrolny i dźwignęła lotnię, Carl nie wykonał najmniejszego gestu, żeby jej pomóc. Na skutek porywistego wiatru, który walił w skrzydła, niełatwo było przenieść lotnię na skraj przepaści, ale Teddi nie oczekiwała pomocy. Jeżeli stojąc na ziemi lotniarz nie potrafił zapanować nad swym sprzętem, należy się spodziewać, że nie zapanuje nad nim, kiedy znajdzie się w powietrzu.

Carl szedł obok Teddi; dopiero gdy od przepaści dzieliły ją trzy metry, stanął, odwrócił się tyłem do urwiska i chwycił liny z przodu lotni.

Powoli zbliżali się do krawędzi. Carl z całej siły ciągnął za liny, żeby skierowane ku górze porywy wiatru nie przewróciły lotni. Gdy doszedł najdalej jak to było możliwe, zerknął na swoją uczennicę.

- Gotowa?

Teddi wzięła głęboki oddech i skinęła głową.

- A ty?

- Ja też.

Rozciągający się w dole pustynny krajobraz skrzył się w słońcu, niebo zaś wzywało...

- Dobra! Teraz! - krzyknęła i wyteżając wszystkie siły, rzuciła się ku przepaści.

Carl puścił liny. Ziemia umknęła Teddi spod nóg. Silny wiatr wstępujący natychmiast uderzył w czerwono-złote skrzydła i po paru

sekundach lotnia zaczęła nabierać wysokości. Wyprostowana, ze stopami opartymi o podnózek, Teddi unosiła się coraz wyżej i wyżej, aż wiatr się uspokoił i zaczęła leniwie szybować w powietrzu.

Dla Teddi latanie stanowiło możliwość ucieczki przed rzeczywistością. Szybując w powietrzu, była wolna, pozbawiona jakichkolwiek trosk, zmartwień i zobowiązań. Żyła wyłącznie chwilą obecną. Nie myślała o przyszłości ani - co ważniejsze - o przeszłości. W dodatku dzisiejszy lot był próbą, sprawdzianem odwagi, badaniem granic śmiertelności.

Prądy powietrza zmieniały się, czasem nieznacznie, czasem gwałtownie, ona zaś starała się dostosować do sytuacji, i albo spokojnie przeczekać, gdy wiatr wiał w złą stronę, albo skorzystać z podmuchów, gdy ich siła oraz kierunek były jej na rękę.

Przy pierwszym grzbiecie górskim wiatr wstępujący wzniosł ją z powrotem na większą wysokość. Kiedy zbliżała się do drugiego grzbietu, zobaczyła sokoła o czerwonych piórach w ogonie; ptak, zaintrygowany dziwnym stworem, który wtargnął na jego teren łowiecki, podleciał blisko, żeby przyjrzeć się intruzowi.

Teddi uśmiechnęła się zachwycona; czuła się równie wolna jak ów skrzydlaty drapieżnik, który mknął koło niej. Po chwili ptaszysko zatrzepotało skrzydłami i zniknęło jej z oczu.

Zawiedziona, przeniosła spojrzenie na wyschnięte koryto rzeki, które stopniowo ukazywało się w jej polu widzenia. Mniej więcej półtora kilometra przed sobą dostrzegła ogromne koło, które Duke przygotował, oznaczające miejsce lądowania. Na prawo od lądowiska, tuż nad brzegiem wyschniętej rzeki, stała furgonetka Ostermana. Z

wysokości, na której Teddi się znajdowała, pojazd wyglądał jak mała niebieska plama. Nieopodal lśniła w słońcu druga plama. Ciekawe, pomyślała Teddi, kto jeszcze w tak piękny wiosenny dzień wybrał się na przejażdżkę do Copper Bottom?

Wychodząc z założenia, że przecież wkrótce pozna odpowiedź, poskromiła ciekawość i skupiła się na locie. Przebyła już ponad trzy kilometry. Traciła wysokość. Ażeby wykonać obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni i lądując trafić w wyznaczony cel, powinna być co najmniej trzysta trzydzieści, lepiej trzysta pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Postanowiła skrócić w bok ku najbliższej „windzie” - potężnej chmurze pierzastej powstałej na skutek ciepłych wstępujących prądów powietrza.

Bacząc na siłę i najmniejsze zmiany kierunku wiatru, powoli zbliżyła się do krawędzi prądu wstępującego. Gdy ją przekroczyła, wiatr - niczym lalkarz ciągnący za sznurki delikatną marionetkę - zaczął ją szybko wznosić ku podstawie chmury. Napinając mięśnie, Teddi z trudem utrzymywała lotnię we właściwej pozycji. Wreszcie, osiągnąwszy pożądaną wysokość, umknęła w bok i skierowała się ku wyznaczonemu w korycie rzeki lądowisku.

Rozpromieniona, poszybowała nad przygotowanym przez Duke'a celem, po czym przystąpiła do kolejnej czynności: zataczania ciasnego łuku. Natychmiast zaczęła tracić wysokość - w tempie, które byłoby zatrważające, gdyby się tego nie spodziewała. Kątem oka spostrzegła trzy osoby czekające przy pojazdach, ale nie zwracała na nie uwagi. Schodzenie do lądowania stanowi najbardziej niebezpieczną część lotu i wyłącznie na tym była skoncentrowana.

Pierwsze ćwierć obrotu poszło gładko, ale gdy zaczęła wchodzić w drugą ćwiartkę, nagle wpadła w dziurę powietrzną. Lotnia gwałtownie się przechyliła. Balansując odpowiednio ciałem, Teddi zaczęła poprawiać kąt nachylenia skrzydeł, zanim jednak zakończyła manewr, od tyłu uderzył w nią silny poziomy podmuch; lotnia znów się przekrzywiła, tym razem nosem w dół.

Nylonowe płaty i metalowe drążki nagle zamieniły się w śmiertelną pułapkę. Przed grawitacją nie było ucieczki. Ziemia zbliżała się w zastraszającym tempie.

Serce waliło Teddi jak młotem; czuła niesamowity przypływ adrenaliny, ale nawet nie przyszło jej do głowy, by panikować. Spoglądając w dół, pomyślała sobie, jak przewrotny bywa los. Wyznaczone przez Duke'a miejsce do lądowania znajduje się bezpośrednio pod nią. Jeżeli nie zdoła powstrzymać upadku i rozbije się na miazgę, przynajmniej trafi prosto w cel.

Ale oczywiście nie miała zamiaru się rozbijać. W ogóle nie dopuszczała do siebie takiej możliwości. Już nieraz była w niebezpieczeństwie, nieraz igrała ze śmiercią, prowokowała ją, rzucała jej wyzwania, po czym jak gdyby nigdy nic radośnie jej umykała. Dziś też umknie, była o tym święcie przekonana.

Górze wzięły wiedza, instynkt i doświadczenie, a zastrzyk adrenaliny pozwolił Teddi ze zdwojoną siłą naprzec na drążek kontrolny. Usiłując choć trochę podnieść nos lotni, opuściła nogi. Nagła zmiana pozycji sprawiła, że ogon raptownie przechylił się w dół.

- O tak! - zawołała ochryple Teddi, słysząc, jak skrzydła zaczynają furkotać. - Jeszcze trochę! Powolutku! Jeszcze trochę!

Lotnia kołysała się na wszystkie strony w sposób niemożliwy do przewidzenia i opanowania, Teddi zaś cały czas balansowała swoim ciałem, napierając na drążek i czekając, aż skrzydła złapią wiatr i posłużą jej za spadochron. Wreszcie tak się stało.

Wiedziała, że nie wyląduje ładnie i czysto, ale przynajmniej zakończy lot w jednym kawałku. Jeżeli Wielki Żniwiarz miał na nią zakusy, jeżeli przyszedł odebrać dług, który u niego zaciągnęła, to zjawił się nie w porę! Znow go wykiwała!

Krew tak mocno dudniła jej w skroniach, że Teddi ledwo zdawała sobie sprawę z obecności trzech mężczyzn w dole. Po chwili poczuła grunt pod nogami. Lotnia przechyliła się, uderzyła nosem w ziemię. Teddi czym prędzej odpięła uprząż, wyprostowała metalowy szkielet i wyskoczyła spod barwnych skrzydeł.

Z radosnym okrzykiem ściągnęła z głowy kask i pomknęła na drugi brzeg wyschniętego koryta rzeki, żeby rzucić się w objęcia swego instruktora. Duke Osterman porwał ją w ramiona i zaczął obracać nią w powietrzu.

- Widziałeś? - spytała przejęta. - Widziałeś? Chryste, to było wspaniałe! Co za niesamowite przeżycie!

- Jesteś fantastyczna - rzekł mężczyzna. Odsunąwszy ciemną, krzaczastą brodę od jej policzka uśmiechnął się szeroko, po czym postawił Teddi z powrotem na ziemi. - Bałem się, że za długo zwlekasz, że jeszcze chwila i będzie po tobie, ale powinienem był wiedzieć, że dasz sobie radę.

- I dałam. Tylko że nie trafiłam w cel.

- Do diabła z celem! - Duke ponownie uściśnął Teddi. - Na palcach jednej ręki można by zliczyć lotniarzy, którzy wy-szliby cało z takiej opresji.

- Dobra, dobra, ale nie wykonałam pełnego obrotu i odznaki jak nie miałam, tak nie mam. Załadujmy sprzęt na furgonetkę i spróbuję jeszcze raz.

- Czyś ty zwariowała?

Teddi obróciła się i ujrzała swojego agenta, Larry'ego Harkinsa, który stał tuż obok i szarpał ją za łokieć. Mężczyzna trząśniętym głosem z denerwowania; najwyraźniej widok ulubionej klientki, która spada z nieba na łeb na szyję, wytrącił go z równowagi.

- Do jasnej cholery, co ty sobie myślisz? Śmierci ci się zachciewa? Nawet nie wiesz, jak mnie te twoje akrobacje wystraszyły! Nie pozwolę ci na żadne loty! Słyszysz? Po moim trupie, dziecino, po moim trupie!

Teddi była w stanie euforii; miała ochotę ruszyć na podbój świata. Nawet zrzędlawy Larry nie potrafił zepsuć jej nastroju.

- Co tu robisz, Larry? - spytała podniecona. - Widziałeś, jak lądowałam? Prawda, że to było piękne?

- Nie piękne, tylko przerażające. Rany boskie, Teddi, mogłaś zginąć!

Teddi uściśnęła swego agenta. Oczy jej lśniły.

- Ja? Chyba coś ci się pomyliło. Ja jestem niezniszczalna - oznajmiła ze śmiechem.

Larry Harkins nie dał się udobruchać.

- Nikt nie jest niezniszczalny. Nawet ty - rzekł grobowym tonem.

- Och, nie bądź takim zrzędą - zbeształa go żartem. - Swoją drogą, co tu robisz? Przyjechałeś obejrzeć moje podniebne akrobacje?

- Co to, to nie. Przywiozłem potencjalnego klienta, który chce omówić z tobą pewien projekt.

Teddi sądziła, że po emocjach związanych z lotem nic nie zdoła wywołać w niej uczucia jeszcze większej euforii, ale myliła się.

- Boże, to cudownie! Wspaniale! To chyba mój szczęśliwy dzień.

Duke poklepał ją po ramieniu, rechocząc cicho pod nosem.

- Widzisz? Mówiłem, żebyś się nie martwiła, bo wkrótce coś wypali, prawda? No i Larry zjawił się tuż po naszej rozmowie. Hm, nie wiedziałem, że jestem jasnowidzem...

- I w dodatku cudotwórcą - dodała ze śmiechem Teddi, po czym tryskając coraz lepszym humorem, zwróciła się do Larry'ego: - Jaki to projekt?

Larry patrzył na nią z grymasem.

- Nie podniecaj się tak, dziecino. Podejrzewam, że tym swoim kretyńskim lotem wystraszyłaś nam klienta. Pewnie facet jest już w połowie drogi do Los Angeles.

- Wcale nie - powiedziała Teddi, widząc zbliżającą się postać.

Podniosła rękę do czoła żeby słońce nie raziło jej w oczy, i przyjrzała się obcemu. Spodobało jej się to, co zobaczyła. Mężczyzna był wysoki, atletycznie zbudowany, choć nie nadmiernie umięśniony, o lekko potarganych ciemnoblond włosach, silnie zarysowanych



kościach policzkowych oraz prostych, niemal zrosniętych brwiach, które nadawały jego spojrzeniu tajemniczy wyraz.

W skali od jednego do dziesięciu Teddi przyznała obcemu dziewięć z plusem. Jednak największe wrażenie zrobił na niej jego niesamowity uśmiech. Może Larry Harkins nie pochwalał jej podniebnych wyczynów na lotni, ale obcy wyraźnie nie podzielał jego zdania. Rzadko się zdarzało, żeby poznając jakiegoś mężczyznę, Teddi zastanawiała się nad jego stanem cywilnym, lecz tym razem nie mogła się oprzeć i zerknęła na dłoń swego potencjalnego zleceniodawcy. To, że nie miał obrączki, o niczym nie świadczyło, ale zdecydowanie przechylało szalę na jej korzyść.

- Dzień dobry - powiedziała, wychodząc parę kroków naprzeciw mężczyźnie. - Larry twierdzi, że przeze mnie najadł się pan strachu.

Matt Abernathy wciąż nie był w stanie zebrać myśli. Ten czterdziestojednoletni meteorolog z Oklahomy od dawna z nadzieją i niecierpliwością czekał na spotkanie ze słynną T.D. O'Brien, ale to, czego przed chwilą był świadkiem, całkowicie go zaskoczyło. Znał opinię o Teddi, wiedział, że uchodzi za osobę odważną, nie stroniącą przed ryzykiem; filmy, które kręciła, stanowiły najlepszy tego dowód. Lecz jadąc tu rano z jej agentem, nie spodziewał się takich zapierających dech powietrznych akrobacji. Widok Teddi O'Brien wdzięcznie szybującej na lotni, a potem jej dramatyczna walka o przetrwanie, na zawsze wryły mu się w pamięć.

Podobnie jak uśmiech, którym go teraz obdarzyła. Uśmiech tak promienny, tak olśniewający, że pod jego wpływem jej twarz rozblęła wprost nieziemskim pięknem. Kasztanowe kosmyki, które

wysunęły się z długiego warkocza, opadały swobodnie na czoło, ona zaś sama tryskała niesamowitą energią.

Dopiero po chwili Matt wydobył z siebie głos.

- To prawda. Serce zamarło mi ze strachu, a teraz tłucze się jak szalone. Muszę przyznać, że mało która kobieta miewa tak dramatyczne wejścia.

- To moja specjalność - oznajmiła Teddi, usiłując przybrać wyniosły ton, po czym wyciągnęła na powitanie rękę. - T.D. O'Brien do usług. Proszę mówić mi Teddi.

- Matt Abernathy - przedstawił się mężczyzna.

Kiedy ujął jej dłoń, ku swemu zdumieniu poczuł dziwny dreszcz podniecenia.

- Miło mi cię poznać, Matt. Larry twierdzi, że masz dla mnie jakieś zlecenie.

- Tak, ale może chciałabyś złapać oddech i chwilę odpocząć, zanim przejdziemy do interesów?

Spoglądał na nią, urzeczony iskierkami w jej oczach. Chyba jeszcze żadna kobieta nie miała na niego takiego wpływu. Nie sądził, aby można to było przypisać wyłącznie niezwyklej odwadze Teddi i jej podniebnym popisom. Boże, ależ ona jest piękna!

- Interesy mogę omawiać zawsze i wszędzie. Witam w moim gabinecie - rzekła, zataczając ręką łuk, który obejmował całą pustynną dolinę oraz wznoszące się w oddali góry. - Niestety, brak tu krzeseł...

- Nie szkodzi - odparł lekkim tonem. - Zresztą wciąż jestem zbyt zdenerwowany, żeby siedzieć w jednym miejscu.

Teddi mrugnęła do swojego agenta który pośpiesznie do nich dołączył.

- Znając Larry'ego, domyślam się, że omówił z tobą różne kwestie natury praktycznej. No i nie ciągnąłby cię taki kawał drogi, gdyby podejrzewał, że projekt może mi nie odpowiadać. Więc mów: kiedy mam zacząć?

Mattowi spodobało się jej podejście. Nie spytała: jaka to robota? Ani: ile zarobię? Interesowało ją wyłącznie, kiedy może przystąpić do pracy. Tak, bardzo się to Mattowi spodobało, a jej z kolei spodobał się uśmiech, który rozjaśnił jego twarz.

- Obawiam się, że prawie natychmiast. Będziesz mi potrzebna pod koniec tygodnia.

- W porządku, to żaden problem. Z ilu kamer będziemy filmować? Chodzi mi o to, czy mam montować ekipę?

- Z dwóch, a ekipa jest już gotowa - wtrącił się do rozmowy Larry. - Bryce Lowell i Griff Vandover.

Teddi знаła ich obu i obu wysoko ceniła. Nieraz wspólnie pracowali i prawdę mówiąc, stanowili razem doskonały zespół. Jednak zamiast się ucieszyć, zmarszczyła czoło, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć.

- Hm, wydawało mi się, że Bryce z Griffem mają kręcić coś, co Patrick Dennison reżyseruje.

- Zgadza się. Patrick przez ostatnie pół roku współpracował z Mattem, przygotowując się do filmu, który Matt u niego zamówił. Ale wczoraj rano miał wypadek samochodowy. Nic mu się nie stało,

jedynie roztrzaskał sobie nogą. Więc na jakiś czas będzie wyłączony z gry.

- Biedak - powiedziała z autentyczną troską w głosie. Lubiła Dennisona i nie chciała jego kosztem posuwać naprzód własnej kariery. Miała jednak świadomość, że los bywa kapryśny i nigdy nie wiadomo, czym nas zaskoczy. Marszcząc czoło, popatrzyła na Matta.

- Czyli robię za deskę ratunkową, tak? - spytała żartem.

- Wolałabym, żeby na mnie pierwszą padł twój wybór. Nie wiem, jak taką hańbę zniesie moje wybujałe ego.

- Może pocieszy je wiadomość, że od samego początku marzyłem o tobie - oznajmił równie lekkim tonem Matt.

- Kiedy przyszedł mi do głowy pomysł filmu, obejrzałem dzieła wielu dokumentalistów i stałem się twoim gorącym wielbicielem.

- To miło, dziękuję. - Teddi zaśmiała się, po czym spojrzała karcącym wzrokiem na swojego agenta. - Jeżeli to prawda, Lany, dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz?

- Bo kiedy Matt zgłosił się do mnie jakieś pół roku temu, byłaś zajęta przygotowaniem do filmu o dzikich zwierzętach. Tym, który zamierzaliście kręcić w Rosji.

- Tak. Nawet nie wiesz, jaki byłem zawiedziony, że masz wcześniejsze zobowiązania - wtrącił Matt.

- No dobrze, kamień spadł mi z serca - oświadczyła Teddi, szczerząc w uśmiechu zęby. - Ale zdajesz sobie sprawę, że Patrick i ja pracujemy w odmienny sposób? On woli kierować pracą kamerzystów, ja tymczasem lubię sama stać za kamerą.

- Nie robi mi to żadnej różnicy. Obejrzałem mnóstwo wyreżyserowanych przez ciebie dokumentów i wiem, że ze wszystkim sobie poradzisz.

- Dzięki za zaufanie. A teraz zdradź mi szczegóły: gdzie mam jechać, co kręcić...

Właśnie tego się Mart spodziewał: rzeczowości, entuzjazmu, poświęcenia. Od samego początku podejrzewał, że Teddi O'Brien to wymarzona osoba do jego filmu. Nawet wtedy, gdy musiał zgodzić się na Patricka Dennisona podejrzewał, że Teddi bardziej by się do tego nadawała.

Teraz nie miał już najmniejszych wątpliwości. Tylko ktoś, kto szybując na lotni, zaczyna nagle spadać jak kamień, a po wylądowaniu śmieje się zachwycony przygodą, którą przeżył, potrafi zrozumieć frajdę i przyjemność, jaką on, Matt, czerpie ze swojej dziwnej, niebezpiecznej, lecz fascynującej pracy.

- Gdzie masz jechać? Do Oklahomy. Na dwa miesiące -rzekł.

Teddi wciągnęła gwałtownie powietrze. Tam się urodziła i tam dojrzewiała. Od dwudziestu lat starała się stłumić w sobie związane z tym emocje, nie myśleć o dawnych dziejach. Wprawdzie na dźwięk słowa Oklahoma poczuła bolesne klucie, ale zignorowała je.

Oklahoma to po prostu stan, upomniała się w myślach; taki sam stan jak wszystkie inne.

- Do Oklahomy, powiadasz? Co, będziemy kręcić film o rodeo?

- spytała z nadzieją w głosie, mierząc Matta wzrokiem. Naprawdę bardzo się jej podobał. - To śmieszne, bo wcale nie wyglądasz mi na kowboja.

Mężczyzna rozciągnął usta w uśmiechu; bawiło go jej kokieteryjne spojrzenie, ale wiedział, że nic się za nim nie kryje. Owszem, Teddi była podniecona - ale wyłącznie swym szalonym, podniebnym lotem.

- Nie? Może dlatego, że znam się na koniach tak jak sroka na medycynie. Jestem meteorologiem.

Teddi ryknęła śmiechem.

- Serio? Nic nie mów, już wiem! Wreszcie ty i twoi koledzy odkryliście, jak można bezbłędnie przewidywać pogodę i chcecie, żebym zarejestrowała wasze genialne poczynania na taśmie filmowej. Zgadłam?

- Nie całkiem. Prognozowaniem pogody zajmują się inni. Ja pracuję w Ośrodku Badań nad Tornadami, który ma siedzibę w Turner w stanie Oklahoma. Chcemy, żebyś nakręciła film o łowcach tornad.

Ośrodek Badań nad Tornadami? Słyszając to, Teddi poczuła się tak, jakby zwała się na nią tona kamieni. Nie miała czym oddychać, wszystko jej wirowało przed oczami. Dopiero po dłuższej chwili wydobyła z siebie głos.

- Film o łowcach tornad? - spytała.

Mówiła bardziej do siebie niż do Matta, ale on nie zwrócił na to uwagi.

- Tak. Przewodzę grupie naukowców, którzy przez dwa miesiące w roku polują na tornada. Chcemy, żebyś nakręciła film o naszej pracy.

O pracy naukowców, którzy polują na tornada? Nie była pewną czy się nie przesłyszała. Czy ten przystojny, uśmiechnięty kretyn

naprawdę liczy na to, że ona, Teddi O'Brien, będzie z grupą podobnych mu idiotów uganiała się za tornadami? Pomysł był tak niedorzeczny, że parsknęła śmiechem.

- Chyba żartujesz - rzekła, czując, jak wnętrzności skręcają się jej ze strachu.

Jej reakcja była dość typową choć Matt spodziewał się innej odpowiedzi od osoby znanej z nieulękłej natury. Prawdę mówiąc, Teddi sprawiła mu zawód. Komuś takiemu jak ona, kto bez przerwy ryzykuje, chyba nie musiał tłumaczyć się z tego, co sam robi.

- Nie, bynajmniej - odparł chłodno. - Ten film jest ważny zarówno dla nas, naukowców, jak i dla całego społeczeństwa. Chcemy, żebyś zarejestrowała nie tylko prace, naszej grupy, ale również pokazała, co robić w razie zbliżania się tornada, w jaki sposób zabezpieczyć się przed tragedią...

- Zabezpieczyć przed tragedią? - Prychnęła pogardliwie, nie potrafiąc ukryć goryczy. - Chryste, co za brednie wygadujesz!

Matta zamurowało; nie potrafił zrozumieć, czym się naraził Teddi, że na jego słowa zareagowała takim atakiem wściekłości, że nagle zamiast przyjaznego uśmiechu pojawiła się jawna wrogość. W ciągu ułamka sekundy z pełnej życia, wesołej kobiety Teddi O'Brien stała się ziejącą nienawiścią megierą.

- Może się niedokładnie wyraziłem - powiedział. - Może powinienem w sposób nieco bardziej przystępny uzmysłwić ci...

- Nie. Pozwól, że ja ci coś uzmysłwię - przerwała mu. - Choćbyś nie wiem ile mi płacił, nie namówisz mnie na ten film! Poszukaj innego reżysera.

Obróciła się na pięcie i odeszła od trzech zdumionych mężczyzn,  
którzy patrzyli na nią w milczeniu.

RS



Strach był słowem, którego nie znała i nigdy w stosunku do siebie nie używała, toteż przez chwilę nie potrafiła rozszyfrować tego dziwnego uczucia, które nią nagle zawładnęło. A gdy je rozszyfrowała była pewną że musiała się pomylić. Przecież Teddi O'Brien niczego się nie boi. Ale kiedy Larry Harkins dogonił ją, gdy maszerowała po wyschniętym korycie rzeki, wiedziała, że nie ma sensu dłużej się oszukiwać: uczucie strachu narastało, a wraz z nim narastała w niej złość na samą siebie.

- Teddi! Do jasnej cholery, co cię ugryzło? - spytał gniewnie Larry, starając się dotrzymać jej tempa. - Myślałem, że się ucieszysz z możliwości...

- Myliłeś się! - warknęła, nie zwalniając kroku. - Przykro mi, że na darmo jechałeś taki kawał drogi, ale teraz byłabym ci wdzięczna, gdybyś wsadził tego idiotę do samochodu i wrócił z nim do miasta.

Larry chwycił ją za łokieć i zmusił, żeby stanęła.

- Idiotę? To sympatyczny gość, który znalazł się w trudnej sytuacji i przebył pół kontynentu, żeby zaproponować ci pracę, bo potrzebuje najlepszego reżysera, jakiego może zdobyć. Jeśli ktoś tu jest idiotą, to ty, Teddi. Sądziłem, że znudziła ci się bezczynność.

Czuła się jak osaczone zwierzę. Serce jej waliło, strach, którego nie była w stanie pojąć, ścisnął ją za krtań. Marzyła o jednym: żeby Larry odszedł i zostawił ją w spokoju.

- Owszem, znudziła mi się beczyność - przyznała. - Ale tej roboty nie chcę.

- Dlaczego?

- Bo nie!

Agent popatrzył na nią zirytowany.

- Doskonała odpowiedź - stwierdził ironicznie. - Prosta.

Wyczerpująca.

- Odczep się, Larry!

Odwróciła się w stronę Duke'a, który stał obok Matta Abernathy'ego z równie jak on skonfundowaną miną.

- Na co czekasz? - zawołała zniecierpliwionym tonem. - Trzeba sprawdzić lotnię, rozmontować ją i wrócić na górę po Carla.

Zapomniałeś o nim czy co?

Instruktor, też wyraźnie zaskoczony zachowaniem Teddi, ruszył za nią po wyschniętym korycie. Larry nie dawał za wygraną.

- Teddi, przecież pan Abernathy przyjechał specjalnie do ciebie...

- Niepotrzebnie tracił czas! - rzuciła gniewnie przez ramię.

- Możesz mu znaleźć innego reżysera, możesz wskazać mu drzwi, wszystko mi jedno. Ja po prostu nie chcę mieć z nim do czynienia!

Larry Harkins stał jak rażony piorunem, spoglądając za swoją klientką, która energicznym krokiem podążała w kierunku lotni.

Wiedział, że Teddi O'Brien potrafi być uparta i impulsywna. Kiedy chodziło o sprawy prywatne, często działała pod wpływem emocji, czasem nawet robiła głupstwa, jednakże w sprawach zawodowych

zawsze cechował ją najwyższy profesjonalizm. Jej dzisiejsza reakcja na ofertę Marta była czymś zupełnie niezrozumiałym.

Ociągając się, Larry Harkins wrócił do meteorologa z Oklahomy, na którego twarzy wciąż malował się wyraz zdumienia.

- Strasznie mi przykro. Teddi nigdy się dotąd tak nie zachowywała. ..

Matt z niedowierzaniem w oczach patrzył na oddalającą się sylwetkę.

- Co ja zrobiłem? Co takiego powiedziałem?

- Nie mam pojęcia - odparł Larry. - Coś ją zdenerwowało, to nie ulega wątpliwości. Może ten lot? W końcu o mało się nie rozbiła.

- Nie. - Matt pokręcił głową. - Lotem była zachwycona. Od początku do końca.

Chcąc nie chcąc, Larry musiał przyznać mu rację. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo Teddi uwielbia ryzyko.

- Może za chwilę ochłonie i...

Urwał, widząc powątpiewające spojrzenie gościa z Oklahomy.

- Nie sądzę, żeby to cokolwiek zmieniło - powiedział meteorolog. - Tym bardziej że nie wiemy, co ją rozgniewało.

- No tak.

Matt Abernathy westchnął, rozdrażniony.

- Zapomnijmy o wszystkim i wracajmy do miasta. Muszą coś szybko wykombinować, żeby cały projekt nie spełził na niczym.

Wydawało mi się, że Teddi O'Brien świetnie się do tej roboty nadaje, ale jak widać, nie przypadliśmy sobie do gustu.

Po raz ostatni rzucił okiem na Teddi, po czym odwrócił się i ruszył do samochodu. Był głęboko rozczarowany wynikiem rozmowy, nie tylko dlatego, że projekt, który tak starannie obmyślił i któremu poświęcił tyle czasu, trzeba będzie teraz przerobić, ale również dlatego, że Teddi jako osoba go zawiodła. Tak bardzo podziwiał jej filmy, że naiwnie oczekiwał od niej zupełnie innej reakcji.

Idąc w stronę samochodu, pocieszał się, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ale to mu oczywiście w żaden sposób nie poprawiło humoru.

Duke Osterman widział Teddi w każdym nastroju, jaki tylko można sobie wyobrazić. Kiedy była szczęśliwą swym uśmiechem sprawiała, że najbardziej pochmurny dzień stawał się piękny i pogodny. Kiedy była wściekła kipiała taką furją, że dla własnego dobra należało trzymać się od niej z daleka. Widywał ją w różnych stanach, zamyśloną, upartą, przygnębioną - choć z przygnębienia zwykle szybko się otrząsała - a także pełną werwy i twórczego zapału, gdy przystępowała do nowej pracy.

Obserwując Teddi teraz, gdy badała lotnię, Duke ujrzał w jej twarzy coś, czego nigdy dotąd nie widział. Ni to przerażenie, ni to napięcie. Nie potrafił zrozumieć, skąd się wzięło, wiedział jednak, że rozbudziło w nim silne ojcowskie uczucia. Z całej siły pragnął Teddi pomóc.

- Co się stało? - spytał.
- Nic. Pomóż mi sprawdzić, czy czegoś nie uszkodziłam.
- Przesunęła uważnie ręką po drążku. - Coś mi się zdaje, że ten pałak jest lekko przekrzywiony.

- Zostaw lotnię na moment. Dobrze?

- Nie, niedobrze - rzekła, odwracając się do niego twarzą.

- Ty i Carl musicie być jutro z powrotem w mieście, a to znaczy, że mam niecałe dwadzieścia cztery godziny na zdobycie odznaki. Nie zamierzam tracić ani chwili dłużej, więc pomożesz mi czy nie?

- Teddi, porozmawiaj ze mną - poprosił instruktor, nie zrażony gniewem, który płonął w jej oczach. - Od wielu tygodni marudzisz, że nie masz pracy, a kiedy w końcu coś ci się trafia, zachowujesz się jak wiedźmą którą w dodatku uządliła osa. O co chodzi? Co jest grane?

- Och, daj mi święty spokój - powiedziała, schylając się ponownie nad lotnią.

Duke Osterman w skupieniu przyglądał się Teddi, gdy ta rozmontowywała lotnię, i wreszcie pojał, w czym rzecz. Rozpoznał bowiem uczucie, nad którym tak usilnie starała się zapanować.

- Boisz się. - Nie był w stanie ukryć zdumienia. - Coś, co Matt Abernathy powiedział, śmiertelnie cię wystraszyło.

- Gówna prawda! - warknęła, unikając wzroku instruktora.

- Niczego się nie boję. Po prostu nie mam ochoty jechać do Oklahomy i patrzeć, jak banda świrów się za czymś tam ugania. To nudne. Mam lepsze rzeczy do roboty.

- Gówna prawda, powiadasz? Teddi... - Duke odczekał chwilę, a kiedy nie zareagowała, oznajmił cicho: - Wiesz, zawsze podejrzewałem, że musi coś być.

Nie chciała pytać, o co mu chodzi, ale nie mogła się powstrzymać.

- Że musi coś być?

- Tak. Że musi być coś, czego się boisz. Odwróciła się z wściekłością.

- Już ci mówiłam, niczego się nie boję.

- Nie wygłupiaj się, Teddi. Przecież ziejesz strachem. Co cię tak przeraziło? - Biorąc pod uwagę rozmowę, której był świadkiem, tylko jedna możliwość wchodziła w grę. - Boisz się tornad? A może masz coś przeciwko środkowozachodnim stanom?

Zielonkawe oczy kobiety ciskały gromy.

- Ciepło, ciepło, Duke. Nie przeciwko środkowozachodnim, tylko przeciw tym, które zaczynają się na literę O. Chryste, żebyś widział, jakiego dostaję szału, kiedy słyszę nazwę „Ohio”. Lepiej uważaj, Duke. Czuję, jak narasta we mnie straszna furia i nie wiem, jak długo zdołam nad nią zapanować.

- O, akurat w tę furię wierzę. - Starając się dodać Teddi otuchy, położył ręce na jej ramionach. - Hej, mała, to ja, Duke. Twój przyjaciel, powiernik, ktoś, komu możesz zdradzić swoje najskrytsze, ponure tajemnice.

Odsunęła się.

- Nie mam żadnych najskrytszych, ponurych tajemnic.

- Nie kłam. Każdy ma.

- Ja nie!

- To dlaczego krew odpłynęła ci z twarzy, kiedy Abernathy powiedział, że chce, żebyś przez dwa miesiące uganiała się z nim za tornadami?

- A daj ty mi święty spokój! - ryknęła Teddi, odwróciła się na pięcie i oddaliła korytem rzeki.

Maszerując po pustyni, karciała siebie w duchu: Jesteś głupia. Tak się nie robi. Nie wrzeszczy się na przyjaciół. Nie odrzuca się ciekawych ofert pracy. Nie wpada się bez powodu w panikę. Przecież jesteś dużą dziewczynką i niczego się nie boisz.

Niczego poza tornadami.

Kiedy to sobie uświadomiła, stanęła jak wryta. Oparła ręce na biodrach, wzięła kilka głębokich oddechów, ale serce wciąż jej waliło.

Wprost nie mieściło się jej to w głowie, a jednak to prawda. Po tylu latach na samą myśl o tornadach nadal truchlała z przerażenia.

Sądziła, że dawno temu przezwyciężyła ten strach. Od wielu lat nie wpadała w dygot, widząc zbierające się na niebie czarne chmury burzowe. Kiedy zaś w powietrzu rozlegały się grzmoty, serce już nie zamierało jej w piersi, a dłonie się nie pociły. Nauczyła się znosić burze spokojnie, jak gdyby nigdy nic.

Innymi słowy, podczas burzy już nie umierała ze strachu. Zrozumiała, że ciemne chmury, pioruny oraz błyskawice stanowią najnormalniejsze w świecie zjawisko atmosferyczne i nie są widmem zbliżającej się śmierci.

Oczywiście pomogło to, że tornada niemal nie zdarzały się w południowej Kalifornii. Odkąd przeprowadziła się tu dwadzieścia lat temu, słyszała zaledwie o trzech - i tak się akurat składało, że za każdym razem kręciła film w innym stanie. Czasem oglądała w telewizji relacje z miasteczek na środkowym zachodzie nawiedzonych przez tornada; współczuła ludziom, którzy mieli nieszczęście znaleźć się na trasie czegoś, co w tak drastyczny sposób zmieniło jej własne życie, ale nie rozpamiętywała przeszłości.

Stojąc na środku wyschniętego koryta rzeki, uzmysłowiła sobie, że po raz pierwszy od lat „tornado” przestało być słowem abstrakcyjnym, czymś, co się dzieje daleko i co dotyczy tylko innych. Sugestia Matta Abernathy'ego, aby ruszyć w pogoń za trąbą powietrzną, sprawiła, że oczami wyobraźni Teddi ujrzała przed sobą ten straszny żywioł - okrutne narzędzie śmierci.

W pierwszym odruchu chciała uciec jak najdalej. Przypuszczalnie częściowo winny był zastrzyk adrenaliny, który otrzymała w trakcie swego podniebnego lotu. To on spotęgował obraz żywiołu, który wyrósł jej przed oczami, i on spotęgował jej strach. Może w innej sytuacji nie zareagowałaby tak ostro i gwałtownie, jednak nie ulegało wątpliwości, że strachu przed tornadem nie zdołała pokonać. Po prostu dzięki zrządzeniom losu nie musiała stawiać mu czoła.

Nie była tym wszystkim zachwycona.

- Niedobrze z tobą, Teddi - mruknęła pod nosem, kiedy puls wreszcie wrócił jej do normy. - Oj, niedobrze z tobą..

- Jeżeli masz zamiar mówić, to mów do mnie, a nie do siebie - powiedział cicho Duke, który podszedł do niej niepostrzeżenie. - Chętnie cię wysłucham.

Obróciła się zaskoczona.

- Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam.

- Nie szkodzi. Powiesz mi, co się dzieje?

Wsunęła ręce do kieszeni i spojrzała na drugi brzeg rzeki. BMW Larry'ego Harkinsa oddalało się powoli, omijając dziury i zostawiając za sobą tumany kurzu.



- Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę, prawda? Duke skinął głową.

- Może powiesz mi dlaczego?

Teddi westchnęła głośno, starając się pozbyć resztek strachu. Czowała się całkiem wypompowana.

- Masz rację. Boję się tornad. - Wzruszyła ramionami i smętnym wzrokiem popatrzyła Duke'owi w twarz. - Myślałam, że pokonałam ten lęk, ale...

- A co go spowodowało? Zawahała się.

- Jako dziecko - rzekła wreszcie - mieszkałam w małym miasteczku, które na skutek tornada niemal zostało zmiecione z powierzchni ziemi.

Podejrzewała, że Duke nawet się nie domyśla, ile takie wyznanie kosztuje ją wysiłku.

- Chryste! To musiało być koszarne przeżycie - powiedział ze współczuciem.

- Tylko się nade mną nie użalaj - oburzyła się. - Ja żyję. Wiele osób zginęło.

Mężczyzna podniósł bezradnie ręce.

- Przepraszam, Teddy, nie chciałem cię urazić. Chodzi mi o to...

- Wiem, o co ci chodzi. - Obeszła go i skierowała się z powrotem do lotni. - Masz to wypisane na twarzy: Och, biedna Teddi. A biedna Teddi nienawidzi współczucia, dlatego nigdy nie mówi o tym, co się stało. Więc bądź tak miły i wymaż ten współczujący wyraz ze swojego pyska, dobrze?

- Dobrze - obiecał, dotrzymując jej kroku. Podejrzewał, że w historii miasteczka zmiecionego z powierzchni ziemi kryje się coś więcej, ale miał na tyle rozumu, by nie dopytywać się o szczegóły. - Co zamierzasz zrobić?

- Rozmontować lotnię i wrócić na Górę Cieni.

- Nie udawaj głupiej. Dobrze wiesz, o co pytam. Co zamierzasz zrobić z ofertą Abernathy'ego?

Ponownie spojrzała na tumany kurzu.

- Co zamierzam? Nic. Przecież odmówiłam. Duke zmarszczył czoło.

- Tak, ale to było w pierwszym odruchu, bez zastanowienia, pod wpływem silnych emocji związanych z lotem. Po prostu facet cię zaskoczył swoją propozycją...

- I to jak!

- Wciąż chcesz uciekać? - spytał z niedowierzaniem. - To do ciebie całkiem niepodobne.

Jej twarz przybrała srogi wyraz, co również było do Teddi całkiem niepodobne.

- Nie interesuje mnie oferta pana Abernathy'ego. Zmieńmy temat, dobrze?

Przystąpili do demontażu lotni; pracowali w milczeniu, ale Teddi widziała że od czasu do czasu instruktor uważnie jej się przygląda. W jego spojrzeniu nie było współczucia którego tak bardzo nie znosiła. Było w nim jednak coś innego; coś, co wytrącało ją z równowagi psychicznej, coś, co często jako mała dziewczynka dostrzegała w oczach matki i ojca.

Duke był nią zawiedziony. Pół życia próbowała wymazać z pamięci wyraz dezaprobaty, który malował się na twarzach rodziców. Ciężko pracowała nad tym, żeby zasłużyć na ich pochwałę, choć miała świadomość, że przecież nie widzą jej wysiłków. Zyskała sławę osoby niezależnej i nie-ulęklej. Kiedyś Duke podziwiał ją za odwagę. Ale to było kiedyś.

Po raz pierwszy od lat Teddi zrobiło się wstyd.

Półżywy i totalnie zde gustowany, Matt pochylił się do przodu, wyjął z magnetowidu taśmę reklamową kolejnego reżysera i cisnął ją na rosnący stos odrzutów. Została mu już tylko jedna do przejrzenia, a to znaczyło, że szansa znalezienia reżysera zmalała niemal do zera.

Od dwóch dni, czyli od powrotu z pustyni, gdzie odbył nieprzyjemną rozmowę z T.D. O'Brien, siedział zamknięty w pokoju hotelowym i oglądał taśmy. Larry Harkins podał mu listę innych dokumentalistów, których reprezentował, ale zdaniem Matta żaden nie potrafiłby nakręcić tego, o co mu chodziło. Nie chciał filmu artystycznego, eksperymentalnego, niezrozumiałego dla szerokich mas. Zależało mu na dokumencie, który łączyłby w sobie akcję z ważnym społecznym przesłaniem. Potrzebował reżysera, który umiałby przełożyć skomplikowane problemy naukowe na prosty język i proste obrazy zrozumiałe dla zwykłych ludzi.

Teddi O'Brien wydawała się do tej pracy idealna; Patrick Dennison od biedy też się nadawał. Teraz Matt miał kłopot, musiał się obyć bez Teddi i bez Patricka. Sezon burzowy w Oklahomie, północnym Teksasie i południowym Kansas -w sercu tak zwanej Alei Tornad - rozpoczyna się już lada dzień. Na ogół trwa od marca do

końca maja; chociaż w tym czasie grupa naukowców spędzała kilka dni tygodniowo, polując na chmury burzowe, rzadko się jej zdarzało zaobserwować same narodziny tornada. Uchwycenie na filmie momentu tworzenia się trąby powietrznej wymagałoby olbrzymiej cierpliwości i dużego poświęcenia. Matt nie mógł sobie pozwolić na jakąkolwiek zwłokę.

Oczywiście nawet gdyby chciał przesunąć termin realizacji filmu, nie dostałby zgody. Niełatwo jest przekonać szefów z ośrodka żeby sfinansowali przedsięwzięcie, którego całkowity koszt ma wynieść prawie milion dolarów. Matt wiedział, że jeżeli za kilka dni nie będzie ze wszystkim gotów, ośrodek cofnie mu fundusze. Szansa, aby w przyszłym roku ponownie wyasygnowano na ten cel pieniądze, jest właściwie znikoma. Istnieją tylko dwie możliwości: albo teraz, albo nigdy - i prawdę mówiąc, coraz bardziej zanosilo się na nigdy.

W swym rozgoryczeniu Matt, całkiem irracjonalnie, winą za problemy obarczał Teddi. Gdyby go wysłuchała, a następnie podała jakiś logiczny powód, dlaczego nie może podjąć się zlecenia, nie miałby do niej żalu. Ale był pewien, że odrzucając jego ofertę, nie kierowała się żadną logiczną pobudką. Po prostu zareagowała z niechęcią na coś, co powiedział, a nie miała na tyle przyzwoitości, żeby mu wytłumaczyć, co ją rozzłościło.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że - tak jak to sugerował Larry Harkins - jej zachowanie mogło wynikać z faktu, że parę minut wcześniej niemal otarła się o śmierć. Organizm Teddi dostał potężny zastrzyk adrenaliny, a nad adrenaliną nie sposób jest zapanować.

Adrenalina jednak mogła spotęgować wściekłość tej kobiety, ale na pewno jej nie wywołała.

Matt rozpaczliwie usiłował znaleźć jakieś rozwiązanie i uratować projekt, któremu poświęcił tyle czasu. Kiedy odrzucił osoby z listy Larry'ego Harkinsa, udał się do kilku innych agentów reprezentujących reżyserów - i właśnie ich taśmy kończył teraz przeglądać.

Sytuacja przedstawiała się kiepsko.

Sprawę dodatkowo komplikowało to, że każdy film porównywał z filmami Teddi. I naturalnie każdy był o wiele gorszy. Ale nic dziwnego; wszyscy dobrzy reżyserzy mieli wcześniejsze zobowiązania, toteż mógł wybierać jedynie spośród średniaków.

Westchnął ciężko i spojrzał na leżącą przy magnetowidzie ostatnią taśmę. Starając się nie tracić nadziei, ba, modląc się o to, by zobaczyć przyzwoity kawałek filmu, wsunął kasetę w otwór.

Pięć minut później, kompletnie znudzony pedantycznym sposobem przedstawienia komunizmu w Chinach, ucieszył się, słysząc pukanie do drzwi. Wstał z łóżka, kilkoma krokami przemierzył niewielki pokój, i przyłożył oko do judasza.

Teddi O'Brien?

Pewien, że wzrok płąta mu figla, Matt ponownie wyjrzał na korytarz. Wydawało mu się mało prawdopodobne, by Teddi przybyła do niego z wizytą, a jednak to była ona. Wszędzie rozpoznałby jej śliczną twarz oraz okalającą ją burzę gęstych, kasztanowych włosów.

Ciekaw był, co ją sprowadza. Czyżby zmieniła zdanie i postanowiła przyjąć jego ofertę? A może ma ochotę jeszcze trochę mu nawymyślać? Usiłując stłumić emocje - dziwną mieszaninę irytacji i nadziei - przeczesał palcami włosy, po czym otworzył drzwi.

Przygryzając nerwowo wargi, Teddi opuściła rękę. Zastukanie do pokoju Matta Abernathy'ego okazało się czymś o wiele trudniejszym, niż to sobie wyobrażała. Zresztą sama decyzja, żeby się z nim ponownie zobaczyć, też nie należała do łatwych. Przez dwa dni Teddi tylko o tym myślała: o propozycji pracy, jaką meteorolog jej złożył, o własnej reakcji, a także o rozczarowaniu, które dojrzała w oczach Duke'a.

Zaczęła analizować swoje postępowanie, próbując dotrzeć do najgłębszych zakamarków swej duszy; nigdy nie była w tym zbyt dobra, ale udało jej się dojść do zaskakującego wniosku.

Mianowicie, że istnieją gorsze rzeczy niż strach przed tornadem - na przykład akceptacja własnego tchórzostwa. Kiedy to sobie uświadomiła, zrozumiała, że nie ma wyboru - musi spotkać się z Mattem Abernathym i przyjąć zlecenie, które jej zaproponował.

Ledwo drzwi zaczęły się uchylać, poczuła, jak opuszcza ją odwaga. Jak zawsze w takiej chwili, szybko wzięła się w garść. Rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu, starając się pokryć nim wszelkie swe obawy i wątpliwości.

Meteorolog wyglądał tak, jakby w ciągu ostatnich dwóch dni zadreślał się jeszcze bardziej od niej. Nawet nie próbował się uśmiechnąć, zrobić dobrej miny do złej gry. Widać było, że jej wizyta nie sprawiła mu radości.

- Zdziwiony? - spytała lekkim tonem.

- Zdziwiony to mało powiedziane.

Drażniło go, że w błyszczących, zielonkawych oczach kobiety nie ma śladu wyrzutów sumienia. A przecież Teddi O'Brien, po rozmowie z którą tak wiele sobie obiecywał, znieważyla go, potraktowała jak pętaka, i - co gorsza - odarła ze złudzeń. Jeżeli ni stąd, ni zowąd postanowiła nagle zjawić się u niego w hotelu, przynajmniej mogłaby nadać swej twarzy potulny, skruszony wyraz.

- Słucham panią. O co chodzi? Wskazała rękę w stronę pokoju.

- Mogę wejść, czy mam od razu wykonać skok z mostu do rwącej rzeki?

Starał się zachować poważną minę, nie było to jednak proste. Właśnie przywykł do myśli, że nie lubi Teddi O'Brien i nie bardzo miał ochotę zmieniać teraz zdanie.

- Byłbym za skokiem, gdyby nie silne podejrzenie, że e sprawi on pani wielką frajdę. - Odsunął się na bok, żeby zrobić przejście. -

Proszę.

- Dziękuję.

Kiedy go mijała, poczuł lekki, zmysłowy aromat, od którego zakręciło mu się w głowie; nie był to zapach perfum, raczej zapach świeżości. Ubrana była na biało: w białe tenisówki, starannie wyprasowane białe spodnie, białą koszulkę, białą kurtkę. Jeżeli sądziła, że kolor, który jednoznacznie kojarzy się z niewinnością, sprawi, że będzie wyglądała grzecznie i bogobojnie, to się pomyliła.

Teddi O'Brien emanowała zmysłowością; od innych kobiet biła woń perfum, zaś od niej, z każdego jej ruchu i gestu, biła zmysłowość.

Matt zwrócił na to uwagę dwa dni temu, podczas ich pierwszego spotkania i szalenie mu się to podobało. Teraz wzmogło jego irytację.

- No więc czym mogę pani służyć?

- Po pierwsze, mów mi po imieniu - rzekła. - Wtedy na pustyni jakoś ci szło, ale widocznie po moim małym napadzie złego humoru straciłeś ochotę...

- Dobrze. Niech będzie. Więc czym mogę ci służyć? Rozejrzała się po pokoju, zatrzymując na moment wzrok na zawalonym kasetami łóżku. Zorientowała się, co zawierają; jej taśma reklamowa miała identyczne opakowanie.

- Domyślam się, że dalej szukasz reżysera?

- Owszem.

Podszedł do magnetowidu, zatrzymał taśmę, wyłączył telewizor.

- To dobrze. - Głęboko odetchnęła, szykując się do najbardziej niebezpiecznego skoku w swoim życiu. - Co ty na to, żeby dać drugą szansę Teddi O'Brien?

Przyjrzał się jej badawczo, niemal nie dowierzając własnym uszom.

- Sądziłem, że nie jesteś zainteresowana... Wzruszyła lekko ramionami.

- Zmieniłam zdanie. To mój kobiecy przywilej.

- Larry zmusił cię do przyjścia? - spytał Matt podejrzliwie.

- Ręcę ci, że nikt nie jest w stanie zmusić mnie do czegokolwiek - odparła z uśmiechem. - Pomysł przyjścia tu zrodził się w mojej głowie, choć muszę przyznać, że Larry aż podskoczył z radości, kiedy go spytałam, w którym hotelu się zatrzymałaś. Zgodził



się ze mną, że nawet jeśli nic nie wyjdzie z naszej współpracy, to przynajmniej powinnam cię przeprosić za moje zachowanie.

- Prawdę mówiąc, zamiast przeprosin wolałbym usłyszeć jakieś wyjaśnienie. - Na chwilę zamilkł. - Chociaż przeprosiny też byłyby miłe...

- Wiem. I bardzo cię przepraszam, Matt. Naprawdę strasznie mi przykro. Mam mnóstwo wad, ale zwykle nie bywam taką złościcą.

- Dobrze, przeprosiny przyjęte - oznajmił wspaniałomyślnie. - A teraz słowo wyjaśnienia...

Wskazała na jedyne w całym pokoju krzesło.

- Mogę?

- Oczywiście. Ale ze mnie gapa. Usiądź, proszę.

Teddi usiadła na krześle, Matt zaś zgarnął na bok kasety i przysiadł na łóżku. Ze względu na rozmiar pokoju dzieliła ich niewielka odległość; ciasnota pomieszczenia narzucała pewien intymny nastrój.

Teddi również go czuła - to dziwne napięcie, jakie wytwarza się między kobietą a mężczyzną, którzy mają się ku sobie. W innej sytuacji może by się z tego ucieszyła, ale nie dziś. Dziś przyszła tu w interesach i wyłącznie na nich chciała się skupić.

- Zadzwoiłam wczoraj do Patricka Dennisona. Wszedł już ze szpitala, humor ma paskudny, na wszystkich warczy, ale łaskawie zgodził się opowiedzieć mi o twoim projekcie.

- Dlaczego zgłosiłaś się do niego, a nie do mnie?

- Bo potrzebowałam informacji. Chciałam dokładnie wszystko przemyśleć. W każdym razie obiecał dać mi swoje notatki, żebym się

zorientowała, co ustaliliście. Oczywiście on i ja mamy całkiem inny system pracy - ostrzegła - ale sądząc po tym, co mi Patrick powiedział, jestem przekonana, że dam sobie radę.

Akurat co do tego Matt nie miał wątpliwości, ale jeszcze nie był pewien, czy chce z nią współpracować. Podobało mu się, że Teddi starała się dowiedzieć czegoś więcej o projekcie, ale niepokoiła go jej nagle zmiana decyzji. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby zatrudnić osobę, która raz postępuje tak, a raz inaczej. Reżyser, którego najmie do filmu, musi pracować z pełnym poświęceniem. Matt zbyt wiele miał do stracenia, by ryzykować. Poza tym wciąż czekał na wyjaśnienie.

- Nie powiesz mi, co cię tak zdenerwowało wtedy na pustyni?

- Powiem, jeśli nie będę miała wyboru. - Posłała mu serdeczny uśmiech. - Ale wolałabym nie mówić.

- Dlaczego?

Niełatwo było oprzeć się urokowi Teddy. Uśmiech goszczący na jej twarzy nieco przygasł.

- Bo to sprawa bardzo osobista a nie mam zwyczaju opowiadać o swoim życiu prywatnym - rzekła cicho.

- Rozumiem, Teddi. I wcale nie chcę wścibiać nosa w nie swoje sprawy, ale sama musisz przyznać, że zachowałeś się dość dziwnie. Wprawdzie Larry twierdzi, że zabawa w doktora Jekylla i pana Hyde'a nie należy do twojego stałego repertuaru, ale on jest twoim agentem. Za to mu płacisz, żeby bronił cię jak lew.

- I robi to - przyznała Teddi. - Ale tak się składa, że w tym wypadku mówi prawdę. Nie mam schizofrenicznej natury. Owszem, bywam choleryczką, ale na ogół trzymam nerwy na wodzy.

- Więc dlaczego ich nie utrzymałaś dwa dni temu? Właśnie tego się najbardziej obawiała.

- Bo zaproponowałaś mi pracę, która polega na uganianiu się za tornadami.

Matt pokiwał głową, jakby jej odpowiedź brzmiała całkiem logicznie.

- No tak, teraz wszystko jasne - oznajmił ironicznie. - Powinno się mnie za karę rozstrzelać.

Teddi zarechotała pod nosem i pomyślała sobie, że trudno nie lubić takiego człowieka jak Matt Abemathy. Pomimo irytacji, której nie potrafił ukryć, widać było, że jest sympatycznym facetem z dużym poczuciem humoru. Co nie znaczy, że akurat jemu łatwiej niż innym byłaby w stanie wytłumaczyć swoje przedwczorajsze zachowanie. Zbyt wiele lat starała się wymazać z pamięci przeszłość.

- Nie dziwię się twojej konsternacji. Mnie samą zaskoczył mój wybuch. Długo się nad tym zastanawiałam... Widzisz, ktoś, kogo znałam w dzieciństwie, zginął w wyniku trąby powietrznej.

Matt natychmiast poczuł klucie w sercu.

- Ktoś bliski?

- Tak - odparła. - Od tamtego dnia mam niechęć do tornad.

Chociaż powiedziała to niefrasobliwym tonem, Matt dojrzał smutek w jej oczach, smutek, który był wymowniejszy niż słowa.

- Współczuję...

- To było przed wieloma laty. Wydawało mi się, że już dawno uporałam się ze wstrząsem, który wtedy przeżyłam. Mieszkając w Kalifornii, prawie zapomniałam, że istnieje coś takiego jak tornado. Ale kiedy powiedziałeś, że mam się za nimi uganiać, nogi się przede mną ugięły. No i... zachowałam się jak idiotka

- Dlaczego Larry mnie nie ostrzegł? Powinien wiedzieć, że będziesz miała opory przed podjęciem takiego tematu. A przynajmniej mógł cię uprzedzić. Nie byłabyś taka zaskoczona.

- Larry o niczym nie wie. Nie lubię mieszać spraw prywatnych z zawodowymi. Zresztą o tamtej historii staram się jak najmniej mówić.

Matt znacznie lepiej rozumiał teraz Teddi. On również wolał nie mieszać spraw zawodowych z prywatnymi. Życie prywatne, zainteresowania kobiety - wszystko to stawiał na drugim miejscu; najważniejsza była praca. Znał wiele osób, którym tornado odebrały bliskich, sądził więc, że doskonale rozumie ból, niechęć i wściekłość, które Teddi czuje. Przez pewien czas czuł to samo. I podobnie jak ona, o niektórych rzeczach ze swej przeszłości rzadko z kimkolwiek rozmawiał.

- Współczuję ci. - Po chwili, z niejakim ociąganiem, dodał: - Wiem, jak to jest. Piętnaście lat temu mój najlepszy przyjaciel został zabity przez tornado.

Teddi uniosła zdziwiona brwi.

- Mimo to nadal się nimi zajmujesz?

Skinął głową, odsuwając od siebie wciąż żywe wspomnienie śmierci Joe'ego Cochрана.

- Tak. Długo nie mogłem pogodzić się z tragedią, ale w końcu wzięłem się w garść i wróciłem do pracy.

- Brawo - powiedziała, czując dla Matta rosnący podziw, że udało mu się osiągnąć to, z czym ona nie umiała sobie poradzić. - Tylko nie bardzo widzę, jaki jest sens... To znaczy, po co polujesz na tornada?

- Dzięki temu, co robię, wielu ludzi dziś żyje i wielu ma szansę przeżyć w przyszłości. Tornado to jeden z najpotężniejszych żywiołów natury. Może kiedyś zdołam zrozumieć, skąd się bierze jego niesamowita siła.

- Skąd się bierze i jak nad nią zapanować? - spytała z nutą nadziei w głosie.

Matt roześmiał się.

- Bez przesady. Nie sposób zapanować nad siłami przyrody. Mam trochę skromniejsze ambicje: nauczyć się przewidywać, gdzie i kiedy pojawi się tornado. Chodzi o to, żeby nie uderzało przez zaskoczenie. Bo niestety każdego roku trąby powietrzne zabijają mnóstwo osób.

Teddi zadumała się. Jeżeli dzięki swojej pracy Matt Abernathy może uratować choć kilka istnień ludzkich, to może ona, kręcąc dla niego film, mogłaby mu w tym pomóc? Miała teraz dwa ważne powody, aby jechać do Oklahomy, musiała jedynie przekonać Matta by ją zatrudnił.

Pochyliła się, opierając łokcie na kolanach.

- Chciałabym nakręcić ten film, Matt. Błagam cię, puść w niepamięć to, co się zdarzyło w Copper Bottom. Zachowałam się jak

kretyńka. Od dwóch dni o niczym innym nie myślę. Jeżeli mnie zaangażujesz, przysięgam, że cię nie zawiodę.

Jej słowa były jak jasne światło na końcu ciemnego tunelu, ale Matt, człowiek doświadczony przez życie, wołał nie działać pochopnie.

- Czy kiedykolwiek widziałaś tornado w akcji? - spytał.

- Nie na zdjęciach, nie na filmie, tylko na własne oczy?

- Nie - odparła, nawet nie odwracając wzroku.

- Jest to niesamowite przeżycie. Po obejrzeniu twoich wcześniejszych filmów pomyślałem sobie: „Coś dla Teddi O'Brien!" Ale teraz nie jestem tego pewien. Dlaczego miałabyś się podejmować czegoś, co może przywołać bolesne wspomnienia?

To było najłatwiejsze pytanie, jakie mógł jej zadać.

- Dlatego, że nie lubię chować głowy w piasek. - Wyprostowała się na krześle. - Wolę stawić czoło kłopotom i pokonać przeciwności, niż żyć ze świadomością, że stchórzyłam.

Uwierzył, że mówi prawdę. Przekonała go o tym szczerą, którą widział w jej oczach i słyszał w głosie. Teddi O'Brien - zarówno jako kobieta, jak i filmowiec - na nowo zyskała jego szacunek.

Sprawa jednak nie była prosta; wciąż gnębiły go wątpliwości.

- Skąd mogę wiedzieć, że to, co się stało przed laty, nie wpłynie na twoją pracę?

Uśmiechnęła się; sprawiała wrażenie bardziej pewnej siebie, niż się czuła.

- Nakręciłam kiedyś krótki film o facetach, którzy zarabiają na życie, łapiąc grzechotniki. Jak się chyba domyślasz, grzechotniki nie

należą do moich ulubionych zwierzątek, a jednak film wyszedł znakomicie.

- Wiem. Widziałem go.

- Więc powinieneś również wiedzieć, że moje upodobania lub niechęci nie mają żadnego wpływu na moją pracę.

- A czy znasz kogoś, kogo ukąsił grzechotnik? - spytał cicho.

- Tak. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Mnie. Właśnie podczas tego filmu. - Błysnęła zębami w uśmiechu. - Jeśli mnie zatrudnisz, opowiem ci o całym zdarzeniu. Proszę, cię, Matt, daj mi jeszcze jedną szansę. Zobaczysz, na pewno sobie poradzę.

Nie miał wyjścia. Może chwilę dłużej by się wahał, gdyby tabuny utalentowanych reżyserów waliły do niego drzwiami i oknami, ale nie waliły. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli nie zgodzi się na Teddi, prawdopodobnie będzie musiał zrezygnować z projektu. Teddi zaś rwała się do roboty i już teraz była wolna, a to znaczy, że mogą kręcić według ustalonego harmonogramu.

- W porządku - powiedział, wstał i wyciągnął rękę. - Angażuję cię do pracy.

Teddi też wstała; uściskiem dłoni przypieczętowali swoją przyszłą współpracę.

- Nie pożałujesz, Matt.

Ściskając jej dłoń, poczuł dreszcz podniecenia. Przez moment zastanawiał się nad swą decyzją: czy naprawdę nie odpowiada mu styl żadnego innego reżysera? A może kierują nim inne pobudki? Po chwili jednak przestał się zadrećcać. To, że Teddi jest piękną, pełną

życia kobietą, od której bije cudowny, zmysłowy zapach, nie ma nic wspólnego z tym, że ją zatrudnił.

Prawda?

RS



- Boże, łeb mi pęka - jęknęła Teddi i przyciskając palce do skroni, osunęła się głębiej w fotelu. Gazety i książki, które leżały rozrzucone po podłodze niczym opadłe z drzew liście, sprawiały, że nieduży dom w Venice Beach był jeszcze bardziej zagrożony niż zwykle. - Przepraszam, Matt, ale jak mi pokażesz jeszcze jedną mapę synoptyczną, to rzucę się rekinom na pożarcie.

Matt zaśmiał się cicho i odłożył trzymany w dłoni plik papierów na niski, dębowy stół.

- Czyżbyś w ten subtelny sposób dawała mi do zrozumienia, że pora na przerwę?

Uniosła pytająco brwi.

- Subtelny? Wszystko można o mnie powiedzieć, tylko nie to, że bywam subtelna. -I żeby to dobitniej podkreślić, obróciła się w fotelu, przerzuciła nogi przez jedną poręcz, i zwiesiła włosy przez drugą. - Tak, mój drogi, czas na przerwę.

- Nie będę się sprzeciwiał. Już dziesięć godzin nad tym ślęczymy.

Odchylił się wygodnie, starając się nie zwracać uwagi na jej swobodną pozę i swoją reakcję. Od rana toczył walkę ze zmysłami, walkę, którą przegrywał, albowiem sam widok Teddi O'Brien wywoływał w nim żywe emocje. Po raz pierwszy spotkał kogoś takiego jak ona.

Wczoraj, kiedy uściskiem dłoni przypieczętowali współpracę, umówili się, że nazajutrz rano pod okiem Matta Teddi odbędzie przyspieszony kurs z meteorologii. Czasu było niewiele: następnego dnia Matt wylatywał z powrotem do Oklahomy, Teddi zaś dzień po nim ruszała samochodem.

Oczywiście materiał, który przerobili, stanowił zaledwie mały procent wiadomości o pogodzie, ale Matt nie oczekiwał, żeby w ciągu jednego dnia Teddi opanowała wiedzę, którą on sam zdobywał latami.

Musiał przyznać, że jest doskonałą uczennicą. Przyniósł z sobą stosy książek. Studiowała je z głębokim skupieniem, ale po dziesięciu godzinach nauki osiągnęła stan przesyty. On zresztą też.

Teddi na wpół siedziała, na wpół leżała na fotelu. Oczy miała zamknięte. Odpoczywała, ale była jak wulkan, który lada moment może wybuchnąć. Po prostu emanowała energią. Z taką samą energią, z jaką niedawno pochłaniała informacje na temat zjawisk zachodzących w pogodzie, teraz oddawała się relaksowi. To było niesamowite. Po tylu wspólnie spędzonych godzinach nadal pozostawała dla Matta Abernathy'ego tajemnica. -tajemnicą, którą Matt coraz bardziej pragnął rozwikłać.

Wiele wskazówek, które mogłyby go naprowadzić na jakiś trop, tyle że Matt nie potrafił ich zinterpretować, znajdowało się pod ręką, w domu Teddi. Dom składał się z kuchni, dwóch sypialni i przestronnego salonu, którego okna wychodziły na ładny, osłonięty ogród.

Matt podejrzewał, że na początku Teddi próbowała urządzać wnętrze w surowym, nowomeksykańskim stylu, ale efekt, który

chciała osiągnąć, gdzieś się zatracił; teraz każdy kąt, każdą wolną przestrzeń wypełniały najprzeróżniejsze pamiątki. Afrykańskie maski plemienne rywalizowały o miejsce ze wspaniałymi indiańskimi koszami oraz ręcznie tkanymi dywanami. Zaśniedziały szesnastowieczny hełm stał na półce obok olbrzymiej, wypchanej myszy, ubranej w koszulkę z Disneylandu.

Wszystkie widoczne w pokoju przedmioty były pamiątką z jakiejś podróży, a sądząc po ich liczbie, Teddi musiała się sporo najeździć. I właśnie one sprawiały, że wnętrze miało bardzo wyraźny charakter - ekscentryczny. To chyba najwięcej mówiło o Teddi jako osobie.

Mówiło, że nie ma drugiej takiej jak ona.

- Teddi?

- Hm?

- Cieszę się, że zmieniłaś zdanie i uznałaś, że jednak nakręcisz ten film.

- Gdyby ktoś mnie uprzedził, jaki z ciebie tyran - rzekła, nie otwierając oczu - kto wie, czy bym się zdecydowała.

Zaśmiał się cicho.

- Nie martw się. W Oklahomie będziesz miała mnóstwo czasu na odpoczynek. Nawet w sezonie burzowym polowanie na tornada nie jest zajęciem zbyt absorbującym. Zdarza się, że mija tydzień lub dwa między jedną pogonią a drugą.

- Świetnie. W wolnych chwilach będę przeprowadzała wywiady, filmowała mapy, aparaturę, wnętrza, przeglądała kilometry nagranej

taśmy, robiła wstępny montaż. - Uniosła powieki i skierowała na Matta spojrzenie. - No i oczywiście leżała do góry brzuchem.

Matt wyszczerzył zęby.

- Coś mi się zdaje, że zbijanie bąków nie należy do twoich ulubionych rozrywek. Im więcej się dzieje, tym jesteś szczęśliwsza, prawda?

Teddi czuła się coraz bardziej nieswojo. Nie dlatego, że Matt przejrzał ją na wylot, ale dlatego, że za każdym razem, kiedy się do niej uśmiechał, przejmował ją dreszcz podniecenia. Matt jest czarującym mężczyzną obdarzonym wspaniałym poczuciem humoru; gdyby zajmował się czymkolwiek innym niż polowaniem na tornada, byłaby zachwycona, że wzbudza w niej tego rodzaju emocje. Ponieważ jednak jego pasję stanowiły tornada, przez cały dzień próbowała w sobie wmówić, że nic do niego nie czuje.

- Najszczęśliwsza jestem wtedy, gdy nie burczy mi w brzuchu - powiedziała, wstając z fotela. - Jestem głodna jak wilk. Ty pewnie też. Chodź, pójdziemy coś zjeść.

Poderwała się tak raptownie, że aż go to zdumiało. Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że nie powinien się dziwić, bo jedną z niewielu rzeczy, jakich się o Teddi dowiedział, jest to, że nie znosi rozmów na swój temat.

- Dobrze. Ale nie znam tutejszej okolicy, więc wybór lokalu zostawiam tobie. - Podniósł się i czekając na Teddi, która na moment zniknęła w sypialni, zaczął porządkować książki i papiery. - Dokąd mnie zabierzesz?

- Do takiej cudnej, małej kafejki na deptaku - odparła z drugiego pokoju.

- Pojedziemy samochodem?

- Nie, przejdziemy się. To jakieś półtora kilometra.

- Sądziłem, że w Los Angeles nie chodzi się pieszo.

- Fakt. Ale Venice to dość specyficzna część Los Angeles.

Trochę inaczej się tu żyje. My, weneccjanie, różnimy się od innych mieszkańców Kalifornii.

- Zauważyłem - mruknął lekko ironicznym tonem.

Wyłoniła się z sypialni w tym samym stroju, w którym chodziła przez cały dzień: w szortach koloru khaki i bluzce reklamującej „Park Jurajski”. Teraz jednak miała zawieszona, na ramieniu ogromną, płócienną torbę, której pasek przecinał na pół łeb groźnie wyglądającego tyranozaura. Oprócz tego, że przecinał łeb gada, uwypuklał piersi Teddi. Matt przeniósł wzrok na jej twarz.

- Rozumiem, że w tym lokalu nie obowiązują stroje wieczorowe...

- Nie, wyłącznie sportowo-plażowe. Podobnie jak na całym deptaku. Zresztą sam się zaraz przekonasz.

Zamknęła drzwi na dwie zasuwki i ruszyli w kierunku plaży. Okolica była cicha, ruch kołowy prawie nie istniał. Wzdłuż wąskiej ulicy ciągnęły się niskie białe domy, osłonięte przed słońcem liśćmi ogromnych palm. Po chwili skręcili na zachód i nagle oczom Matta ukazało się złocistoczerwone słońce, odbijające się od powierzchni wody.

- Jaki piękny widok...

- To jeszcze nic. Zobaczysz, jaki będzie za godzinę. Może smog szkodzi zdrowiu, ale dzięki niemu zachody słońca są tu niebywałe. Niemal surrealistyczne.

- Ten wygląda... nieziemsko. Teddi parsknęła śmiechem.

- Nieziemsko? Poczekaj, aż dojdziemy na deptak.

Parę kroków dalej Matt przekonał się, co Teddi ma na myśli. Zamknięty dla ruchu, lecz tętniący życiem siedmiometrowej szerokości deptak mienił się tysiącem barw. Młodzi ludzie ubrani w obcisłe, jaskrawe stroje śmigali na łyżworolkach, umiejętnie omijając setki turystów i najróżniejszych artystów ulicznych. Pomiedzy deptakiem a plażą, na której czciciele słońca łapali jego ostatnie promienie, ciągnęła się ścieżka rowerowa.

Matt miał wrażenie, jakby ze wszystkich stron coś atakowało jego zmysły. Głośny heavy-metal wydobywający się z czyjś radia na moment zlał się z dźwiękami gitary, te zaś łączyły się z muzyką płynącą z harfy. Nieco dalej spory tłum gapiów zebrał się wokół młodego śmiałka, który zonglował w powietrzu trzema warczącymi piłami łańcuchowymi. Kilka metrów za zonglerem na rozstawionych przed sceną ławach siedziała publiczność oglądająca popisy kulturystów.

Bezdomni, pchający swój dobytek w wózkach sklepowych, mieszaali się z turystami umęczonymi całodziennym zwiedzaniem. Na każdym kroku można było spotkać ulicznych sprzedawców oferujących wszystko, począwszy od hamburgerów sojowych i kiełków lucerny, a skończywszy na gyros i pizze. W pewnej chwili przemknęła obok na łyżworolkach opalona na brąz kobieta w

najbardziej skąpym bikini, jakie można sobie wyobrazić; ciągnęły ją trzy biegnące przodem charty afgańskie.

- Zdumiewające - szepnął Matt, usiłując patrzeć we wszystkie strony naraz. - Boże...

Teddi zachichotała.

- Nie chciałam cię narażać na taki szok kulturowy.

- Przeżyję... Chyba przeżyję...

- Chodź.

Odruchowo wzięła go za rękę i przeciskając się przez morze wirujących ciał, ruszyła w stronę plaży, na której było znacznie mniej tłoczno i sporo ciszej niż na deptaku. Po drodze spotkali co najmniej dziesięć osób, które Teddi знаła. Jeden z grajków ulicznych zamienił z nią parę słów, a stara, obdarta kobieta pchająca wózek sklepowy posłała jej bezzębny uśmiech.

Teddi ze wszystkimi witała się serdecznie; miała - jak się Matt wkrótce zorientował - niesamowity dar, który sprawiał, że w jej obecności każdy człowiek czuł się kimś wyjątkowym.

Największym oryginałem, jakiego spotkali po drodze, był Clooney, artysta rzeźbiący w piasku, ubrany w kwieciste szorty, ohydną pstrokatą koszulę, okulary słoneczne zasłaniające pół twarzy i trampki bez sznurówek. Ogromne żółte wiaderko z łopatką stanowiło uzupełnienie stroju. Clooney wyglądał jak zwariowany stary hipis; burza sięgających pasa, potarganych, siwych włosów jedynie potęgowała to wrażenie.

Artysta wyściskał Teddi i nalegał, żeby obejrzała jego najnowsze dzieło: opalającą się kobiecą postać naturalnej wielkości.

Rzeźba była tak realistyczna, że Mattowi niemal zdawało się, iż podgląda prawdziwą kobietę. Poczuł, że musi powiedzieć o tym Clooneyowi.

- Jest piękna. Patrząc na nią, wydaje mi się, że zaraz wstanie i otrzepie się z piasku.

- Cudownie. Właśnie o to mi chodzi - ucieszył się artysta, po czym puścił do Teddi oko. - Facet zna się na sztuce. Możesz go z sobą przyprowadzić na przyjęcie, które urządzam w sobotę.

Twarz Teddi przybrała wyraz zasmucony.

- Och, Clooney, nie będzie mnie w mieście. Pojutrze wyjeżdżam w teren.

- To wspaniale! - zawołał stary hipis. - Wreszcie masz robotę! Gdzie się tym razem wybierasz? Na Wielką Rafę Koralową, żeby z Jacques'em Cousteau kręcić film o rekinach?

- Nie. - Pokręciła głową. - Do Oklahomy. Polować z Mattem na burze.

- To mnie zażyłaś! - Clooney przeniósł wzrok na Matta. -A kiedy już jakąś upolujesz, to co dalej?

- Patrzą, czy nie wyrasta z niej tornado - odparł ze śmiechem.

- Chryste, a ludzie gadają, że ja mam świra! No dobra, kochani, miłych łowów. Zadzwoń do mnie, Teddi, kiedy już stamtąd wrócisz.

- Zadzwonię. Na pewno - obiecała, dając się wyściskać również na pożegnanie.

Wraz z Mattem obserwowwała, jak Clooney, wymachujące żółtym wiaderkiem, wtapia się w gwarny tłum.



- Czy wszyscy twoi przyjaciele są tak... - Urwał, szukając właściwego słowa.

- Szurnięci?

- Barwni.

Roześmiała się, pełna podziwu dla jego taktu.

- Nie wszyscy. Ale lubię różnorodność.

- I dlatego tu mieszkasz?

- Nie. Dlatego że nas, weneccjan, łączy poczucie wspólnoty.

Venice jest małym, spokojnym miasteczkiem, wokół którego wyrosła wielka metropolia. Tylko tu, na deptaku, panuje taka ożywiona atmosfera.

- W Venice głównie mieszkają artyści, prawda?

- Tak. Malarze i aktorzy. Twórców przyciąga nastrój swobody i tolerancji. Ludziom się wydaje, że nie obowiązują tu reguły, które rządzą resztą społeczeństwa, że można tu być sobą, robić to, na co ma się ochotę. - Uśmiechnęła się. - Oczywiście, to złudzenie. Ale nie da się ukryć, że nawet największy dziwoląg dobrze się tu czuje. I to mi się podoba.

Matt zdumiał się. Nie tym, co usłyszał, ale samym faktem, że Teddi wypowiedziała takie słowa. Właściwie była to pierwsza bardziej osobista rzecz, jaką przez cały dzień o sobie zdradziła.

- Muszę przyznać, że pasujesz do tego miejsca. Zerknęła na niego podejrzliwie.

- To komplement? - spytała.

- Zdecydowanie tak - zapewnił ją. - Tu, w Venice, wyczuwa się wyjątkową, niespotykaną gdzie indziej siłę. Dziwne pulsowanie, coś

jakby rytm czy bicie serca. Ty masz tę energię w sobie, jesteś jak wulkan, który dymi, lecz jeszcze nie wybuchł, a Venice jest jak wulkan, który już eksplodował.

Czuła się mile połechtana, ale nie mogła oprzeć się pokusie, żeby z Matta nie zażartować:

- Chcesz powiedzieć, że bezpieczniej trzymać się ode mnie na odległość, bo mogę zacząć pluć lawą?

- Nie. - Uśmiechnął się. - Chcę powiedzieć, że jesteś osobą pełną życia, pełną zapału...

- Dlatego niektórych męczy moje towarzystwo.

- Mnie się ono podoba.

Spojrzała w jego piwne oczy i znów poczuła dreszcz podniecenia.

- Dzięki. - Bała się powiedzieć cokolwiek więcej, bała się tego, że może się zdradzić i niechcący skierować ich na drogę, którą nie była pewna, czy powinni kroczyć. - Biorąc pod uwagę to, czym się w życiu zajmujesz, też byś tu świetnie pasował.

- Oj, chyba nie. Jak na mój gust za rzadko szaleją, w Kalifornii tornada.

Właśnie to mi tu najbardziej odpowiada, przyznała w duchu Teddi, ale na myśl o tornadach natychmiast straciła zainteresowanie Mattem i czym prędzej zmieniła temat rozmowy.

- Urodziłeś się w Oklahomie?

- Nie, w Kansas. Wychowywałem się na farmie, na zupełnym odludziu. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widać było tylko wzgórza i

pola uprawne. Poza tym nic. Uwielbiałem ten krajobraz. A ty?  
Pochodzisz z Los Angeles?

- Nie. Przeniosłam się tu z Anaheim, kiedy rozpoczęłam studia. -  
Modliła się w duchu, żeby nie spytał, czy mieszkała gdzieś indziej  
przed Anaheim. Nie chciała go okłamywać. Już i tak parę razy minęła  
się z prawdą. - A co sprawiło, że chłopak z Kansas postanowił zostać  
meteorologiem?

Jeżeli Matt zauważył lekkie zdenerwowanie, jakie jego pytanie  
wywołało w Teddi, niczego po sobie nie dał poznać.

- To wcale nie tak niezwykle, jak by się mogło wydawać -  
odparł. - Pogoda to najważniejsza rzecz w życiu farmera. Wszystko,  
co robiliśmy, ba, wszystko, co mieliśmy, zależało od intensywności  
deszczu. Niedobrze było, jak padało za dużo, niedobrze, jak za mało.

Słońce niemal już stykało się z wodą, a tłum na promenadzie  
wreszcie zaczął się przersedzać. Sprzedawcy zamykali kramy,  
muzycy chowali instrumenty, wyraźnie też zmienił się rytm, o którym  
niedawno mówił Matt. Głośne dudnienie przeszło w znacznie  
spokojniejszy stukot, który wkrótce zastąpił jednostajny szum  
przyływu.

Matt z Teddi wędrowali coraz bardziej opustoszałą plażą,  
rozmawiając na coraz bardziej osobiste tematy.

- Wy, ludzie żyjący w miastach, nie macie zielonego pojęcia o  
pogodzie. Wiecie, że jest ciepło lub zimno, że pada deszcz lub świeci  
słońce, że powietrze jest wilgotne albo suche, lecz to wszystko.  
Oglądacie w telewizji prognozę pogody, dowiadujecie się, że  
wychodząc jutro do pracy, warto wziąć parasol, ale sami nie potraficie

odczytać ze znaków na niebie, że zanoszą się na deszcz. Nie dostrzegacie subtelnych różnic widocznych w powietrzu, w jego zapachu i smaku. Nie widzicie chmur gromadzących się na odległym o sto kilometrów horyzoncie. Nie czujecie narastającej siły natury...

- Mówisz jak poeta - rzekła, z przyjemnością wsłuchując się w jego cichy, hipnotyzujący głos.

- Przepraszam, nie chcę cię zanudzać.

- Wcale nie zanudzasz. Zresztą pragnę cię jak najlepiej poznać i zrozumieć.

Matt odczuwał identyczne pragnienie wobec niej, zdumiało go jednak, że Teddi tak otwarcie się do tego przyznaje. Stał w pół kroku, ona obróciła się w jego stronę. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca jej włosy miały barwę ognia, skóra zaś ciepły, złocisty odcień. Widok zapierał dech.

- Dlaczego? - spytał.

- Żebym mogła oddać na filmie twoją prawdziwą naturę.

Przyjrzał się jej uważnie.

- To jedyny powód?

Uświadomiła sobie, że Matt nie pozwoli jej wykręcić się sianem.

- Chodzi ci o to, czy ja również czuję do ciebie pociąg fizyczny? Skinął głową.

- Właściwie to tak - przyznała, mając nadzieję, że głos nie zdradza jej stanu emocjonalnego. - Trudno zaprzeczyć, że coś takiego istnieje, ale uważam, że najrozsądniej jest to coś zignorować.

Poczuł się lekko rozczarowany, ale nie zniechęcony.

- Bo nie należy mieszać spraw zawodowych i osobistych? - spytał.

- Zgadza się - odparła, wzdrygając się ze wstydem, gdyż było to pierwsze kłamstwo, jakiego dopuściła się w rozmowie z Mattem.

Nie przekłamanie, nie zatajenie prawdy, tylko wierutne kłamstwo. W rzeczywistości bowiem nie miała najmniejszych skrupułów, gdy chodziło o mieszanie tych dwóch aspektów swojego życia. Tak wiele czasu i energii poświęcała pracy, że gdyby starała się oddzielić ją od przyjemności, wiodłaby bardzo samotne życie.

Nie, to rodzaj wykonywanej przez Matta pracy wpłynął na jej decyzję. Nie chciała wiązać się z łowcą burz. Kiedy rozmawiali wczoraj w hotelu, Matt nie dopytywał, w jaki sposób tornado odmieniło jej życie, ona zaś nic więcej na ten temat nie mówiła, wychodząc z założenia, że nikogo to nie powinno obchodzić.

- Zawsze przestrzegasz tej zasady?

- Na ogół, choć nie zawsze - przyznała, niemal wbrew sobie.

- To dobrze. - Uśmiechnął się i ruszył wolno po plaży.

- Przynajmniej mogę mieć nadzieję. A wracając do filmu i mojej skromnej osoby, cóż chciałabyś o mnie wiedzieć?

- Wszystko - odparła rzeczowym tonem. - Cały dzień spędziliśmy na omawianiu technicznych aspektów twojej pracy. Skoro jednak jesteś głównym bohaterem filmu, muszę wiedzieć jak najwięcej nie tylko o Matcie- -naukowcu, ale również Matcie- -człowieku.

- Ależ, Teddi, ten film nie ma być o mnie - zaprotestował ze śmiechem. - Ma pokazać zespół, którym kieruję, oraz sens wykonywanej przez nas pracy.

- Tak, ale musi również odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ludzie podejmują tego typu ryzyko. Nie oszukujmy się, Matt. Fascynuje cię coś, na co większość społeczeństwa patrzy z trwogą. Żeby zrozumieć sens twojej pracy, widzowie muszą najpierw zrozumieć ciebie. Możesz mówić, ile chcesz, o korzyściach i znaczeniu tego, co robicie, ale mnie nie nabierzesz; twoja fascynacja burzami sięga znacznie głębiej. To słychać w twoim głosie, widać w twarzy.

Miała rację. Był przyzwyczajony, że ludzie, słysząc o jego niezwyklej pasji, patrzyli na niego jak na wariata. A żeby temu choć trochę zapobiec, zawsze starał się podkreślić wagę swych badań oraz korzyści, jakie z nich płyną.

Ale Teddi dostrzegła drugie dno i chciała je również pokazać widzom. Po chwili namysłu Matt postanowił zostawić jej pełną swobodę, nie wtrącać się do jej artystycznej wizji.

- W porządku. Odpowiem na każde pytanie.

- Świetnie. A zatem wyjaśnij mi, dlaczego wzbudzają w tobie tak silne emocje.

- Burze czy tornada?

- Jedno i drugie.

Zadumał się, szukając właściwych słów.

- Fascynuje mnie ich niesamowita siła. Wiesz, że można wyczuć zbliżającą się burzę, zanim na niebie dojrzy się pierwsze chmury?

Powietrze staje się ciężkie, przytłaczające. Kiedy byłem mały, czasem

siedziałem sobie na traktorze, wokół rozciągały się pola, i nagle ni stąd, ni zowąd wyczuwałem, że w powietrzu zachodzi zmiana. Zadzieralem wtedy głowę, wyteżalem wzrok i zaczynałem szukać gromadzących się na horyzoncie chmur. - Mówił z zapalem, a zarazem z prostota, głosem niskim, niemal hipnotyzującym, jak wytrawny gawędziarz. -Wielkie białe obłoki sunęły powoli, wszystkie w jedną stronę, niczym olbrzymy podążające na ważną naradę. Obserwując rodzaj chmur i sposób, w jaki się piętrzą, nauczyłem się przewidywać siłę i zasięg ulewy.

- Nigdy się nie bałeś? - spytała Teddi.

- Czasem, ale to był dziwnie ekscytujący strach. Wiesz, nawet nie umiem opisać, co czułem na widok burzy, która swoim zasięgiem obejmowała ponad pół stanu. Jeśli zaś chodzi o tornada... Powstają nie na powierzchni ziemi, lecz w wyższych warstwach atmosfery, gdzie panują wiatry wstępujące. Wyrastają jakby wprost z chmury. Tornado to żywioł. To potężny żywy stwór, który wygląda jak gigantyczny wąż morski. Skręca się, wije, wydaje piekielny ryk i pożera wszystko, co znajduje na swej drodze. Chociaż widziałem ten spektakl setki razy, za każdym razem od nowa przechodzą mnie zimne dreszcze.

Teddi z trudem oddychała, nie mogła przełknąć śliny, i była wściekła na siebie, że sprowadziła rozmowę na tak koszmarne temat. Wcześniej w ciągu dnia Matt dokładnie przedstawił jej mechanizm powstawania tornad, ale wtedy mówił językiem naukowym, w sposób chłodny, rzeczowy. Opis, który teraz usłyszała, pobudził jej wyobraźnię. Ujrzała przed oczami rodzący się żywioł i poczuła, jak zaczyna się w niej toczyć zacięta walka.

Jako osobą której tornado zniszczyło życie, pragnęła dać drapaką; jako filmowiec chciała uchwycić żywioł na taśmie; jako człowiek uwielbiający ryzyko pragnęła znaleźć się w centrum wydarzeń, wystawić się na niebezpieczeństwo. Nagle uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie targały nią tak sprzeczne emocje.

- No tak - zdołała wreszcie wydusić. - To musi być niezwykle, porywające przeżycie.

- Jedyne w swoim rodzaju.

- Nie wątpię. - Starła się zachować spokój, żeby przypadkiem Matt nie zauważył, jak bardzo ta rozmowa wytrąciła ją z równowagi. Z jednej strony marzyła o tym, by zmienić temat, z drugiej strony nie miała zwyczaju chować głowy w piasek; jeżeli jakaś rzecz wzbudzała jej strach, nie uciekała przed nią, tylko podchodziła bliżej. -

Pamiętasz, kiedy pierwszy raz zobaczyłeś tornado?

- Pewnie. To jedno z moich najwcześniejszych wspomnień.

- Hm, dlaczego mnie to nie dziwi? - powiedziała, siląc się na żartobliwy ton.

- Razem z rodzicami i dwoma braćmi ukryłem się w piwnicy. Siedziałem na kopcu kartofli, myśląc, że zaraz nastąpi koniec świata. Ziemia trzęsła się w posadach. W pewnej chwili miałem wrażenie, że całe powietrze zostało wysane z piwnicy. Byłem przerażony, a jednocześnie strasznie żałowałem, że mama nie pozwoliła mi oglądać tego, co się działo na zewnątrz.

Teddi przełknęła ślinę; usiłowała wyprzeć z pamięci ogłuszający ryk - ryk śmierci.

- Ile miałeś lat?



- Pięć. Może sześć.

- Dużo było szkód?

- Zawałiła się stodoła, z połowy okien powypadały szyby, to właściwie wszystko. Jednak obraz zniszczenia wywarł na mnie niesamowite wrażenie. Dotychczas sądziłem, że nic nie jest w stanie pokonać moich rodziców, ale kiedy zobaczyłem porzucane wokół deski i szkło, zrozumiałem, że w porównaniu z przyrodą ludzie są czymś małym i słabym. Od tej pory zacząłem obserwować niebo, wypatrywać na nim burz, zgłębiać ich istotę...

- Żeby samemu nie czuć się tak małym i słabym? - spytała półgłosem.

- Co?

Opuściła wzrok, żałując, że nie ugryzła się w język. Przed chwilą dowiedziała się czegoś ważnego o Matcie, ale nie chciała się zastanawiać nad tym, jak to się ma do jej własnych przeżyć. Mattowi udało się obrócić przerażające doświadczenie z dzieciństwa w coś konstruktywnego, ona zaś próbowała o wszystkim zapomnieć.

- Kiedy człowiek poznaje coś dogłębnie, zdobywa nad tym władzę - wyjaśniła. - Może, badając zjawiska atmosferyczne, chciałeś móc przewidywać pogodę i w ten sposób choć odrobinę panować nad czymś, co pięcioletniemu dzieciakowi wydawało się całkiem poza kontrolą.

Matt zadumał się nad jej słowami i ze zdumieniem odkrył, że istotnie tak było.

- Masz rację - przyznał. - Kiedy zrozumiałem, że rodzice nie mogą zapewnić mi bezpieczeństwa, postanowiłem sam o nie zadbać. -

Zerknął na Teddi, ale z jej profilu nie potrafił nic odczytać. - Poza tym, że jesteś filmowcem, czyżbyś również była psychologiem?

Nie miała ochoty zastanawiać się nad tym, kim jest. Rozmowa z Mattem wywoływała w niej zbyt wiele sprzecznych emocji, z którymi nie umiała sobie poradzić.

- Każdy dobry reżyser ma w sobie coś z psychologa - rzekła. -  
Przeszkadza ci to?

- Bynajmniej.

Ciekaw był, o czym Teddi naprawdę teraz myśli. Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, nie tryskała energią. Była wyciszona, zamknięta w sobie.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła z wyraźną ulgą.

Od kilku minut skręcali w stronę deptaka, który o tej porze był już niemal pusty. Po zejściu z plaży Matt ujrzał ustawione pod ogromnym, brezentowym dachem stoliki, które oddzielał od deptaka niski, zastawiony doniczkami murek.

W przeciwieństwie do promenady lokal tętnił życiem, ale na szczęście nie musieli zbyt długo czekać na wolny stolik. Już po chwili siedzieli, napawając się wspaniałym widokiem zachodzącego słońca. Palmy rosnące wzdłuż ścieżki rowerowej odcinały się od czerwonego nieba, woda lśniła niczym ciekłe złoto.

- Co tak nagle ucichłaś? - spytał Matt, kiedy kelner podał im kartę dań.

- Zwykle o tej porze opuszcza mnie energia.

- Oj, niedobrze.

- Dlaczego?

- Bo zazwyczaj o zmierzchu trwają jeszcze łowy. Na ogół tornada tworzą się późnym popołudniem, tuż przed zachodem słońca kiedy nagrzane powietrze unosi się do góry.

- Jeżeli zjawisko jest tak spektakularne, jak twierdzisz, myślę, że od razu przejdzie mi senność.

Chociaż powiedziała to żartobliwym tonem, Matt nie uśmiechnął się, nagle bowiem uzmysłowił sobie, że mimo pozorów bez troski Teddi coś ukrywa, jakąś tajemnicę, której nie chce zdradzić. Potraktował to jako wyzwanie i postanowił dotrzeć do sedna.

- Jesteś spięta...

- Nie, skądże - zaprotestowała.

- Nie kłam - powiedział, uważnie obserwując jej twarz. - Oboje wiemy, że jest to bolesny dla ciebie temat. Jeżeli mają wyniknąć jakieś problemy, muszę o tym wiedzieć.

Opuściwszy wzrok, Teddi spostrzegła ze zdziwieniem, że obraca w palcach widelec. Odłożyła go na bok.

- Przepraszam. Rzeczywiście jestem trochę spięta, bo z równą intensywnością, z jaką ty uwielbiasz burze i tornada, ja ich nienawidzę. Więc sam rozumiesz...

Zmarszczył czoło.

- Wspomniałaś, że ktoś, kogo znałaś, został zabity przez tornado. Opowiedz mi o tym, Teddi. Może...

- Nie warto - rzekła szybko. - To stare dzieje. Ale dzięki za troskę.

- Na pewno nie chcesz zrezygnować z filmu?

Była zaskoczona, że taki pomysł w ogóle przyszedł Mattowi do głowy.

- Ależ nie. Przecież się zobowiązałam. Nigdy nie cofam danego słowa. Nigdy. Będę pracować z pełnym poświęceniem i jeżeli twój opis pokrywa się z prawdą, otrzymasz mrozący krew w żyłach film. Film równie fascynujący jak zjawisko, o którym opowiadasz. Tylko nie każ mi podzielać swojej pasji. Nie wyobrażam sobie, żebym kiedykolwiek mogła pokochać tornada.

A łowcę tornad?

Nie wypowiedziane na głos pytanie tak bardzo zdumiało

Marta, że niemal podskoczył na krześle. Chyba zwariował, żeby myśleć o miłości. Zna Teddi zaledwie od paru dni. Jest kobieta, zmienną jak pogoda, o reakcjach równie trudnych do przewidzenia.

- Wcale tego nie oczekuję - rzekł. - Ale nie chciałbym, żeby temat filmu wpędzał cię w stan przygnębienia.

- Jestem zamyślona, nie przygnębiona. Staram się przetrwać te wszystkie informacje, jakie dziś usłyszałam. Wielu rzeczy wciąż nie wiem, a do pracy mam się stawić już za trzy dni...

- No tak, z twojego punktu widzenia sytuacja jest trochę skomplikowana.

- Dawałam sobie radę w bardziej skomplikowanych sytuacjach. Chodzi o to, że zostało mi mało czasu. Muszę jeszcze przestudiować różne sprawy techniczne. Nie jestem też pewna, jaki sprzęt i materiały Patrick Dennison uznał za konieczne, a ekipa wyjechała do Oklahomy, zanim zdążyłam z nimi cokolwiek ustalić.

Były to zwykle wymówki i miała tego świadomość. Wiedziała bowiem, że cokolwiek Patrick uznał za niezbędne, prawdopodobnie będzie jej odpowiadało, doskonale też знаła kamerzystów, których zatrudnił. Przeszkadzało jej jedynie to, że Bryce i Griff będą oczekiwać od niej wskazówek, ona zaś wciąż była w lesie. Powoli zaczynała się orientować, co i jak, ale nie miała jeszcze jasnej koncepcji. Dopóki wszystkiego sobie w głowie nie ułoży, będzie się poruszała po omacku. W dodatku sprzeczne emocje, które nią zawładnęły - z jednej strony chęć zmierzenia się z żywiołem, z drugiej strony nienawiść wobec niego - niczego nie ułatwiały, ale o tym nie zamierzała mówić Mattowi.

- Ale nie przejmuj się mną - ciągnęła. - Skup się na swojej pracy, ja się skupię na mojej i po dwóch miesiącach pokażę ci wstępną wersję filmu, który będzie tak wspaniały, że szczeka ci opadnie.

- Nie wątpię w twój talent, Teddi.

- Ale wątpisz, czy podołam psychicznie?

- Ten projekt jest dla mnie szalenie ważny. Dlatego muszę być pewien, że sobie z nim poradzisz.

- Poradzę, słowo honoru. - Nie wiedziała jednak, kogo bardziej usiłuje przekonać: Matta czy siebie. Chcąc ukryć swą rozterkę, podniosła ze stolika kartę dań i posłała Mattowi czarujący uśmiech. - To co, zamawiamy? Robią tu najlepsze na świecie omlety. Ja osobiście polecam omlet Amelii Earhart: czarne oliwki, szynką śmietana. Niebo w gębie.

Matt wyczuł, że mimo promiennego uśmiechu Teddi próbuje utrzymać między nimi dystans, i zdał sobie sprawę, że podczas

wspólnego dwumiesięcznego pobytu w Oklahomie będzie miał do wyboru dwie możliwości: albo ten dystans zaakceptować, albo starać się go zniweczyć.

Tak czy owak, zapowiada się ciekawie.

RS

Teddi nic a nic nie przesadziła: omlet Amelii Earhart istotnie był przepyszny, a zachód słońca wręcz bajeczny. Siedząc przy stoliku patrzyli, jak złocisto-szkarłatne smugi na horyzoncie przechodzą w fiolet, najpierw w jasny, potem w ciemny, a następnie w granat i głęboką czerń. Kiedy skończyli jeść kolację, plaża pogrążona była w ciemnościach, ocean wyglądał jak czarna otchłań, i jedynie na deptaku paliły się latarnie.

Matt wyczuł, że wieczorem okolica nie jest tak bezpieczna jak za dnia, toteż w drodze powrotnej nie schodzili już na plażę, tylko trzymali się deptaka. Nie myślał jednak o jakimkolwiek niebezpieczeństwie; myślał tylko o Teddi. Przy kolacji próbował się czegoś o niej dowiedzieć - żadnych intymnych szczegółów nie poznał, usłyszał za to garść anegdot o zabawnych, choć czasem mrożących krew w żyłach przygodach, jakie miała podczas swych wyjazdów. W porównaniu z tym, co Teddi wyprawiała, polowanie na tornada było niemal nudnym i spokojnym zajęciem.

- No więc dosłownie wisiałam nad przepaścią - kontynuowała opowieść o wyprawie na Arktykę i wspinaczce po lodowcu. - Odległość w dół wynosiła około pięciuset metrów, za plecami miałam pustkę, przed sobą pionową ścianę lodu.

Matt słuchał z zapartym tchem. Widział film, który wówczas nakręciła, ale oczywiście przygoda, o której opowiadała, nie została sfilmowana. A było to tak: Teddi wraz ze swą ekipą wciągała sprzęt

na czubek lodowca. Nagle poślizgnęła się, straciła równowagę i spadła jakieś dziesięć metrów. Szarpnięcie uszkodziło linę, do której była przywiązana. Teddi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Jak widać, wszystko się dobrze skończyło.

- No i co zrobiłaś?

- Bardzo ostrożnie przysunęłam się do ściany i wbiłam w nią dwa haki. Wisiałam na nich, dopóki Bryce nie spuścił mi drugiej liny. Tak strasznie się trzęsłam, że nie byłam w stanie wykonać żadnego ruchu. Biedak sam musiał mnie wciągnąć na górę.

Matt podejrzewał, że przez Teddi przemawia skromność - że na pewno nie zwisała bezwładnie, czekając, aż Bryce sam się upora z zadaniem.

- Ten Bryce, o którym mówisz, to Bryce Lowell? Ten, który ma pracować przy naszym filmie?

Podobało się Teddi określenie „naszym”. Ucieszyła się, że jej reakcja na opis powstawania tornada nie zniechęciła Matta i nie podważyła jego zaufania do niej.

- Tak. Bryce to świetny operator i na szczęście piekielnie dobry alpinista. Nieraz wybawiał mnie z opresji - powiedziała, uśmiechając się łobuzersko. Szli po wyludnionym o tej porze deptaku.

- Ale ja też mu parę razy uratowałam tyłek. Przy okazji spytaj go o spływ kajakiem przez Wielki Kanion.

- Chyba tego filmu nie oglądałem - rzekł Matt, szukając w pamięci widoków kanionu.

- Bo to był prywatny wyjazd, nie związany z pracą.



- Aha. - Bał się, że jeśli powie cokolwiek więcej, głos go zdradzi. Wszystko wskazywało na to, że Teddi i Bryce'a Lowella łączyły nie tylko stosunki zawodowe. - Czy Bryce będzie z tobą pracował przy tym filmie o lotniach? - spytał po chwili.

- Jeszcze nie wiem. - Skręcili w wąską uliczkę prowadzącą do domu Teddi. - Kiedy ostatni raz się widzieliśmy, mówił, że agent próbuje mu załatwić angaż przy fabule. Ale to było dwa miesiące temu. Od tego czasu nie rozmawialiśmy.

Matt odetchnął z ulgą. Skoro nie rozmawiali od dwóch miesięcy, chyba nie łączy ich żadne wielkie uczucie. Nie chcąc być wścibski, zmienił temat.

- A ciebie nie interesują filmy fabularne?

- Nie bardzo. Nakręciłam kilka reklam i garść wideoklipów, ale fabuła zupełnie mnie nie pociąga. Nie ma w niej miejsca na fantazję.

- To znaczy?

- Filmy fabularne kręci się w oparciu o gotowy scenariusz, od którego raczej nie powinno się odchodzić. W dokumencie jest całkiem inaczej. Dokumentalista rejestruje na taśmie to, co widzi wokół siebie, a nie to, co ktoś sobie wymyślił. Dopiero potem montuje z tego film.

- Brzmi to tak, jakby nie było nic prostszego.

- Bo w porównaniu z fabułą praca przy dokumencie jest dość prosta. - Uśmiechnęła się. - Człowiek nie musi trzymać się sztywnych reguł, wszystko dzieje się spontanicznie...

- I to ci najbardziej odpowiada, prawda? Ta spontaniczność?

Skinęła głową. Nagle uświadomiwszy sobie, że od domu dzieli ją zaledwie kilka kroków, zaczęła szukać kluczy.

- Wolę małą ekipę, z którą mogę się swobodnie przemieszczać, zamiast setek kręcących się po planie osób. Lubię też mieć nad wszystkim kontrolę. Pracując nad dokumentem, jestem reżyserem, scenarzystą, operatorem i montażystą. Skoro dobrze mi to idzie, nie widzę powodu, żeby cokolwiek zmieniać.

- Wcale cię do tego nie namawiam.

Weszli na ganek. Stojąc z kluczem w ręce, Teddi poczuła się nieswojo. Ujrzała bowiem przed sobą nie naukowca i nie swojego zleceniodawcę, tylko przystojnego mężczyznę, który szalenie się jej podoba.

- Co teraz? - spytała otwierając drugą zasuwę. Pchnęła drzwi na oścież i oparłszy się o framugę, popatrzyła na Matta. W bladym świetle latarni jego twarz wydawała się jej tajemnicza i niezwykle pociągająca. - Jest dopiero wpół do dziewiątej. Chcesz mnie dalej doksztalcać, czy uznajemy, że starczy na dziś?

Dane meteorologiczne były ostatnią rzeczą, jaka chodziła mu po głowie, kiedy patrzył na Teddi wspartą nie dbale o framugę drzwi. Twarz miała lekko uniesioną, oczy lśniące. W jej spojrzeniu dostrzegł wyzwanie.

Wyzwanie? Czyżby naprawdę rzuciła mu wyzwanie? Chyba musi zdawać sobie sprawę, jaki wywiera na niego wpływ? Ciekaw był, czy świadomie z nim flirtuje, czy może zawsze zachowuje się w ten sposób.

Czy ona wie, jak bardzo pragnie wziąć ją w ramiona i pocałować? Nie ręczył za siebie, więc na wszelki wypadek cofnął się o krok.

- Uznajemy, że starczy - powiedział po dłuższej chwili. -  
Wylatuję jutro z samego rana, a ty masz jeszcze pełne ręce roboty.  
Muszę tylko zabrać teczkę...

- Wejdz. - Przystąpiła próg i zapaliła światło.

Matt stanął w drzwiach salonu; w środku panował okropny  
bałagan.

- Chryste, co za widok! Jakby przeleciało tędy tornado! Aż taki  
zostawiliśmy bajzel?

- A skądże. Opłacam dwóch skrzatów, żeby codziennie  
wieczorem przychodziły tu i przewracały pokój do góry nogami.

- Pomogę ci sprzątnąć. - Ruszył w stronę niskiego stolika.

- Nie musisz.

- Muszę, inaczej nie znajdę teczki.

- Na pewno gdzieś tu jest.

Podczas gdy Matt zgarniał rozrzucone po stoliku papiery i  
wpinał je z powrotem do skoroszytów, Teddi kucnęła przy fotelu i  
zaczęła porządkować książki oraz pisma fachowe. Wkrótce znalazła  
się wciśnięta w róg fotela płócienna torba, w której Matt przyniósł  
pomoce naukowe, a niedługo potem poszukiwanateczka.

- Zostawię ci te wszystkie materiały - oznajmił, kiedy  
doprowadzili pokój do jako takiego porządku. - Przed wyjazdem  
pewnie już nie będziesz miała czasu do nich zajrzeć, ale później się  
przydadzą.

- Dzięki, profesorku. Moja wdzięczność dla ciebie nie ma granic.

Roześmiał się, otworzył teczkę i z bocznej kieszeni wyjął  
ręcznie narysowaną mapkę.

- Masz, to też się przyda. Informacja, jak dojechać do Turner z Oklahoma City. Motel „Zachodni Wiatr” mieści się na południowym krańcu miasta. Nie sposób go przeoczyć. Po drugiej stronie kartki zapisałem, któredy najlepiej dojechać do ośrodka.

- Dzięki - powiedziała Teddi, przyjmując mapkę. Tkwili przykucnięci po przeciwnych stronach stolika; żadne nie wykonało najmniejszego ruchu, żeby wstać.

- Podoba mi się twoje poświęcenie, Teddi.

- Jakie poświęcenie? - Wzruszyła lekceważąco ramionami. - To normalne, że muszę się przygotować, poznać temat...

- Podobał mi się również spacer po Venice.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Nastąpiła chwila ciszy.

- No tak... Hm, czyli zobaczymy się w czwartek - powiedział.

- Tak, w czwartek.

- Obok adresu ośrodka zapisałem ci mój telefon. Do domu i do biura. Gdybyś miała jakiegokolwiek pytania, zadzwoń.

- Dobrze.

Ponownie nastąpiła cisza. Teddi wstała, Matt zamknął teczkę i również wstał. Ruszyli do drzwi. W progu odwrócił się i spojrzał na nią.

Miał ochotę zostać u niej dłużej, widziała to. Zastanawiał się, czy wypada mu ją pocałować. To również widziała. Wiedziała też, że nie chce, aby Matt wychodził; pragnęła, by ją pocałował. Mimo że starała się stłumić w sobie siłę, jaka ją do niego przyciągała nie całkiem jej się to udawało. Przerazały ją własne emocje, dlatego przez cały dzień próbowała utrzymać między sobą a Mattem dystans.

Gdyby była kimkolwiek innym, zapewne cofnęłaby się o krok i zamknęła drzwi. Ale nie była kimś innym, była Teddi O'Brien, a Teddi O'Brien nigdy się nie cofa.

Postąpiła więc krok do przodu.

- A, do diabła - powiedziała, wyjmując Mattowi teczkę z dłoni i stawiając ją na podłodze. Kiedy wyprostowała się, Matt uśmiechał się szeroko. - Lepiej miejmy to z głowy.

Objął ją w talii.

- Nie jesteś zbyt romantyczna.

- Bo romantyczne uczucia nie mają z tym nic wspólnego.

Uniosła twarz, czekając na pocałunek.

- Tak sądzisz?

Jego usta zatrzymały się dosłownie milimetr od jej warg.

- Przestać gadać i pocałuj mnie - szepnęła.

Gdy spełnił jej prośbę, poczuła, jak po plecach przebiega ją dreszcz rozkoszy. Objęła Matta za szyję, zachęcając go, by całował ją mocniej, jeszcze bardziej gorąco. Nie trzeba go było długo namawiać; wszak przez cały dzień o tym marzył.

Nigdy jeszcze nie była tak silnie podniecona. Tak łatwo byłoby ulec pożądaniu...

Kiedy Matt z wyraźnym ociąganiem oderwał od niej usta, wysunęła się z jego objęć i postąpiła krok w tył. Drżąca, obolała, zadyszana, oparła się o framugę drzwi. Nie spuszczała z niego wzroku, on zaś spojrzenie miał równie zmysłowe jak dotyk.

- To chyba był błąd - powiedziała, usiłując wyrównać oddech.

Czuła mrowienie w piersiach; marzyła, aby Matt wyciągnął rękę, zaczął je gładzić...

- Tak myślisz?

Uśmiechnął się; w jego oczach wciąż tlił się płomień.

- Jestem prawie pewna.

- Chcesz spróbować jeszcze raz? Żeby przekonać się do końca?

- Lepiej nie. - Zaśmiała się cicho. - Musisz zdążyć na samolot.

- Odlatuję dopiero rano.

Przygryzła wargę. Wciąż czuła na niej smak jego ust. Tym trudniej było jej zdobyć się na odmowę.

- Przykro mi, ale nie podaję śniadania na pierwszej randce.

- To nie była randka - przypomniał Matt.

- Wiem. To było, a przynajmniej miało być, spotkanie robocze.

- No właśnie. - Pokręcił głową. - Aż trudno w to uwierzyć.

Całowanie się z Mattem było jak zabawa z ogniem - coś, w czym Teddi celowała. Nie sądziła jednak, że się w trakcie poparzy.

Zwalczając w sobie pragnienie, aby jeszcze raz podsyć płomień, schyliła się po stojącą na podłodze teczkę.

- Dobranoc, Matt. Do zobaczenia w czwartek.

Zacisnął rękę na jej dłoni. Nie cofnęła jej, nie spuściła wzroku.

- Czy będziemy wówczas kontynuować... tę dyskusję? - spytał.

- Nie wiem - odparła szczerze. - To mogłoby być niebezpieczne.

Dla nas obojga.

- Tak, ale oboje uwielbiamy ryzyko.

- I w tym cały problem.

- Ja nie widzę problemu.

Powoli przyciągnął do siebie teczkę, a wraz z nią przyciągnął do siebie Teddi. Leciutko musnął wargami jej usta. Kiedy uniósł głowę, cofnęła dłoń z uchwytu teczki i odsunęła się.

- Dobranoc, Matt.

- Dobranoc.

Z wyraźnym oporem wyszedł na ganek i ruszył w dół po schodkach, zwalczając w sobie pokusę, aby odwrócić się i jeszcze raz popatrzeć na Teddi. Wreszcie nie mógł się dłużej powstrzymać, ale kiedy obejrzał się, drzwi były zamknięte.

Zatrzasnął walizkę. Poza przyborami do golenia, ubraniami, w którym zamierzał jutro lecieć, i szlafrokiem, który teraz miał na sobie, był już spakowany, a dopiero dochodzi dziesiąta.

Był zbyt pobudzony, żeby zasnąć, włączył więc telewizor, przejrzał wszystkie programy, ale nic nie przykuło na dłużej jego uwagi, więc z powrotem go wyłączył i rozejrzał się po pokoju. W teczce na stole leżały notatki do artykułu, który planował właśnie napisać, jednakże w tym momencie nie miał najmniejszej ochoty zasiadać do jakiegokolwiek pracy naukowej. Nie miał też ochoty na książkę, którą kupił pięć dni temu na lotnisku w Oklahoma City.

Nie potrafił przestać myśleć o Teddi O'Brien. Nawet zimny prysznic nie pomógł.

Wyciągnął się na łóżku i wlepił oczy w czarny ekran. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Dotychczas jeszcze żadna kobieta nie wywołała w nim tego typu uczuć.

Zastanawiał się, co mogło spowodować tak wielką fascynację osobą, o której prawie nic nie wiedział. Jej talent i sława? Chociaż

Teddi nie cieszyła się sławą w potocznym rozumieniu tego słowa, była niezwykle utalentowaną reżyserką, której filmy podziwiał i którą od dawna chciał poznać. Prawdę mówiąc, tak wiele się po niej spodziewał, że doznał niemal załamania nerwowego, kiedy się okazało, że nie spełnia jego oczekiwań. A potem stał się cud.

Odmieniona Teddi O'Brien przyszła do niego do hotelu; przekonała go, żeby zapomniał o jej wcześniejszym zachowaniu, żeby jej zaufał i zatrudnił ją do swojego filmu. Tak też uczynił, a później już na niczym innym nie mógł się skupić.

Coś ich ku sobie przyciąga, temu nie potrafił zaprzeczyć. Podejrzewał, iż bierze się to stąd, że pod wieloma względami są do siebie bardzo podobni. Może nie stanowią dwóch połówek jednego jabłka, ale na pewno istnieje między nimi duże pokrewieństwo duchowe. Coś ich do siebie ciągnie, coś się w nich tli, jakiś płomień, który - gdy tylko zbliżyli usta - wybuchnął z całą mocą.

Nie wiedział, co z tym począć. Przecież nawet z sobą nie spali. Łączył ich tylko jeden pocałunek, wprowadzie namiętny i pełen obietnic, ale...

Rozum mówił mu, żeby na nic więcej nie liczył, ciało jednak nie chciało się z tym zgodzić. Teddi oznajmiła, że nie lubi mieszać spraw zawodowych i prywatnych, po czym nadstawiła usta do pocałunku. Czy następny ruch należy teraz do niego? A może powinien zachować się jak dżentelmen i czekać, aż ona narzuci tempo? Ciekawiło go, jaka będzie reakcja Teddi, kiedy spotkają się w Turner: czy uda, że nic się nie stało, czy też wyrazi ochotę na dalszy ciąg?



Zanim zasnął, długo jeszcze o wszystkim myślał, dziesiątki pytań krążyły mu po głowie, w końcu jednak zrozumiał, że jeśli chodzi o Teddi, istnieje jedna logiczna odpowiedź.

Że nie powinien niczego oczekiwać, a musi być gotów na wszystko.

Nazajutrz wrócił do Ośrodka Badań nad Tornadami w Turner w stanie Oklahoma i spędził popołudnie, odpowiadając na pytania dotyczące pobytu w Hollywood. Nie, nie spotkał żadnej gwiazdy filmowej. Nie, nie poszedł podziwiać odcisniętych w betonie, przed Chinese Theatre, śladów stóp wielkiego Johna Wayne'a. Tak, udało mu się dogadać z Teddi O'Brien. Większość jego przyjaciół i współpracowników wiedziała, że Matt od początku marzył o pozyskaniu Teddi, bo każdego z nich zmusił przynajmniej raz do obejrzenia jednego z nakręconych przez nią filmów. Jego entuzjazm był zaraźliwy.

Osobie Teddi nie szczędził pochwał. Teraz wszyscy z niecierpliwością oczekiwali jej przyjazdu.

Zanosilo się na najbardziej burzowy sezon od wielu lat. Tego roku zima w Teksasie i Oklahomie była wyjątkowo ciepła i mokra, w stanach północnych zaś - sucha, z temperaturami dużo poniżej średniej. Ze zderzenia dwóch tak odmiennych cyrkulacji zwykle powstawały spektakularne zjawiska atmosferyczne. Zresztą z krótkoterminowej prognozy wynikało, że najbliższej burzy należy się spodziewać już pod koniec tygodnia.

W trakcie jego kilkudniowej nieobecności zebrało się mnóstwo roboty papierkowej, ale dopiero późnym popołudniem Matt znalazł

chwile, żeby się do niej zabrać. Polowanie na tornada stanowiło tylko drobny element jego zająć w ośrodku. Większość czasu spędzał na analizowaniu informacji meteorologicznych, na prowadzeniu badań w laboratorium, na tworzeniu komputerowej symulacji zjawisk atmosferycznych i nadzorowaniu badań prowadzonych przez innych naukowców. Był bardzo zajęтым człowiekiem, zwłaszcza w sezonie burzowym.

Chcąc nadgonić zaległości, zanim Teddi przyjedzie, zamknął się w gabinecie i poprosił telefonistkę, żeby nie łączyła z nim żadnych rozmów. Jednakże nie dane mu było popracować. Ledwo zaczął przeglądać korespondencję, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał, odkładając na bok nóż do listów. Zza drzwi wysunęła się głowa Laury Cochran.

- Cześć, przystojniaku. Znajdziesz chwilę dla dawno nie widzianej kumpelki?

Matt wstał ze śmiechem i okrążył biurko, żeby przywitać się z Laurą.

- Z przystojniakiem przesadzasz. Z dawno nie widzianą też. Ale chodź, chodź. - Uścisnął ją przyjaźnie, po czym wskazał krzesło. - Miałem zamiar zadzwonić do ciebie wieczorem i opowiedzieć ci o mojej wyprawie.

- To dobrze. Bo bałam się, że już o mnie zapomniałeś, Matt.

Po wesołych iskierkach, które migotały w jej niebieskich oczach, poznał, że żartuje. Przyjaźnili się w trójkę od czasu studiów na uniwersytecie; ona, Joe i Matt byli jak trzej muszkietierowie. Z początku Joe i Matt współzawodniczyli z sobą o względy atrakcyjnej

blondynki, ale Joe wygrał bezapelacyjnie. Matt musiał zadowolić się funkcją drużby na ich ślubie, potem był zaszczycony, kiedy poprosili go, by został ojcem chrzestnym ich syna.

Joe'ego nie było już wśród żywych, ale Matt nadal czuł się związany z jego rodziną. Łączyła ich przyjaźń do grobowej deski.

- Co cię sprowadza? Bo chyba nie tylko chęć, żeby mi dokuczyć? - spytał, siadając z powrotem przy biurku.

Laura mieszkała w Norman; prowadziła firmę świadczącą usługi gastronomiczne na bankietach, a jednocześnie pracowała w miejskim Komitecie Przeciwdziałania Klęskom.

- Przyjechałam tu z trzech powodów. - Sięgnęła do teczki, z której wyjęła dwa skoroszyty. Jeden podała Mattowi. - Po pierwsze chciałabym, żebyś przejrzał ostateczną wersję nowej broszury „Jak bezpiecznie przetrwać tornado”. Jeśli będziesz miał jakieś zastrzeżenia, daj mi znać do środy, bo na środę zaplanowano kolejne zebranie komitetu.

Matt rzucił okiem na parę stron, po czym odłożył skoroszyt na stos innych papierów, z którymi musiał się uporać przed końcem tygodnia.

- Do poniedziałku przekażę ci moje uwagi - obiecał.

- Dzięki. Już tyle się nad tym napracowałeś, że mam wyrzuty sumienia, prosząc cię jeszcze o cokolwiek.

- Nie żartuj. Zresztą zrewanżujesz mi się, prawda? Udzielisz wywiadu do kamery i opowiesz, jak należy postępować w razie zagrożenia tornadem.

Wzniosła oczy do nieba.

- Muszę? Ostatnim razem, kiedy ktoś przeprowadzał ze mną wywiad, ledwo rozpoznałam się w telewizji. Wyglądałam jak wyciągnięty na brzeg wieloryb.

- Wcale nie - oburzył się Matt. - Poza tym nie wykręcisz mi się. A teraz powód numer dwa? - spytał, nie dając jej szansy zaprotestować.

Otworzyła drugi skoroszyt.

- Musimy omówić jadłospis na twoje sobotnie przyjęcie.

- Na jęk rozpaczy Matta zareagowała dobrotliwym uśmiechem.

- Wiedziałam, że to cię ucieszy.

- Przygotuj to, co zawsze.

Każdego roku urządzał przyjęcie dla przyjezdnych meteorologów oraz dla pracowników ośrodka, żeby uczcić początek sezonu burzowego. Laura nienawidziła nie tyle przyjęcia, co powodu, dla którego je organizował, mimo to rok w rok zapewniała mu fachową obsługę.

- Ciągłe to słyszę, Matt, ale zapominasz, że muszę znać parę szczegółów. Na przykład: ilu spodziewasz się gości?

- Słusznie...

Sięgnął po kartkę, długopis i zaczął robić obliczenia.

Spodziewano się przyjazdu dwunastu meteorologów z innych ośrodków oraz pięciu zapalonych łowców-amatorów, którzy zawsze tak planowali sobie urlopy, aby wypadały w sezonie burzowym.

Oprócz nich miało przybyć piętnastu pracowników ośrodka, niektórzy z żonami, oraz dwóch profesorów z uniwersytetu. W sumie

czterdzieści osób. Podejrzał, że nie wszyscy zjawią się na przyjęciu, ale na wszelki wypadek taką liczbę podał Laurze.

Pokręciła głową.

- Z roku na rok lista coraz bardziej ci się rozrasta. Jak tak dalej pójdzie, niedługo będziesz musiał przesunąć godzinę na popołudniową i zacząć urządzać barbecue w ogrodzie - powiedziała, zapisując coś w notesie. - Hm, trzeba będzie postawić kilka stołów na tarasie za domem. Wszystkich w środku nie pomieścisz.

- Lauro, zrobisz, jak uważasz.

- A filmowcy? Ich liczyłeś?

Wprost nie mógł uwierzyć, że zapomniał o Teddi. Jak to możliwe? Przecież o niczym i nikim innym nie myślał, odkąd wczoraj wieczorem opuścił jej dom.

- O cholera! Dodaj do listy trzy osoby.

Laura poprawiła liczbę czterdzieści na czterdzieści trzy i zamknęła skoroszyt.

- Dobrze, wreszcie dochodzimy do trzeciego powodu mojej wizyty. Jak ci poszło w Hollywood? Czy widziałeś...

- Jakieś gwiazdy filmowe? - Roześmiał się. - Nie. Chciałem się umówić na randkę z Kathleen Turner, ale była zajęta.

- Biedaczek. A przynajmniej udało ci się spotkać z tą reżyserką, o której tak marzyłeś?

- Aha. Na początku trochę się poprzytykaliśmy, ale potem wszystko się wyjaśniło i zgodziła się w końcu przyjąć zlecenie.

- Co to znaczy: poprzytykaliście się?

Matt opowiedział Laurze o swojej pierwszej, zakończonej niepowodzeniem rozmowie z Teddi, o tym, jak dwa dni później zmieniła decyzję i jak spędzili dzień na trwającej od rana do wieczora sesji roboczej. Słowem nie wspomniał o pocałunku, ale Laura potrafiła czytać między wierszami - zbyt dobrze знаła Matta, aby mógł coś przed nią ukryć.

- Spodobała ci się, prawda? - spytała, uśmiechając się znacząco.

Udał, że tego nie widzi.

- Owszem. Teddi jest bardzo utalentowaną dokumentalistką.

- Nie o to pytam, Matt. Pytam o to, czy jest młoda i ładna.

Westchnął głośno, świadom, że Laura nie da mu spokoju, dopóki nie zaspokoi jej ciekawości.

- No dobrze. Na oko ma jakieś trzydzieści pięć lat i jest prześliczna.

- Czy ty jej się też podobasz?

- Chyba tak - odparł. - Ale z Teddi nigdy nic nie wiadomo.

Dotychczas nie znałem takiej kobiety...

- A to stanowi dodatkową pokusę? Uważaj na siebie, Matt. Nie chciałabym, żeby jakaś szałowa lala złamała ci serce.

- Teddi nie jest szałową lalą - sprzeciwił się. Laura uniosła pytająco brwi.

- Ale serce może ci złamać?

- Bo ja wiem? - Parsknął śmiechem. - Jakoś do tej pory żadnej się to nie udało.

- To dlatego, że unikasz trwałych związków - rzekła Laura, poważniejąc. - Ale może czas najwyższy, żebyś się ustatkował, co?

Odchylił się w fotelu i wzdychając ciężko, spytał:

- Czy mówiąc „ustatkowanie” masz na myśli, że powinienem się ożenić i spłodzić gromadkę dzieci, czy że powinienem przestać uganiać się za tornadami?

- Jedno i drugie. Wiem, że w głębi duszy chciałbyś założyć rodzinę, ale nie możesz mieć rodziny i jednocześnie robić tego, co robisz. Żadna kobieta nie wytrzyma życia w ciągłym napięciu.

Na początku swej kariery Matt nie zgodziłby się z taką opinią, ale teraz, po wielu latach pracy w ośrodku, zdawał sobie sprawę, że jednak Laura ma rację. Z bliska obserwował jej życie; widział, jak na nią wpłynęła śmierć Joe'ego. I zrozumiał, że to niesprawiedliwe i nieludzkie narażać ukochaną osobę na tego typu strach oraz niepewność, jakie towarzyszyły Laurze, kiedy Joe żył, i na potworną samotność, jaką znosiła po jego śmierci.

Z drugiej strony nie wyobrażał sobie, aby mógł zrezygnować z pracy w ośrodku. Raz jeden się nad tym zastanawiał, ale wówczas nie powodowała nim miłość.

- Lauro, przecież doskonale wiesz, że zajęcie, które wykonuję, stanowi integralną część mojej osoby. Tak jak nie mógłbym zmienić koloru oczu ani rozmiaru buta, tak nie mógłbym zmienić rodzaju pracy.

- Nawet dla ukochanej kobiety?

- Nawet. - Uśmiechnął się łagodnie. - Może przełożymy tę dyskusję na inny dzień, co?

- Kiedyś trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, Matt.

- Jakiej prawdzie, Lauro? Wbiłaś sobie do głowy, że polowanie na tornada jest niemal równoznaczne ze śmiercią. Rozumiem, dlaczego tak uważasz, ale to nijak się ma do prawdy.

- Ma się, ma! Tylko ty tego nie widzisz! - zawołała. - Słuchaj, Matt - ciągnęła po chwili spokojniejszym tonem. - Nie chcę, żebyś ty też zginął. Zbyt wiele dla mnie znaczysz, a ja już dość się nacierpiałam.

- Nie zginę, Lauro. - Mówił wolno, wyraźnie, kładąc nacisk na każde słowo. - A przynajmniej nie teraz i nie w pogoni za tornadem.

Kiedy na niego popatrzyła, w jej oczach malował się smutek.

- Joe mi to samo powtarzał - oznajmiła cicho.

- Lauro, ja nie jestem Joe.

- Wiem, ale tak jak on uwielbiasz ryzyko. Właśnie dlatego, z powodu tego dreszczyku emocji, uganiaasz się za burzami.

Zgadła, ale nie miał ochoty słuchać dalszej drobiazgowej analizy swojego charakteru. Zamiast sprzeczać się z Laurą, posłał jej łobuzerski uśmiech.

- W takim razie Teddi O'Brien idealnie się dla mnie nadaje - oświadczył. - W porównaniu z tym, co ona robi, pogoń za tornadem to zajęcie dla przedszkolaków.

- Wspaniale. Akurat tego ci trzeba! Kogoś, kto by podsycił w tobie żądzę przygód!

Matt poruszył zabawnie brwiami.

- Owszem, podsyci żądzę. Ale nie przygód. Laura wybuchnęła śmiechem.



- Nie mogę się doczekać tej twojej Teddi, ale nie ręczę za siebie. Jeśli jest choć trochę taka jak ty, kto wie, może uduszę was oboje i uratuję świat od pary szaleńców.

Matt odetchnął z ulgą, zadowolony, że wreszcie Laura odzyskała dobry humor.

- Poznasz ją w sobotę na przyjęciu u mnie. I na pewno polubisz.

- Zobaczymy. A jeśli chodzi o przyjęcie... - schowała skoroszyt do teczki - przyjadę około drugiej, żeby zdążyć wszystko przygotować.

Ucieszył się, że Laura przyszykowała się do wyjścia.

- Chcesz, żebym wcześniej zajrzał do ciebie i pomógł z transportem?

- Nie, dzięki. - Podniosła się z krzesła. - Stoły mam już wstawione do furgonetki, a do pomocy wezmę Coreya. Mógłbyś mi wyświadczyć drobną przysługę?

- Jaka? - spytał, obchodząc biurko.

- Powiedz mojemu synowi, że jeśli w sobotę mi nie pomoże, to nie ma co się pokazywać na przyjęciu. Ostatnimi czasy masz na niego większy wpływ niż ja.

Dawniej wygłaszała takie stwierdzenia żartobliwym tonem, ale tym razem daleko jej było do śmiechu. Od paru miesięcy miała kłopoty ze swoim dorosłym już synem i Matt często łagodził konflikty, jakie między nimi narastały.

- W porządku - obiecał. - Pewnie zajrzy do mnie po zajęciach.

- Nie wątpię - rzekła kąśliwie.

- Lauro, bądź co bądź Corey tu pracuje.

- Niestety.
- Znów się posprzeczaście? - spytał, przystając w progu.
- Nie. - Laura westchnęła ciężko. - Wciąż chodzi o to samo.

Mam uroczonego, kochanego syna, który nie znosi przebywać ze mną w jednym pokoju. Gdyby było go stać i na chesne, i na wynajęcie samodzielnego lokum, natychmiast by się z domu wyprowadził.

- Nie przejmuj się. Wkrótce mu minie - oświadczył bez większego przekonania Matt.

Laura pokręciła smętnie głową.

- Nie sądzę. Przynajmniej dopóki nie ulegnę jego prośbom albo dopóki nie uzna, że jest pełnoletni i nie musi mnie pytać o zdanie. Tak czy inaczej stracę syna.

Mimo upływającego czasu Laura zachowała dziewczęcą urodę i wdzięk, kiedy jednak mówiła o Coreyu, wyglądała na więcej niż swoje czterdzieści jeden lat.

- Zobaczysz, wszystko się dobrze ułoży - powiedział, próbując ją pocieszyć.

- Może. - Jej niebieskie oczy przepelnione były smutkiem.

- Tylko każde z nas co innego przez to rozumie. Ciebie nie martwi, że Corey chce podążać śladami swojego ojca, a mnie to przeraża. - Stała na palcach i pocałowała Matta w policzek.

- Do soboty.

- Pa, Lauro. I dzięki.

Kiedy ruszyła przed siebie korytarzem, zauważył, że krok ma znacznie mniej sprężysty niż dawniej. Współczuł Laurze, ale nie wiedział, jak jej pomóc. Uczynił już wszystko, co było w jego mocy.

Czasem nawet zastanawiał się, czy nie uczynił zbyt wiele.

## 5

Turner w stanie Oklahoma składało się z kilku ulic na krzyż. Ze względu na jego położenie - pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Oklahoma City - można by oczekiwać, że kiedyś stanie się tętniącą życiem podmiejską dzielnicą, ale na razie nic nie zapowiadało szybkiej urbanizacji. Z przydrożnej tablicy informacyjnej wynikało, że miasteczko liczy dwa tysiące trzysta sześćdziesięciu siedmiu mieszkańców, którzy - sądząc po rozmiarach planszy reklamowej - dumni są z faktu, że właśnie u nich odbywają się coroczne Dni Dzikiego Zachodu.

Przejeżdżając przez niewielkie centrum handlowe, Teddi zauważyła średniej wielkości supermarket oraz restaurację o nazwie "Pogawędka". Po drodze minęła również drogerię, sklep z narzędziami, kilka sklepów z odzieżą, salon z używanymi samochodami oraz lecznicę, gabinet dentystyczny i kancelarię adwokacką.

W sumie przejazd przez Turner - od północnego krańca, gdzie stał znak z nazwą miasta do lśniącej wieży ciśnień przy południowej granicy - zajął Teddi niecałe pięć minut.

- Przywyknij, staruszko - szepnęła do siebie, zerkając do kartki z instrukcjami, którą Matt dał jej trzy dni temu. - Tu będziesz mieszkać przez najbliższe dwa miesiące.

W poniedziałek wieczorem, po wyjściu Marta, spakowała się szybko, niemal machinalnie, jak przystało na kogoś, kto pakował się już setki razy. We wtorek rano odebrała wynajęty przez Patricka Dennisona sprzęt, a potem załatwiła tysiące drobnych spraw, które wymagają załatwienia zanim człowiek może opuścić dom na dwa miesiące.

Cieszyła się z tyłu zajęć, bo przynajmniej nie miała czasu roztrząsać w myślach tego, co zaszło między nią a Mattem. Ale wczoraj o świcie usiadła za kierownicą swojego forda i wyruszyła w długą podróż przez Arizone, Nowy Meksyk oraz Teksas. W samochodzie czasu na myślenie miała aż nadto.

Dziesiątki razy zastanawiała się, czy pocałunek nie był błędem. Czy teraz Matt nie będzie oczekiwał dalszego ciągu, do którego przecież nie dojdzie... A może jednak dojdzie? Czy ona sama tego chciała? Czy chciała przeżyć z Mattem romans?

Przypuszczalnie tak, bo inaczej by się z nim nie całowała. Była osobą impulsywną, spontaniczną do przesady. Na ogół instynkt jej nie zawodził. Czasem popełniała błędy, ale nigdy nad tym nie rozpaczała. Zawsze brnęła dalej naprzód.

Taka była zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnym. Romans ją pociągał. Nie myślała o miłości, wystarczała jej po prostu przygoda. Ale czy chciała przeżyć przygodę z człowiekiem, który polował na tornada? W związkach z mężczyznami lubiła pewien element ryzyka, ale ten konkretny związek graniczyłby z samobójstwem.

Przez większą część drogi nie miała pojęcia, co zrobić z Mattem, dopiero na terenie Nowego Meksyku uznała, że zdecyduje na miejscu. Nie mogła zapomnieć o tym, jak się całowali, a wyobrażenia bez przerwy podsuwała jej kolejne cudowne obrazy.

Wszystko to miało na Teddi niezwykle pozytywny wpływ. Głównie pozwoliło jej nie myśleć o tym, co ją czeka w nadchodzących tygodniach. Intelktualnie była przygotowana na pokonanie strachu, jednak psychicznie jeszcze nie stawiała mu czoła.

Była w połowie drogi przez Teksas, kiedy z wolna zaczęły ją nawiedzać wspomnienia. Z każdym przejechanym kilometrem ogarniało ją coraz większe uczucie niepokoju i dziwnego wyobcowania. Wieczorem zatrzymała się w motelu przy granicy Teksasu z Oklahomą, całą noc ciskała się po łóżku, a następnego ranka po raz pierwszy od dwudziestu lat znalazła się w swoich rodzinnych stronach.

Ostatnim dniem, jaki spędziła w Oklahomie, był dzień pogrzebu dwudziestu siedmiu ofiar tornada. Na cmentarz przybyli wszyscy mieszkańcy Dry Creek. Spośród dwudziestu siedmiu grobów trzy zawierały szczątki najważniejszych w życiu Teddi osób, ona jednak marzyła tylko o tym, żeby wyjechać, zostawić za sobą ból i cierpienie. Tak też zrobiła; wsiadła w samolot do Anaheim, gdzie mieszkała ciotka, i spędziła w Kalifornii następne dwadzieścia lat, próbując zapomnieć o nieszczęściu, jakie ją spotkało.

Teraz wróciła. Wydawało się jej to niemożliwe, ale przecież krajobraz za oknem nie był złudzeniem. Postanowiła nie myśleć o tragedii sprzed lat.

Zgodnie ze wskazówkami Matta, mniej więcej pół kilometra za wieżą ciśnień spostrzegła „Zachodni Wiatr”. Dotarła do kresu podróży. Motel był stary, ale dobrze utrzymany. Świecący napis na tablicy przed budynkiem informował o basenie, telewizji kablowej, kuchenkach - i braku wolnych pokoi.

Zdziwiła się. Z planszy na drugim końcu miasteczka wynikało, że Dni Dzikiego Zachodu odbywają się w czerwcu. Jakież więc inne ważne wydarzenia miały miejsce w malutkim Turner, skoro jedyny motel w całym miasteczku nie dysponuje wolnymi pokojami?

Wjeżdżając na parking, nagle uświadomiła sobie, co stanowi główną atrakcję dla gości spoza stanu: tornada. Ośrodek Badań nad Tornadami mieści się pięć kilometrów dalej. O tej porze roku niczym magnes przyciąga dziesiątki szaleńców, którzy uganiają się za nimi - dla przyjemności lub w ramach pracy zawodowej.

Zaparkowała czerwonego forda bronco na pustym miejscu tuż przed samym wejściem do budynku, zgasła silnik i głęboko odetchnęła.

- Witaj w domu wariatów - powiedziała sama do siebie.

Chwytnąjąc torebkę wielkości średnich rozmiarów walizki, wysiadła z auta i po raz setny tego dnia spojrzała na niebo. Było błękitne, niemal całkiem bezchmurne, ale co z tego? Wiedziała, jak szybko błękit nieba potrafi zniknąć, zostać przysłonięty huczącym, czarnym wirem, który niesie z sobą zniszczenie i śmierć. Dopiero dochodzi dziesiąta, a powietrze już jest nagrzane, wilgotne.

Przypuszczalnie o takiej pogodzie marzą, szaleńcy pokroju Matta Abernathy'ego.

- Brawo, Teddi. Doskonale. Jesteś bardzo obiektywna. Matt z pewnością się ucieszy, słysząc, że masz o nim tak pochlebnią opinię.

- Do mnie mówisz, złotko?

Odwróciła się zaskoczona. Tuż przed drzwiami budynku ujrzała siedzącego na krześle staruszka. Włosy miał rzadkie, białe jak śnieg, twarz spieczoną słońcem i gęsto usianą zmarszczkami. Swoimi niebieskimi oczami podejrzliwie przypatrywał się obcej.

Teddi posłała starcowi promienny uśmiech, w którym widać było ślady lekkiego zażenowania.

- Nie, proszę pana. Mówiłam do siebie.

- To niedobry zwyczaj.

- Wiem, ale nie umiem się go pozbyć. Czy pan jest tu kierownikiem?

Starzec skinął głową.

- Kierownikiem i właścicielem w jednej osobie. Nazywam się Gus Hanley. A ty pewnie jesteś T.D. O'Brien?

- Skąd pan wie? - zdziwiła się. Starzec wskazał na czerwonego forda.

- Kalifornijskie tablice rejestracyjne. Odkąd wybudowano ten nowy hotel przy zjeździe z autostrady, mało kto zatrzymuje się w "Zachodnim Wietrze". Ale o tej porze roku zawsze mamy komplet. Zjeżdżają do nas głównie wariaci, znaczy się zapaleni łowcy tornad. Poza tobą wszyscy dawno są na miejscu.

Teddi zatrzasnęła drzwiczki samochodu i roześmiała się cicho. Najwyraźniej jest ktoś jeszcze w Oklahomie, kto uważa ludzi zawodowo zajmujących się polowaniem na tornada za szaleńców.

- Ilu ich tu jest? Tych wariatów? - spytała.

- Mam osiemnaście pokoi i wszystkie są wynajęte do końca czerwca. Oczywiście nie każdy z gości zostaje przez cały sezon, ale ledwo jeden pokój się zwalnia zaraz zajmuje go ktoś inny. - Starzec zmrużył oczy i przyjrzał się Teddi uważnie. - Z listy rezerwacji wynika że ty, złotko, zostajesz do samego końca.

- Tak. Kręcę film dokumentalny o pracy ludzi z ośrodka.

- Wiem. Przedwczoraj dwóch facetów przyjechało mikrobusem wyładowanym sprzętem filmowym.

Powiedział to takim tonem, jakby co rusz zjeżdżali do Turner filmowcy. Zresztą może tak było. Przecież film Matta nie jest pierwszym na ten temat.

- Bryce Lowell i Griff Vandover?

- Zgadza się.

Teddi rozejrzała się po parkingu, ale nigdzie nie dostrzegła niebieskiego mikrobusu.

- Które zajmują pokoje?

- Piętnastkę i szesnastkę. Od drugiej strony budynku. Oni też o ciebie pytali - powiedział staruszek.

- Też? To znaczy poza nimi ktoś jeszcze?

- Tak. - Gus Hanley wskazał kciukiem w kierunku południowym. - Matt Abernathy. Dziś rano już trzy razy dzwonił z ośrodka. Masz powodzenie, złotko.

Teddi uśmiechnęła się, zadowolona, że Matt nie może doczekać się jej przyjazdu.



- Powinam więc zanieść rzeczy do pokoju i powiadomić go, że jestem.

Gus westchnął ciężko, mruknął coś pod nosem o „cholernym artretyzmie”, po czym wolno, trochę niezdarnie, zabrał się do wstawania. Teddi miała ochotę mu pomóc, ale powstrzymała się. Żółwym krokiem ruszyła za starcem do recepcji, a potem czekała, aż on, powłócząc nogami, dojdzie za kontuar.

- Pokój dziesiąty, w północno-wschodniej części budynku - oznajmił, podając jej klucz oraz kartę meldunkową. - Najlepszy pokój w całym motelu.

- Serio? - zdziwiła się. Owszem, liczyła na przyzwoite warunki mieszkaniowe, ale nie spodziewała się jakichś szczególnych przywilejów. - A co sprawia, że jest najlepszy?

Gus wykrzywił usta w szelmowskim uśmiechu, od którego jego poorana twarz pokryła się jeszcze gęstszą siatką zmarszczek.

- Położenie. Większość tornad nadciąga z południowego zachodu, toteż północno-wschodnia część budynku należy o tej porze roku do najbezpieczniejszych.

Teddi poczuła bolesny ucisk w sercu.

- A często je tu miewacie? - spytała głosem, który ku jej własnemu zdumieniu brzmiał zupełnie normalnie.

- Tornada? W ciągu ostatnich trzydziestu lat motel był dwukrotnie trafiony - oznajmił z dumą, starzec.

Może istotnie ma powód do dumy, pomyślała Teddi. Dwa razy stanął oko w oko z żywiołem i dwa razy udało mu się przeżyć.

- W sześćdziesiątym pierwszym roku potężna trąba niemal zrównała miasto z ziemią. Druga, znacznie mniejsza, która przeszła przez Turner sześć lat temu, zerwała dach z południowej części budynku.

Teddi wzdrygnęła się na myśl o wyrządzonych szkodach.

- I ciągle się pan odbudowuje? Gus wzruszył ramionami.

- Ten motel to jedyna rzecz, jaką mogę zostawić w spadku dzieciom i wnukom. Dlaczego miałbym go nie odbudowywać?

- No tak... - Siłąc się na spokój, którego wcale nie czuła, Teddi podrzuciła kluczyk i złapała go w powietrzu. - W każdym razie dzięki za bezpieczny pokój.

Podjechała samochodem na drugi koniec budynku, zaparkowała przed drzwiami oznaczonymi numerem dziesięć i zaczęła wyjmować rzeczy z bagażnika.

Nie było ich wiele - dwie walizki z ubraniami oraz jeden nieduży karton z przyborami kuchennymi. Resztę rzeczy zamierzała przewieźć do ośrodka, gdzie Matt obiecał przygotować dla niej miejsce do pracy.

Weszła do pokoju i rozejrzała się dookoła. Nowe lokum całkiem jej odpowiadało. Pod ścianą z lewej strony stało szerokie łóżko z materacem, który nie był ani za twardy, ani za miękki, pod oknem zaś znajdował się nieduży kącik wypoczynkowy z krzesłem, kanapą i starym telewizorem. Drzwi z prawej strony prowadziły do łazienki. Z korytarzyka wchodziło się do kuchni, w której mieściła się kuchenka z dwoma palnikami, mała lodówka oraz cztery szafki, dwie pod zlewem, dwie nad nim.

Dla kogoś takiego jak Teddi, komu zdarza się przez kilka miesięcy żyć w namiocie w odległej części świata, takie warunki wydawały się niemal luksusem.

- Gdzie pani, psze pani, postawić bagaże?

Słyszając znajomy, niski głos, Teddi odwróciła się i ujrzała opartą o framugę drzwi, skąpaną w blasku słonecznym, umięśnioną sylwetkę swojego starego przyjaciela. Uśmiechając się radośnie, zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Nie wierzę własnym oczom! Mój ulubiony kamerzysta! Bryce Lowell, szczerząc szeroko wszystkie zęby, wszedł do pokoju.

- E tam! Na pewno pani mówi tak do każdego operatora.

- Tylko do tych przystojnych - odparła Teddi, ściskając serdecznie przyjaciela. - Miło cię znów widzieć, Bryce.

- Ciebie też, Teddi - powiedział kamerzysta, po czym cofnął się o krok i spojrzał na nią z uśmiechem. - Świetnie wyglądasz.

- Dzięki. Ty również.

Wcale nie kłamała. Bryce Lowell zbliżał się do czterdziestki, ale patrząc na niego, trudno było w to uwierzyć. Długie ciemne włosy bez śladu siwizny nosił związane w koński ogon, a systematyczne wizyty w siłowni pomagały mu utrzymać zgrabną, ładnie umięśnioną sylwetkę. Twarz zaś miał opaloną na tak ciemny brąz, że przez kontrast jego oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie, niż były w rzeczywistości.

Ale Bryce był nie tylko przystojnym facetem, był również jednym z najlepszych przyjaciół Teddi. W pewnym momencie

zastanawiali się nawet, czy poprzestać na zwykłej przyjaźni, lecz jakoś nigdy nie doszło między nimi do romansu.

- Gdzie Griff?

- Na dworze, w mikrobusie. Akurat wybieraliśmy się do ośrodka, kiedy zobaczyliśmy twój samochód.

- Co? - Teddi zrobiła oburzoną minę. - Zamierzaliście jechać bez swojej dzielnej przywódczyni? To ma być lojalność?

- Dobra, dobra, przecież wstąpiliśmy po ciebie. Nawet mogę zabawić się w tragarza. - Cofnął się do drzwi i chwycił walizki. - Gdzie je położyć?

- Na łóżku. - Podniosła z podłogi karton z przyborami kuchennymi. - Byliście tam wczoraj? To znaczy, w ośrodku?

- Pewnie. Doktor Abernathy oprowadził nas po całym terenie.

- No i co?

- Miejsce robi wrażenie. A ludzie są mili i chętni do współpracy.

- To dobrze. - Postawiła karton przy zlewie. - A jakie wrażenie wywarł na was sam Abernathy? - spytała, usiłując zachować obojętność.

- Sympatyczny gość. - Bryce zmarszczył czoło. - Dlaczego pytasz? Masz o nim inne zdanie?

- Nie, nie - odparła szybko, udając niewiniątko. - To rzeczywiście sympatyczny gość.

Bryce pokiwał wolno głową.

- Aha.

- Co znaczy twoje „aha”?

- Nic, zupełnie nic. - Teraz on z kolei udawał niewiniątko.

- No dobra, mądrało. - Oparła ręce na biodrach i przybrała zagniewany wyraz. - Wiem, o czym myślisz.

- Myślę dokładnie to, co chcesz, żebym myślał. Inaczej byś mnie o faceta nie pytała. - Bryce uśmiechnął się. - Po prostu masz wszystko wypisane na twarzy. Więc jak? To coś poważnego?

Teddi westchnęła zniecierpliwiona.

- Nie przesadzaj, Bryce. Przecież poznałam go zaledwie tydzień temu.

- Jak chcesz coś osiągnąć, mała, to tydzień ci w zupełności wystarczy. Nie zapominaj, że nieraz oglądałem cię w akcji. Niestety, zawsze z pozycji obserwatora.

Wzruszyła ramionami.

- Miałeś szansę, ale nie skorzystałeś.

- I źle na tym nie wyszedłem.

- Aleś mi dogadał! - Zaśmiała się. - Sądziłam, że jestem niesamowitą feme fatale, która na prawo i lewo łamie mężczyznom serca.

- Nie pochlebiaj sobie. Masz dostatecznie silne ego.

- Racja. - Teddi podniosła torebkę i wyszła z pokoju. - No, na co czekasz? Chodźmy. Doktor Abernathy nie wie, że już przyjechałam, a od rana tu wydzwania. Muszę powiadomić go, że ekipa jest w komplecie. Trzeba też przygotować montażownię. Od jutra możemy nagrywać wywiady...

Bryce wyszedł za nią na dwór.

- Nie liczyłbym na to.

- Dlaczego? - Zamknęła drzwi, po czym mrużąc oczy przed słońcem, spojrzała na Bryce'a.

- Rozmawiałem rano z Abernathym. Facet nie posiadał się z radości. Otóż wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że już jutro po południu ruszymy w pierwszą pogoń.

Jutro po południu? Tak szybko? Teddi poczuła, jak serce jej łomocze. Zmuszając usta do uśmiechu, zaczęła grzebać w torebce, szukając okularów słonecznych.

- Więc nie traćmy czasu. Mamy mnóstwo roboty.

- Tak jest, szefowo - powiedział Bryce, odprowadzając ją do samochodu.

Ośrodek Badań nad Tornadami znajdował się na środku pustkowiec; był to kompleks budynków, parkingów i pięknie utrzymanych trawników, otoczony ze wszystkich stron polami uprawnymi, które ciągnęły się aż po horyzont. Pracownie naukowe mieściły się w rozległym, piętrowym budynku, ale nie on dominował nad całością - nad całością dominowała wielka, biała kopuła ponad dziesięciometrowej wysokości, wsparta na okrągłej, czarnej podstawie.

Od placu, na którym zaparkowali samochody, dzieliło kopułę jakieś pięćdziesiąt metrów, mimo to Teddi czuła się przytłoczona jej ogromem.

- Wygląda jak gigantyczna piłka baseballowa, no nie? - zauważył Griff Vandover, wysiadając z mikrobusu.

- Tak. Ciekawe, jak potężny musiałby być do niej kij? - Teddi uśmiechnęła się do drugiego członka ekipy.

Griff, niski, krępy, pięćdziesięcioletni mężczyzna o zniszczonej twarzy, odznaczał się dość wybuchowym charakterem, w sumie jednak należał do ulubionych oświetleniowców Teddi.

- To pewnie stacja dopplerowska?

- Zgadłś. - Bryce wyłonił się zza mikrobusu. - Podobno urządzenie jest tak czułe, że z odległości ponad stu pięćdziesięciu kilometrów potrafi wychwycić drgania powietrza spowodowane przelatującą chmurą owadów.

- Świetnie. Czyli nie grozi nam niespodziewany atak ze strony pszczół.

Bryce parsknął śmiechem.

- Tego akurat nie wiem. To co, filmujemy?

- Dziś jeszcze nie - odparła z namysłem Teddi. - Najpierw chcę się trochę rozejrzeć. Ale ty, Griff, możesz zrobić wstępne pomiary. Przydadzą się później.

- W porządku. - Griff Vandover zniknął za mikrobusem; po chwili pojawił się z przewieszoną przez ramię torbą wypełnioną po brzegi sprzętem.

Z oświetleniowcem przy prawym boku, z kamerzystą przy lewym, Teddi ruszyła przez parking. Natychmiast rzuciło się w jej w oczy, że samochodów z tablicami oklahomskimi jest dwukrotnie mniej niż z tablicami innych stanów.

Byli kilkanaście metrów od oszklonego holu, kiedy drzwi się otworzyły i ze środka wybiegł wysoki, uśmiechnięty młodzieniec z burzą jasnych jak pszenica włosów, długich na czubku głowy, modnie przystrzyżonych nad uszami.

- Teddi O'Brien? - zawołał, machając entuzjastycznie do zbliżającej się trójki gości.

- Owszem.

- Cześć. Jestem Corey Cochran, pomocnik Matta Abernathy'ego.

- Wyciągnął na powitanie rękę. - Serdecznie witam w naszym ośrodku.

- Dziękuję - rzekła Teddi, po czym wskazała na towarzyszących jej mężczyzn. - Poznałeś już moją ekipę?

- Nie. Nie było mnie wczoraj, kiedy przyjechali. Taki już mój los.

- A więc ten po lewej to Bryce Lowell, który filmuje drugą kamerą, a ten po prawej to Griff Vandover, który zajmuje się wszystkim innym: światłem, dźwiękiem, trzecią kamerą...

Przywitawszy się z nimi, Corey wskazał na budynek.

- Chodźmy. Matt nie może się was doczekać. Kilka minut temu dzwonił do motelu i Gus powiedział, że jesteście w drodze.

- A ty, Corey, robisz za komitet powitalny? - spytała Teddi. Chłopak skinął głową.

- Za komitet powitalny i waszego przewodnika. - Zgiął się w zabawnym ukłonie. - Matt jest w garażu na zapleczu. Jedna z anten na furgonetce używanej do łowów trochę zaczęła szwankować, a on udaje, że potrafi ją naprawić.

Teddi roześmiała się. Widać było, że pomiędzy Mattem a jego podwładnymi panują przyjacielskie stosunki.

- Chciałabym to zobaczyć.



- No to chodźcie. Zaprowadzę was, a przy okazji pokażę, gdzie co jest,

- Od dawna pracujesz z doktorem Abernathym? - spytała, gdy szli w kierunku budynku.

- Pierwszy rok, ale znam Matta od dziecka. To najlepszy spec od tornad w całych Stanach.

Nie zamierzała się z nim sprzeczać.

- Bryce mówił, że chcecie jutro ruszyć w pogoń. Czy problemy z anteną nie opóźnią wyprawy?

- Co to, to nie. - Corey zaśmiał się krótko. - Widać tyle punktów zapalnych, że Matt nie przepuści okazji. Jeśli trzeba będzie, ruszy nawet na piechotę.

- Co to są punkty zapalne?

- Miejsca, gdzie mogą wyrosnąć tornada.

- Rozumiem.

Corey otworzył drzwi i przepuścił Teddi przodem. Znaleźli się w holu. Było to nieduże pomieszczenie z biurkiem, przy którym nikt nie siedział, i stojącymi pod ścianą krzesłami. Najbardziej rzucały się w oczy ogromne zdjęcia wielkości plakatów przedstawiające tornada.

Powtarzając sobie w duchu, że to tylko zdjęcia, Teddi zmusiła się do tego, aby nie wpadając w histerię, rozejrzeć się dookoła. Z wrażenie aż struchlała. Poczula się tak, jakby ze wszystkich stron otaczała ją śmierć.

- Wspaniale, no nie? - spytał Corey, wchodząc za wszystkimi do środka. - Większość pstryknął Matt.

- Serio? - Z całej siły starała się opanować nerwy, ale chyba nie bardzo się jej udało, bo Bryce zerknął na nią z niepokojem. Odsunęła się i ponownie skierowała wzrok na zdjęcia. -Dziwne, nie ma dwóch identycznych...

- To prawda. Matt twierdzi, że każde tornado ma własną osobowość. - Młodzieniec wskazał na jedno wyjątkowo wyraziste zdjęcie, które przedstawiało idealnie uformowany, czarny lej na jaskrawym, niebiesko-białym tle. - To jest jego ulubione.

- Zdjęcie?

- Nie, tornado - odparł ze śmiechem Corey. - Zrobił zdjęcie w chwili, kiedy tornado zetknęło się z ziemią. Osiadło na polu pszenicy. A to... - Skinął głową w stronę następnego, na którym widać było długi, pusty odcinek szosy z ciągnącymi się wzdłuż pobocza słupami wysokiego napięcia. Unosząca się nad szosą trąba powietrzna wyglądała jak wąski, biały wąż, łączący asfalt z ciemnym niebem. - To zrobił pięć minut później, kiedy tornado przecięło mu drogę. - Corey stanął przed kolejnym zdjęciem. - A to pstryknął, kiedy już zaczęło się wypalać.

- Wypalać? - spytał Griff.

- To zwykle ostatnie stadium. Trąba powietrzna wiruje tak szybko, że wsysa wszystko, co napotka na swej drodze, ale w końcu kiedyś traci siłę, zaczyna się załamywać, wypalać.

Wskazał palcem na ciemnoszarą linię w kształcie odwróconej litery S, która szła od nieba do ziemi. Bryce zbliżył się do ściany.

- Więc te trzy zdjęcia przedstawiają jedno i to samo tornado? - spytał zdumiony.

- Zgadza się. Różni się dlatego, że wykonano je z trzech stron i w kilkuminutowych odstępach czasu. W trakcie robienia pierwszego zdjęcia Matt patrzył na zachód, a tornado szło prosto na niego. Kiedy było już blisko, wtedy odjechał ze dwa kilometry na południe i zrobił dwa kolejne zdjęcia, jedno - kierując obiektyw na północ, drugie - kierując go na wschód. Dlatego na pierwszym zdjęciu lej jest czarny, a na pozostałych dwóch jasny.

Teddi ledwo powstrzymała drżenie.

- Byłeś wtedy z nim? - spytała.

- Niestety nie - odparł z nutą żalu w głosie. - Te zdjęcia mają już dziesięć lat. Swoją drogą, rzadko trafiają się tak potężne tornada.

Kolejny szalenciec, pomyślała Teddi, ale oczywiście zachowała tę myśl dla siebie.

- A ile... tornad widziałeś? Uśmiech znikł z twarzy młodzieńca.

- Jedno, kiedy miałem sześć lat.

- To nie jesteś łowcą? Sądziłam...

- Nie jestem członkiem zespołu łowców - oznajmił sztywno. -  
Przykro mi, jeżeli wprowadziłem cię w błąd.

- Ależ nie, nie. To moja wina - zaprotestowała Teddi, zastanawiając się, co spowodowało tak nagłą zmianę nastroju Coreya.

- Kiedy parę dni temu doktor Abernathy wprowadzał mnie w temat, wspomniał, że w zespole pracuje kilku studentów, więc po prostu sama uznałam, że jesteś jednym z nich.

- Owszem, studiuje na uniwersytecie stanowym w Norman, ale tu pracuję przy analizie danych. Pomagam Mattowi analizować informacje, które inni zbiorą. To fascynująca praca.

Z jego spojrzenia można było jednak wyczytać, że nienawidzi swego zajęcia. Teddi podejrzewała, że coś się za tym kryje, ale nie chciała wtykać nosa w nie swoje sprawy. Zresztą była pewną że prędzej czy później i tak pozna prawdę. Liczyła na to, że w ciągu tych dwóch miesięcy, jakie spędzi w Turner, dowie się wszystkiego o Matcie Abernathym, jego przyjaciółach i współpracownikach.

- Chodźmy - powiedział Corey, spoglądając na korytarz, który wiódł w głąb budynku. - Matt się będzie niecierpliwił...,

- Prowadź.

Teddi ruszyła za młodzieńcem. Nagle spostrzegła przy swoim boku Bryce'a, który pochylił się w jej stronę z zatroskaną miną i spytał szeptem:

- Dobrze się czujesz?

- Tak, świetnie - odparła, modląc się w duchu, aby głos się jej nie załamał. - Dlaczego pytasz?

- Nie wiem. Zachowywałaś się trochę... dziwnie. Uśmiechnęła się figlarnie.

- No tak, istotnie masz powód do niepokoju.

- Owszem, mam. - Nawet nie próbował żartować. - Nigdy dotąd nie widziałem cię tak spiętej. Co się dzieje, Teddi?

- Nic. - Przyśpieszyła kroku, usiłując dogonić Coreya i Griffa. - Chodź, bo jeszcze się zgubimy.

- W porządku - powiedział, również zwiększając tempo. Jednak co rusz zerkał na nią spod oka.

Teddi uświadomiła sobie, że musi nauczyć się lepiej ukrywać swoje emocje. Jeżeli tego nie zrobi, wkrótce wszyscy się dowiedzą, że

cała rodzina O'Brienów została zabita przez trąbę powietrzną - i że ją, Teddi, na samą myśl o słowie „tornado” ogarnia śmiertelne przerażenie.

RS

Wędrowali przez labirynt korytarzy, mijając biura, pracownie i sale wypełnione aparaturą, z jaką Teddi nigdy się dotąd nie zetknęła. Mniej więcej pośrodku budynku mieściło się ogromne, oszklone pomieszczenie z wielką tablicą rozdzielczą, nad którą widniały dziesiątki ekranów radarowych. Komputery wzdłuż ściany na prawo od drzwi przekazywały najprzeróżniejsze informacje, zaś ścianę na lewo pokrywała gigantyczna mapa Ameryki Północnej, na której migotały jaskrawe światełka.

Wszystko razem robiło niesamowite wrażenie.

- Chryste, chcecie być konkurencją dla NASA, czy co? - zażartowała Teddi.

- Tak wygląda, nie? - Corey wyszczerzył w uśmiechu zęby. - To jest nasza stacja kontrolna. Tu się mieści centralny

system informacji, tu zbieramy dane przekazywane przez satelity oraz stacje meteorologiczne z innych części kraju. Stąd monitorujemy radar dopplerowski. Podczas akcji zespoły łączą się ze stacją, żeby uzyskać wszystkie potrzebne im informacje...

Teddi zerknęła na Griffa, a ten skinął głową. Po latach wspólnej pracy nie musiała mu mówić, żeby wyciągnął światłomierz.

Wystarczyło jedno spojrzenie: rozumieli się bez słów.

Opuścili stację kontrolną, a po chwili opuścili również klimatyzowany budynek. Corey zaprowadził ich do ogromnego garażu, w którym było straszliwie duszno, a w powietrzu unosił się

stęchły zapach smarów. Przez otwarte drzwi wpadało do środka światło. Tuż za drzwiami stały trzy pojazdy: kombi, pikap oraz duża furgonetka, wszystkie w kolorze piaskowym. Kombi miało narysowane na drzwiach tornado. Teddi podejrzewała, że pozostałe dwa pojazdy zdobi identyczny rysunek.

- Matt! - zawołał Corey.

- Tu jestem.

Słyszając znajomy głos, Teddi zaczęła przesuwając wzrokiem po dachu furgonetki, gdzie wśród różnych kabli, skrzynek, anten nadawczych, odbiorczych i małej anteny satelitarnej wreszcie dojrzała Matta. Meteorolog uniósł głowę i uśmiechnął się do gości.

- Dzień dobry! - Powitanie skierowane było do wszystkich, ale po chwili patrzył już tylko na Teddi i uśmiechał się tylko do niej. - Witaj w Oklahomie.

- Dzięki. - Teddi odwzajemniła uśmiech; serce biło jej niespokojnie. - Coś się zepsuło? - spytała, przechodząc na tył furgonetki. Wąska drabinka prowadziła na dach.

Matt uderzył śrubokrętem w podstawę anteny satelitarnej.

- Nie chce się obracać.

Teddi stanęła na trzecim szczebelku, żeby mieć lepszy widok na Matta. Przy okazji przekonała się, że dach furgonetki jest specjalnie wzmocniony, tak by utrzymać ciężar aparatury.

- Poradzisz sobie czy potrzebujesz pomocy?

- A co? Znasz się na ślusarstwie?

Bryce z Griffem ryknęli śmiechem; Teddi posłała im obu mordercze spojrzenie.

- Nie - odparła. - Ale mam dwóch współpracowników, którym zawsze się wydaje, że wszystko potrafią. Czasem istotnie potrafią. Zwłaszcza Griff, i zwłaszcza gdy chodzi o problemy związane z mechaniką czy elektroniką.

Matt popatrzył na Griffa Vandovera.

- Byłbym wdzięczny za pomoc. Na ogół sami radzimy sobie z wszelkimi usterkami, ale człowiek, który jest odpowiedzialny za sprzęt i naprawy, został akurat wezwany do domu w pilnej sprawie rodzinnej. Wróci dopiero w poniedziałek. Jego żona - dodał, spoglądając na Teddi - wybrała bardzo niefortunny czas na urodzenie dziecka.

Teddi zachichotała pod nosem.

- Jesteś, jak widzę, sentymentalnym romantykiem.

- U nas - powiedział z uśmiechem Matt - termin „planowanie rodziny” oznacza nierodzenie dzieci w sezonie burzowym.

Griff zbliżył się do drabinki.

- No dobra, dajcie mi zobaczyć, co się zepsuło.

Teddi pośpiesznie zeszła na dół. Po chwili Matt wyplątał się z gmatwaniny kabli na dachu i również zszedł na dół, a jego miejsce zajął Griff.

- Corey... - Matt położył rękę na ramieniu swego młodego pomocnika. - Wsiądź do furgonetki i włącz aparaturę. Upewnij się, czy Griff niczego nie potrzebuje.

- W porządku, Matt. - Sądząc po jego spojrzeniu, chłopak zapewne skoczyłby z mostu, gdyby Matt go o to poprosił. Nie ulegało wątpliwości, że uwielbia swego szefa.



Bryce Lowell popatrzył z zadumą to na Teddi, to na Matta, i ruszył za chłopakiem.

- Pójdę z tobą, Corey. Chętnie rzucę okiem na wyposażenie.

Furgonetka najpierw zatrzęsła się, kiedy Griff czołgał się po dachu, potem znów się zatrzęsła kiedy jego dwaj pomocnicy ładowali się do środka.

- Wreszcie sami - powiedział Matt do Teddi. - Jak ci minęła podróż? Trafiłaś bez trudu?

- Podróż minęła dobrze, a z trafieniem nie miałam żadnych problemów.

- Mam nadzieję, że pokój w motelu ci odpowiada...

- Jest doskonały. I ogromny w porównaniu z innymi, w których zdarzało mi się spać.

- To dobrze. Cieszę się, że jesteś.

Wiedziała że cieszy się nie tylko ze względów zawodowych, ale na razie postanowiła się na nich skupić.

- Wcale mnie nie dziwi twoja radość - oznajmiła lekkim tonem. - Bryce mówił, że może już jutro po południu ruszymy w pościg.

- To prawda - przyznał Matt ze skruszoną miną. - Strasznie mi głupio, że nie daję ci chwili na zaaklimatyzowanie się, ale wszystko wskazuje na to, że...

- Przestań - przerwała mu. - Przyjechałam do pracy i wolę od razu być rzucona na głęboką wodę, niż zanurzać się po kilka centymetrów. Żałuję tylko, że nie miałam czasu zapoznać się lepiej z materiałami, które u mnie zostawiłeś.

- Nie przejmuj się. Więcej nauczysz się tu na miejscu niż z książek. Jutrzejszy wyjazd w teren potraktujemy jako próbę.

- Generalną.

Uśmiechnęli się do siebie. Tym razem jednak Teddi nawet nie zwróciła uwagi na cudowny uśmiech Matta, ponieważ miała na głowie mnóstwo ważniejszych spraw. Wcześniej wyobrażała sobie, że przez kilka dni będzie spokojnie obserwować naukowców przy pracy i że dopiero później zacznie kręcić ich w akcji. Teraz okazało się, że akcja rozpocznie się za niecałe dwadzieścia cztery godziny.

- No dobra, skupmy się na robocie.

- Co chcesz wiedzieć? - spytał Matt, rozumiejąc jej potrzebę zdobycia informacji.

Usiłowała sobie przypomnieć, co jej mówił trzy dni temu w Los Angeles.

- Zespół składa się z sześciu osób. Cztery jadą w furgonetce, dwie w pikapie. Zgadza się?

- Tak, ale tym razem nie będzie z nami Toma Pattena.

Pomyślałem, że zrobimy tak: dla ciebie przygotujemy miejsce z tyłu furgonetki, Bryce pojedzie w pikapie, w tak zwanej ekipie bębniarzy, a Ryan Sawyer zabierze się z Griffem. W ten sposób każde z was będzie miało przy sobie kogoś doświadczonego. W porządku?

- Tak. A jak się będziemy porozumiewać? Za pomocą krótkofalówek?

- Zgadłaś. W furgonetce mamy też telefon komórkowy, który używamy do łączności ze stacją kontrolną, to znaczy...

- Wiem. To ten wielki oszklony pokój. Zwiedzaliśmy go z Coreym.

- Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Teddi zadawała pytanie po pytaniu, dopóki Griff nie naprawił anteny. Po zejściu z dachu zarówno on, jak i Bryce dołączyli do Matta z własnymi pytaniami.

- Słyszałem, jak wczoraj ktoś mówił, że musimy koniecznie sfilmować bębniarzy w akcji - powiedział Bryce. - O co chodzi? Jakich bębniarzy? Czym się zajmują?

Matt ruszył w stronę pikapu, za nim pozostali.

- Ekipa bębniarzy, inaczej rotowcy, zawiaduje tą zabaweczką. - Wskazał ręką na jaskrawożółty stalowy bęben, z którego wystawały różne pręty i druty. - Jest to Roto II, czyli Ruchome Obserwatorium Tornadowe drugiej generacji. Kiedy udaje nam się wytropić burzę, staramy się przewidzieć drogę, którą tornado obierze. Następnie docieramy z Roto II jak najbliżej miejsca, w które naszym zdaniem tornado uderzy, wytaczamy bęben z pikapu i czym prędzej dajemy dyla. Jeśli istotnie uderza w pobliżu, otrzymujemy informacje, których w żaden inny sposób nie moglibyśmy zdobyć.

Bryce wskoczył do pikapu, żeby dokładniej obejrzyć urządzenie.

- I co? Często wam szczęście dopisuje?

- Nie - przyznał ze śmiechem Matt. - Podobno Roto II jest odporne na bezpośrednie uderzenie, ale jeszcze nie mieliśmy okazji się o tym przekonać.

- Czy warto ryzykować? - spytała Teddi. Słyszając, jak Griff krztusi się ze śmiechu, zdała sobie sprawę, jak komicznie musi

brzmieć to pytanie w ustach takiej ryzykantki jak ona. - Przecież ustawianie bębna na trasie tornada musi być niebezpieczne.

Była niesłychanie dumna z faktu, że zdołała bez zajknięcia wymówić słowo „tornado”, choć oczywiście nikt na to nie zwrócił najmniejszej uwagi.

- Owszem, jest niebezpieczne - zgodził się Matt. - Pościg również, choć w trochę mniejszym stopniu. Ale członkowie mojego zespołu są świadomi ryzyka i wierzą, że należy je podejmować. Prawie wszystkie informacje, jakie mamy o trąbach powietrznych, pochodzą z obserwacji poczynionych przez łowców burz.

- To prawda - poparł Matta Corey. - Radar dopplerowski pokazywał jedynie kolory na ekranie, dopóki tacy naukowcy jak Matt i mój ojciec nie zaczęli porównywać naocznych obserwacji z odczytami dokonywanymi w ośrodku.

Teddi zaciekała informacją o ojcu Coreya.

- Twój ojciec też jest meteorologiem? Pewnie cieszy się, że poszedłeś w jego ślady?

Chłopak zerknął na Matta; jego twarz posmutniała.

- Tata umarł, kiedy miałem siedem lat.

Matt odruchowo otoczył Coreya ramieniem, jakby chciał go pocieszyć, ochronić przed złem.

- Joe zginął w trakcie pościgu - wyjaśnił ekipie filmowców.

Przenosząc wzrok z jednego na drugiego, Teddi zrozumiała, że to, co wcześniej zauważyła w oczach Coreya, kiedy patrzył na Matta, nie było zwykłym podziwem czy uwielbieniem. Nie, to było uczucie znacznie głębsze, znacznie bardziej złożone. Nagle przypomniała

sobie słowa Matta, że jego najlepszy przyjaciel został zabity przez tornado, i w tym momencie stosunek łączący ucznia i mistrza stał się dla niej całkiem jasny.

- Przykro mi - rzekła, obejmując spojrzeniem obydwu mężczyzn, ponieważ obydwaj ponieśli stratę. Stratę, którą ona rozumiała aż nadto dobrze. - Nie wiedziałam...

- Nie szkodzi - oznajmił Corey. - Przecież nie mogłaś wiedzieć.

Kiedy zwróciła oczy na Matta, ten pojął, że poskładała razem części łamigłówek i poznała prawdę. Ledwo widocznym skinieniem głowy potwierdził jej przypuszczenia, po czym zmienił temat.

- No dobra, wracamy do pytań. Jeśli jeszcze jakieś macie...

Bryce pierwszy skorzystał z okazji.

- Jak znajdujecie tornado, za którym się potem uganiacie?

- To właśnie jest najtrudniejsze. Często na nosa.

- Ale to się zmieni w tym sezonie - wtrącił Corey.

- Dlaczego akurat w tym sezonie? - spytała Teddi.

- Bo Matt udowodni swoją teorię i całkowicie zrewolucjonizuje badania nad tornadami - stwierdził z dumą chłopak.

Matt parsknął śmiechem.

- Następnie przejdę po wodzie, rozwiążę problem głodu na świecie i sam jeden oczyszczę nasze środowisko naturalne.

- Co to za teoria? - zainteresowała się Teddi. - Zauważyłam jakieś odniesienia do niej, kiedy przeglądałam notatki Pata Dennisona, ale nie miałam czasu się z nią zapoznać.

Matt wrócił do furgonetki, znikł w środku i po chwili wyłonił się z płaskim, czarnym pudełkiem. Otworzył wieczko, ukazując niedużą tablicę przyrządów pomiarowo-kontrolnych, i podał urządzenie Teddi.

Griff natychmiast podszedł bliżej; Bryce, który wciąż stał w pikapie, też przysunął się, żeby zerknąć jej przez ramię.

- Jak to działa? - spytała Teddi, patrząc na mały monitor, klawiaturę i różne przyciski ukryte pod wieczkiem.

Matt wcisnął przycisk z prawej strony uniesionego wieczka; nagle wysunęła się mała antenka w kształcie parasola.

- To jest Pandora, przenośny radar dopplerowski z komputerem. Zastosowany na terenie objętym burzą, powinien pokazać z wyprzedzeniem około piętnastu, dwudziestu minut, czy z danej burzy zrodzi się tornado.

- Jaki ma stopień dokładności? - spytał Bryce.

- Nie wiem - przyznał meteorolog. - Właśnie to chciałbym sprawdzić. Pod koniec zeszłego sezonu robiliśmy testy, ale wyniki okazały się żałosne. Oczywiście fakt, iż był to stosunkowo spokojny sezon, niemal całkiem pozbawiony tornad, nie ułatwił nam zadania.

- Może jestem tupa, ale jednego nie pojmuję - powiedziała Teddi, oddając Mattowi Pandorę. - Jeżeli urządzenie działa tylko wtedy, gdy znajduje się w bezpośrednim kontakcie z burzą, jaki to ma w ogóle sens?

- Ogromny - odparł Matt. - Normalny radar dopplerowski mówi nam, że może, ale tylko może, z danej burzy zrodzi się tornado oraz daje nam znać, gdy tornado jest już na ziemi. Jeżeli jednak Pandora zda egzamin, będziemy w stanie ostrzegać ludzi z takim

wyprzedzeniem, żeby mogli znaleźć bezpieczne schronienie.

Drastycznie zmniejszy się liczba ofiar, z kilkuset rocznie na kilka czy kilkanaście.

- Bardzo pięknie, ale to nie zmienia faktu, że trzeba być w bezpośrednim kontakcie z konkretną burzą, żeby użyć Pandory.

Bryce pokiwał głową.

- Teddi ma rację. Nie sposób dotrzeć wszędzie, gdzie zanosi się na burzę.

- Sposób, sposób. To wcale nie takie trudne, jak się wydaje.

Prawie w każdym miasteczku na środkowym zachodzie działa grupa ochotników, których praca polega na obserwowaniu burz. Kiedy pojawia się zagrożenie tornadowe, kierownik grupy wysyła w teren specjalnych wywiadowców, którzy dokładnie obserwują niebo i o wszystkim meldują. Jeżeli Pandora się sprawdzi, natychmiast każdą grupę wyposażymy w takie przenośne radary. - Matt odniósł urządzenie do furgonetki. Przez moment nie było go widać. -

Oczywiście, mamy również inne plany, ale sprawa, o której mówię, jest najpilniejsza. Są jeszcze jakieś pytania? - spytał z uśmiechem, wyłaniając się z furgonetki.

- Jedno - rzekła Teddi. - A jeżeli Pandora się nie sprawdzi?

- Jeżeli Pandora się nie sprawdzi - odparł po dłuższej chwili - zostanie mi cofnięty fundusz na badania i cały projekt diabli wezmą. Widzisz, Teddi, pracuję nad tym od pięciu lat. Powoli mój czas dobiega końca. Ten sezon o wszystkim zadecyduje.

- Czyli... - Na moment się zadumała. - Czyli mamy uwiecznić na taśmie nie tylko wasze pogonie za burzami, ale również twój sukces lub porażkę?

Nie wspominał wcale o tym, kiedy rozmawiali w Los Angeles.

- Zgadza się.

Pomysł szalenie spodobał się Teddi reżyserce; zdała sobie sprawę, że dzięki temu dokument zyska dodatkowy wymiar. Wspólnie z Bryce'em i Griffem musi pokazać nie tylko ogromny wysiłek i napięcie, które nieuchronnie związane są z pościgiem, ale znaleźć sposób na to, żeby przedstawić zmagania pojedynczego człowieka, jego pełną poświęcenia walkę, której wynik będzie miał wpływ zarówno na niego osobiście, jak i na ogół ludzkości. Tego rodzaju film, o kilku nakładających się wątkach, stanowił wyzwanie, jakie najbardziej lubiła.

- Podejmujesz duże ryzyko - ostrzegła Matta. - Jeżeli ktoś ponosi porażkę, zwykle woli przeżywać ją w samotności, a nie na oczach widzów.

Matt potrząsnął głową.

- To mi zupełnie nie przeszkadza. Nawet jeżeli Pandora nie zda egzaminu, film i tak przyczyni się do uratowania wielu istnień ludzkich. Tylko to mnie interesuje. - Po chwili, znacznie lżejszym tonem, dodał: - Na tym, drodzy słuchacze, kończymy dzisiejszy wykład. Dziękuję za uwagę. - Skłonił się nisko, a oni ze śmiechem nagrodzili go oklaskami. - Teraz wracajmy do roboty. Kazałem uprzątnąć dla was pokój, więc jeśli chcecie, możemy tam wyładować wasz sprzęt.



- Świetnie - ucieszyła się Teddi. - Chciałabym przygotować wszystko przed jutrzejszą wyprawą.

- Ja też mam parę drobiazgów, których nie muszę wszędzie z sobą wozić - wtrącił Griff.

- Podprowadźcie samochody z tej strony - zaproponował Matt. - Będzie bliżej.

- Dobra. - Teddi wyjęła z kieszeni kluczyki, ale po chwili zobaczyła, że Bryce wyciąga po nie rękę.

- Pani pozwoli? - powiedział szarmancko. - Ja podprowadzę forda, a szefowa niech idzie obejrzyć pokój.

- Jakiś ty miły. Dzięki.

- Tylko nie wbijaj się w dumę.

- Spokojna głowa. Znam cię nie od dziś.

Matt przysłuchiwał się ich przyjaznej wymianie zdań, starając się zachować obojętną minę. Bryce Lowell sprawiał sympatyczne wrażenie, ale mimo to Matt czuł do niego niechęć. Po raz pierwszy od lat dręczyła go zazdrość.

- Corey, może byś pomógł z rozładunkiem?

Chłopak ruszył z Bryce'em i Griffem na parking. Kiedy zostali sami, Teddi odwróciła się do Matta i ze zdziwieniem spostrzegła wyraz niezadowolenia na jego twarzy.

- Coś nie tak? - spytała.

- Nie, nie, wszystko w porządku - odparł szybko. - Po prostu zamyśliłem się. Mam sporo na głowie przed jutrzejszym pościgiem.

Nie uwierzyła mu.

- Powiedz, Matt, uraziłam cię? Jeśli tak, to przepraszam. Nie chciałam kwestionować znaczenia tego, co robisz.

Dopiero po chwili zorientował się, o co jej chodzi.

- Ależ nie, Teddi. Zadawałaś pytania, jakie każdy normalny, trzeźwo myślący człowiek powinien w takiej sytuacji zadać.

Była niemal pewną że po raz pierwszy w życiu ktoś użył wobec niej przymiotników „normalna” i „trzeźwo myśląca”. Nie zamierzała się z Mattem sprzeczać. Chciała się jednak dowiedzieć, dlaczego jest spięty.

- Co się stało?

- Nic. - Westchnął głęboko. - Po prostu zastanawiałem się, co cię łączy z Bryce'em Lowellem - przyznał niechętnie.

- Jest moim ulubionym kamerzystą.

- To wszystko? Zmarszczyła z namysłem czoło.

- Jest także moim przyjacielem, jeśli o to ci chodzi.

- O to. - Czuł się jak skończony idiota. Jeden namiętny pocałunek nie daje mu prawa wypytywać Teddi o mężczyzn w jej życiu. - Wspomniałaś, że kiedyś wybraliście się razem na urlop i pomyślałem sobie, że może jesteście parą... Teddi wreszcie połapała się, w czym rzecz.

- Jesteśmy parą, ale wyłącznie parą przyjaciół, którzy mają wiele wspólnych zainteresowań - wyjaśniła z uśmiechem.

Matt poczuł się tak, jakby kamień, ba, głaz, spadł mu z serca.

- Właściwie to nie moja sprawa - powiedział. - Nawet nie powinienem cię o to pytać.

- Bo ja wiem? Po tym pocałunku w Los Angeles? Swoja, drogą nie całowalibyśmy się, gdybym była związana z innym mężczyzną. - Na moment zamilkła - Mam nadzieję, że ty też nie jesteś...

- Co? Związany z innym mężczyzną? Zareczam ci, że nie. Wybuchnęła śmiechem.

- Nie chodzi mi o twoje preferencje seksualne. Były dość oczywiste, kiedy się żegnaliśmy. - Na samo wspomnienie tego pożegnania ogarnęło ją podniecenie. - Chodzi mi o to, czy nie spotykasz się z jakąś kobietą?

- Nie, Teddi, z nikim się nie spotykam. I to od dłuższego czasu.

- Ja też już długo jestem sama. Może dlatego coś między nami zaiskrzyło.

- Mam nadzieję, że to coś więcej niż iskry.

Ona również miała taką nadzieję. Podobała się jej prostolinijność Matta, a zarazem niesamowita zmysłowość. Co prawda wcześniej twierdziła, że nie lubi mieszać spraw zawodowych i prywatnych, ale wiedziała, że nie oprze się Mattowi.

- Muszę cię ostrzec - rzekła. - Moje wszystkie dotychczasowe związki były dość krótkotrwałe.

- Może tym razem będzie inaczej.

- Na twoim miejscu za bardzo bym na to nie liczyła. Matt uśmiechnął się.

- Nie kracz.

- W porządku. - Oczy lśniły jej wesoło. - Więc może byś mnie dziś wieczorem zaprosił na kolację?

- Rany boskie, Teddi. Nigdy nie zostawiasz facetom inicjatywy?

- A muszę?

- Byłoby miło.

- Dobrze. - Pokornie skrzyżowała ręce na piersi. - Więc ci zostawiam.

Matt z trudem pohamował śmiech. Pokorność tak pasowała do Teddi, jak zawieja śnieżna do tropiku. Ale nie zamierzał przepuścić okazji.

- Droga panno O'Brien, czy wyświadczy mi pani zaszczyt, przyjmując moje zaproszenie na kolację?

- Z największą przyjemnością, doktorze Abernathy. O której pan po mnie przyjedzie, jeśli wolno spytać?

- Czy wpół do ósmej pani odpowiada?

Przechyliła na bok głowę i wdzięcznie zatrzepotała rzesami.

- Och, tak. To doskonała pora. Włożę moją nową suknię. Myślę, doktorze, że oko panu zbieleje!

Matt wreszcie nie wytrzymał.

- No dobrze, poddaję się - oznajmił ze śmiechem. - Możesz mnie zapraszać, otwierać mi drzwi, płacić za kolację...

- O nie, kochasiu. Tak łatwo się nie wykręcisz. Spodziewam się ciebie o siódmej trzydzieści.

- A ja spodziewam się ciebie w tej nowej sukni. A teraz... - wskazał ręką w stronę budynku - może byśmy chwilę zajęli się pracą.

Wytrzeszczyła oczy.

- Pracą? To tu się pracuje?

- Marsz do środka! - rozkazał groźnym tonem.

- Rozkaz, panie generale!

Elegancko zasalutowała i obydwójce wybuchnęli śmiechem.

## 7

Zgodnie z obietnicą, Matt przyjechał po Teddi o wpół do ósmej wieczorem, ale nie zabrał jej na kolację, do restauracji, tylko wywiózł za miasto, do siebie do domu. Na ciągnącej się wzdłuż frontu werandzie stał pięknie nakryty stół. Matt zapalił świece, które umieścił w specjalnych osłonach, żeby nie zdmuchnął ich wieczorny wiaterek, po czym podał przepyszne ragout z sałatką oraz świeżo upieczonymi bułeczkami.

Było romantycznie i nastrojowo. Dom znajdował się na końcu uliczki; wokół rosło mnóstwo rozłożystych drzew, które dawały wspaniałe poczucie odosobnienia. W trakcie posiłku Teddi wiele się dowiedziała o swoim gospodarzu, a każda rzecz sprawiała, że coraz bardziej jej się podobał. Czytywał fantastykę naukową i kryminały. Latem lubił jeździć na spływy i urządzać biwaki, zimą zawsze spędzał tygodnie w Kolorado na nartach.

Wciąż był blisko związany ze swymi braćmi i z ich rodzinami, mieszkającymi w Kansas, choć od czasu śmierci rodziców rzadko ich odwiedzał. Miał bzika na punkcie pracy; ogromnie zależało mu na tym, aby dokonać w życiu czegoś wartościowego.

Kiedy skończyli jeść, niebo było czarne, usiane gwiazdami. Łagodnie migoczące świece, blask księżyca oraz Matt tworzyły magiczną kombinację, której trudno się było oprzeć.

- Dobra, Teddi. Teraz moja kolej.

- Na co? - zdziwiła się, pociągając łyk wina.

- Na zadawanie pytań. Cały wieczór podstępnie wydobywasz ze mnie tajemnice. Teraz ja chciałbym dowiedzieć się czegoś o tobie.

- Na przykład?

Natychmiast się spięła. Wieloma rzeczami pragnęła dzielić się z Mattem, o wielu rzeczach chciała mu opowiedzieć, ale nie o wszystkim. Na szczęście pierwsze pytanie było łatwe, więc się odprężyła.

- Skąd się u ciebie wzięło umiłowanie ryzyka?

- Taka się urodziłam - rzekła. - Odkąd pamiętam, szaleństwa, jakie wyczyniałam, doprowadzały moich rodziców do białej gorączki.

- A co wyczyniałaś?

Teddi zamyśliła się na moment.

- Kiedyś z prześcieradła i sznura od bielizny zrobiłam spadochron i skoczyłam z dachu.

- Żartujesz! I co?

- Za karę przez miesiąc miałam szlaban.

- Nic sobie nie połamałaś?

- Nie. Między innymi dlatego wierzę w cuda.

Matt oparł łokcie na stole i pochylił się do przodu.

- Co jeszcze wyprawiałaś?

- Wszystko. - Wzruszyła ramionami. - Im bardziej coś było głupie czy ryzykowne, tym lepiej.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Zawsze coś mnie gnało naprzód, miałam jakąś wewnętrzną potrzebę sprawdzenia się...

- Pewnie rodzice wcześniej przez ciebie osiwieli. Chcąc ukryć zmieszanie, Teddi sięgnęła po kieliszek.

- Nie wiedzieli, jak sobie ze mną radzić. Sąsiedzi z kolei byli przekonani, że jestem małą kosmitką podrzuconą przez Marsjan.

- Rodzice nadal mieszkają w Kalifornii? - spytał Matt.

- Nie, już nie żyją.

- Przykro mi, Teddi. Ponownie wzruszyła ramionami.

- To jedna z prawd, jakie najwcześniejszej poznałam w życiu: że nie sposób zapobiec śmierci tych, których się kocha.

- Bolesna to prawda - powiedział szeptem Matt.

- Bardzo bolesna. - Zdjęła z kolan serwetkę i odłożyła na bok, po czym z promiennym uśmiechem popatrzyła na Matta. - To był wspaniały posiłek, ale przez ciebie mam wyrzuty sumienia.

Pozwolił jej zmienić temat.

- Dlaczego?

- Bo ugotowałeś pyszną kolację, kupiłeś doskonałe wino, pięknie nakryłeś do stołu, a kiedy byłeś u mnie w Los Angeles, dostałeś piwo i kanapkę z masłem orzechowym.

- Cóż, chciałem ci udowodnić, jakim jestem fajnym facetem. - Uśmiechnął się szeroko.

- Nie, chciałeś udowodnić, że jesteś lepszym kucharzem ode mnie - odparła lekkim tonem. - Będę musiała ci się zrewanżować.

- Przecież to nie zawody.

- Zależy dla kogo.

Przyglądał się jej z uwagą, rozkoszując się cudownym uczuciem szczęścia, jakie go przepępniało. Teddi wyglądała rewelacyjnie. Miała

na sobie bolerko, a pod nim przylegającą do ciała suknię bez rękawów, która podkreślała jej fantastyczną figurę. Gęste, jedwabiste włosy opadały jej luźno na ramiona, oczy lśniły niczym szmaragdy w blasku świecy. Jeszcze nigdy w życiu nie pragnął tak żadnej kobiety.

- Co się stało? - spytała wreszcie, kiedy długo nic nie mówił. - Poplamiłam winem sukienkę?

- Nie. Właśnie dumałem nad tym, jak bardzo lubisz rywalizację. Skłamał, bo kłamstwo wydało mu się bezpieczniejsze od prawdy. Przynajmniej na razie.

- Dziwi cię to?

- Nie, wcale.

- Więc zgadzasz się na rewanż?

- Teddi, możesz gotować dla mnie, kiedy tylko zechcesz. A ponieważ u siebie w motelu kuchnię masz dość skromnie wyposażoną, w każdej chwili służę ci moją.

- Twoje zdrowie. - Podniosła kieliszek. - Jesteś prawdziwym dżentelmenem. A teraz przyznaj się, jakim cudem zdażyłeś to wszystko przygotować? Przecież z ośrodka wyszliśmy po piątej.

- Prawdę mówiąc, przygotowałem jedynie sałatkę. Resztę, którą kilka dni temu przygotowała moja dobra wróżka, wyjąłem z zamrażarki.

- Masz wróżkę kuchareczkę? Zazdroszczę. Matt nalał wina do obu kieliszków.

- Laura Cochran prowadzi w Norman małą, firmę świadczącą usługi gastronomiczne. Ilekroć wypróbować nowy przepis, gotowe danie przywozi tutaj, żeby sprawdzić, czy przeżyję.



- Miło być taką świnką doświadczalną. Hm, ale wobec tego chyba Laurę powinnam zaprosić na rewanżowy posiłek, jak myślisz? - zażartowała Teddi. - Czy Laura jest matka, Coreya?

- Tak. To niezwykła kobieta. Prowadzi firmę, pracuje w Miejskim Komitecie Przeciwdziałania Tornadom i wciąż znajduje czas, żeby zapelnąć mi zamrażarkę różnymi pysznościami.

- Od tego się ma przyjaciół. - Spoważniała, przypomniawszy sobie wcześniejszą rozmowę z Coreym. - Matt, czy ten przyjaciel, o którym wspomniałeś w Los Angeles... ten, który zginął...

Matt skinął głową.

- Tak. To był mąż Laury, Joe. Zaprzyjaźniliśmy się w trójkę na studiach.

- I wciąż jesteś przyjacielem rodziny.

- Bliskim przyjacielem. - Zawahał się. Nie chciał psuć nastroju, jaki udało im się stworzyć. Zresztą w tym momencie Teddi była jedyną osobą, o której chciał myśleć. Pragnął ją lepiej poznać, zrozumieć jej dążenia i motywacje, dowiedzieć się, jaka jest naprawdę. Zdawał sobie jednak sprawę, że aby to osiągnąć, sam też musi się przed nią otworzyć. Że nie może unikać tematów, o których wolałby nie mówić. - Corey to mój chrześniak - wyjaśnił po chwili milczenia. - Po śmierci Joe'ego Laura, Corey i ja staliśmy się sobie jeszcze bardziej bliscy. Próbowaliśmy się podtrzymać na duchu...

- Jakie to szczęście, że mieli ciebie - rzekła Teddi, myśląc o śmierci swoich najbliższych i straszliwym poczuciu osamotnienia, z którym długo nie potrafiła się uporać.

- Jakie szczęście, że mieliśmy siebie nawzajem. Śmierć Joe'ego wstrząsnęła nami wszystkimi.

- Wspomniałeś, że zginął podczas pościgu...

- Tak.

Wypiła łyk wina, usiłując nie zwracać uwagi na ziąb, który przeniknął ją do szpiku kości.

- Byłeś tam wtedy?

- Nie.

Miała ochotę dowiedzieć się czegoś więcej na temat tamtej tragicznej pogoni, ale stłumiła ciekawość. Skoro Matt nie chce mówić o śmierci przyjaciela, nie zamierza go do tego zmuszać. Bądź co bądź, sama też o wielu sprawach woli milczeć.

- A co Laura sądzi o planach życiowych swojego syna?

- Nie przeszkadza jej, że Corey chce zostać meteorologiem. Ale nie chce, żeby ganiał za burzami.

- A jego właśnie to najbardziej pociąga... Przypomniała sobie, jak chłopak zareagował, kiedy zdziwiła się, że nie należy do zespołu pościgowego.

- Skąd wiesz?

Opowiedziała mu o swojej krótkiej rozmowie z Coreym.

- To było oczywiste, że nie satysfakcjonuje go praca przy analizie danych.

- Masz rację. Corey marzy o łowach, o wyjazdach w teren, ale Laurze na razie udaje się do tego nie dopuścić. - Przechylił kieliszek. - Niestety, stwarza to mnóstwo nacie-...

- Wyobrażam sobie.

Matt zmusił się do uśmiechu.

- Przyniosę nową butelkę wina - powiedział, wstając od stołu.

- Ja już dziękuję. Ale chętnie napiłabym się kawy.

- W porządku. Zaraz wrócę.

Odprowadzając Matta wzrokiem, pomyślała sobie, że niepotrzebnie poruszyła temat Joe'ego Cochрана. Rozmowa o jego śmierci wprowadziła przygnębiający nastrój. Z drugiej strony sytuacja, w jakiej znalazł się Corey, bardzo Teddi intrygowała. Chłopak, choć stracił ojca w wyniku trąby powietrznej, podobnie jak on pragnął zostać specem od tornad. Ona z kolei, po stracie swoich najbliższych, od dwudziestu lat uciekała starając się nie myśleć o tragedii, jaką przeżyła. Podziwiała Coreya lecz współczuła jego matce.

Postanowiła, że nie będzie dalej drażnić tej sprawy; szkoda psuć cudowny wieczór ponurymi rozmowami. Zebrała ze stołu talerze i przeszła z nimi do kuchni. Matt sypał kawą do ekspresu.

- Obawiam się, że twój gospodarz kiepsko się spisał - stwierdził, podnosząc wzrok. - Zapomniał wcześniej nastawić kawę.

Teddi zrobiła oburzoną minę.

- To wprost niewybaczalne! Idę do domu!

- Nic z tego. - Matt wyszczerzył w uśmiechu zęby. - Jest wcześniej, poza tym jeszcze nie jedliśmy deseru.

- Boże, już pękam! - Ciekawość jednak wzięła górę. - A co masz na deser?

- Sernik z polewą czekoladową. Teddi jęknęła.

- Uwielbiam. I sernik, i czekoladę.

- To może odczekajmy jeszcze chwilę ?

- Świetnie. - Zdjęła dzbanek i nalała do niego wody. - Prawdę mówiąc, Matt, trochę mnie dziwi to, jak mieszkasz...

Zmarszczył czoło.

- Nie podoba ci się mój dom? - spytał.

- Podoba. Ogromnie. Tylko nie tak go sobie wyobrażałam. Trzy sypialnie, wielki salon, garaż na dwa samochody, ruszt w ogrodzie, kosz do grania w koszykówkę... Zazwyczaj tak mieszka ktoś, kto ma żonę i dzieci.

- Kupując ten dom, myślałem, że będę miał rodzinę.

Teddi zadumała się; po chwili zrozumiała, o jakiej rodzinie mówi.

- Chodzi ci o Laurę i Coreya Cochranów?

Zaskoczyła go jej intuicja, chociaż nie powinna była, bo od początku podejrzewał, że Teddi jest osobą wyjątkowo spostrzegawczą.

- Tak. Nabyłem dom dwanaście lat temu od lekarza, który postanowił przenieść się do miasta. W owym czasie starałem się zastąpić Coreyowi ojca i służyć oparciem Laurze. Jakoś wszyscy zakładaliśmy, że prędzej czy później staniemy się rodziną.

- I co?

Wzruszył ramionami, po czym wyjął jej z rąk dzbanek z wodą.

- Za dużo było różnych komplikacji.

- Takich jak twoja praca?

- Tak, to była główna kość niezgody - powiedział, wlewając wodę do ekspresu. - Laura nie mogła znieść życia w strachu i niepewności...

- To chyba zrozumiałe - stwierdziła Teddi.

Biorąc pod uwagę ryzyko, na jakie się ciągle narażała, wydawało jej się, że ona sama nigdy nie odrzuciłaby mężczyzny tylko dlatego, że wykonuje niebezpieczną pracę. Ale nigdy też nie romansowała z mężczyzną, który ganiał za burzami.

- Proponowałem jej, że skończę z polowaniem na tornada - ciągnął. - I nawet przez jeden sezon nie uczestniczyłem w łowach.

Teddi skrzywiła się.

- Och, to duży błąd. Nie można działać wbrew sobie tylko po to, żeby uszczęśliwić inną osobę.

- Wiem - odparł z uśmiechem. - Laura wprawdzie nadal suszy mi głowę, żebym zmienił pracę, ale to ona uświadomiła mi, że związek oparty na poświęceniu nie miałby szans na przetrwanie.

- Mądra z niej kobieta.

- Bardzo mądra. - Na moment zamilkł. - Kocham Laureę, ale kocham ją jak siostrę. Nigdy nie byłem w niej zakochany. Gdybyśmy się pobrali, mógłbym jej ofiarować przyjaźń, towarzystwo, wsparcie...

- Ale później czułbyś do niej żal, że zmusiła cię do porzucenia pracy, która sprawiała ci tyle radości.

- Wiem. Laura też to wie. Ona naprawdę zasługuje na lepszy los.

- Ty również.

Matt popatrzył Teddi w oczy.

- Może - powiedział.

Kiedy zobaczyła ból czający się w jego spojrzeniu, zdała sobie sprawę, że dotknęła czegoś, o czym Matt z nikim dotąd nie rozmawiał, czegoś, co w sobie dusił.

- Może? Dlaczego może? Każdy zasługuje na prawdziwą miłość.

Matt włączył ekspres i przełknął ślinę.

- To potrwa kilka minut. Chodźmy z powrotem na werandę.

Teddi była jednak nieustępliwa.

- Dobrze, ale pod warunkiem, że odpowiesz na moje pytanie.

Dlaczego uważasz, że nie zasługujesz na miłość?

- Wcale tak nie uważam - oburzył się, zły na siebie, że nie ugryzł się w język. - Nie o to mi chodziło.

- A o co?

- O nic.

- Ale powiedziałaś...

- Proszę cię, Teddi, zostawmy to.

- Nie. Przed chwilą dowiedziałam się, że byłeś gotów ożenić się z kobietą, której nie kochasz, a raczej kochasz jak siostrę, i zrezygnować dla niej ze swojej kariery, gdyż nie zasługujesz na nic lepszego. - Jedną rękę oparła na biodrze, drugą na szafce. - Nawet kupiłeś dom, który jest trzykrotnie większy, niż potrzebujesz.

Dlaczego?

- Już ci mówiłem. Sądziłem, że pobierzemy się z Laurą.

- Nie dziwię się, że cię nie chciała.

Matt zachmurzył się.

- Nie rozumiem...

Teddi umiała rozpoznać, kiedy kogoś dręczą wyrzuty sumienia, a Matt po prostu miał je wypisane na twarzy.

- Zachowujesz się tak, jakbyś chciał się złożyć w ofierze, odpokutować za winy. O co siebie obwiniasz, Matt?

Cofnął się o krok, zastanawiając się, w jaki sposób znalazł się w tak kłopotliwym położeniu. Teddi jest stanowczo zbyt spostrzegawcza.

No cóż, miły, romantyczny wieczór dobiega końca.

- O śmierć Joe'ego - wydusił wreszcie Matt.

Teddi natychmiast zrobiło się go żal, a zarazem nie mieściło się jej w głowie, jak można czuć się winnym czegoś, nad czym nie ma się kontroli.

- Przecież cię tam nie było - rzekła.

- No właśnie. A powinienem być - powiedział smętnym tonem. - Wtedy przed laty byliśmy słabo wyposażeni i nie tak dobrze zorganizowani. Polowaliśmy na burze w czasie wolnym od pracy, kierując się zwykle nosem, bo prawie żadną aparaturą nie dysponowaliśmy. Tamtego dnia Joe zadzwonił spytać, czy bym się z nim nie wybrał, ale byłem zajęty. Dziś już nawet nie pamiętam, co takiego ważnego miałem w planach.

- Nie jesteś niczemu winien, Matt - szepnęła, delikatnie gładząc go po dłoni.

W jego oczach malował się bezmierny smutek.

- Mogłem mu nie pozwolić na samotne łowy.

- Sądzisz, że zdołałbyś go uratować? Wątpię.

Wzruszył bezradnie ramionami.

- Nie wiem. Nawet nie wiem, w jakich okolicznościach zginął. Nikt tego nie widział. Podejrzewam, że chciał się przebić środkiem...

- Przebić środkiem?

- Przejechać przez burzę - wyjaśnił Matt. - Tornado powstaje na tyłach chmur burzowych, gdzie nie pada deszcz. Zawsze staramy się przebywać bezpośrednio pod burzą, żeby przypadkiem nie znaleźć się na trasie tornada, kiedy uderzy w ziemię. Jednak czasem człowiek coś źle oceni, pomyli kierunek i nagle wszystko zaczyna wokół niego wirować.

- I myślisz, że tak było z Joe'em?

- Tak podejrzewam. Znalaziono go w doszczętnie rozbitym samochodzie, jakieś trzydzieści metrów od szosy. Przypuszczam, że oślepiiony deszczem nie zauważył, że kieruje się wprost na wirujący słup.

Teddi poczuła, jak nogi się pod nią uginają. Wciąż miała żywo w pamięci obraz innego zdezelowanego samochodu, który stanowił dumę i chlubę jej ojca. Ojciec ciągle go pucował, woskował i wściekał się, że sok skapujący z drzew niszczy mu lakier. Kiedy po raz ostatni Teddi widziała samochód, nie stał już na ulicy pod drzewami, tylko tkwił do połowy wciśnięty w sypialnię rodziców.

- Przykro mi, Matt - wykrztusiła, odwracając się, żeby nie dostrzegł cierpienia w jej oczach. Chwilę trwało, zanim wróciła do równowagi. - Ale bez względu na to, co się stało, nie ty ponosisz winę za śmierć Joe'ego.

- Gdybym tam był, może zauważyłbym nacierające tornado? W pojedynek Joe nie miał szansy.



- Więc nie powinien był jechać sam! - krzyknęła, odwracając się do Matta twarzą. - To było idiotyczne! Musiał się kretyn pchać? Musiał się napraszać? Cholera, tornada zabijają setki osób! Setki niewinnych osób!

Matt zdał sobie sprawę, że to nie śmierć Joe'ego wzbudza w Teddi tak gwałtownie emocje.

- Przepraszam, Teddi, zapomniałem, że ty też straciłaś kogoś w wyniku tornada.

- Tak, ale oni nie mieli wyboru, a twój przyjaciel miał. I dlatego nie powinieneś czuć się winny. To była jego decyzja i jego błąd.

Podszedł do niej i delikatnie położył ręce na jej ramionach.

- Kogo straciłaś, Teddi? Odsunęła się, potrząsając głową.

- To nieważne.

- Właśnie, że ważne.

- Nie chcę o tym mówić.

- Chwileczkę - powiedział, ledwo tłumiąc złość. - Pięć minut temu zasypywałaś mnie pytaniami, bo zżerała cię ciekawość. Teraz, gdy ja zadaję pytania, nabierasz wody w usta. To niesprawiedliwe.

- A kto mówi, że życie jest sprawiedliwe?

- Ale...

- Nie chcę o tym mówić.

Wpatrywali się w siebie niczym dwaj bokserzy na ringu, aż wreszcie Matt pojął, że Teddi nie zamierza się poddać.

- Jesteś najbardziej upartą osobą, jaką znam - mruknął pod nosem.

Wypuściła z płuc powietrze i poczuła, jak wraz z nim uchodzi z niej gniew.

- No pięknie - rzekła z uśmiechem. - Pierwsza randka i od razu pierwsza kłótnia. Nie wróży nam to dobrze na przyszłość.

Niemal wbrew sobie Matt również się uśmiechnął.

- To już druga kłótnia - sprostował, mając na myśli scysję na pustyni. - Poprzednią też przegrałem.

- Musisz się przyzwycząić. Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Nie rozumiem cię, Teddi. Uważam, że jesteś piękną, zabawną, odważną i utalentowaną kobietą, ale zupełnie cię nie rozumiem.

- I pewnie nigdy nie zrozumiesz. - Czuła się mile połączona jego słowami.

Pokręcił głową i zbliżył się o krok.

- Mylisz się. Chcesz być tajemnicza, ale nie stanowisz aż tak wielkiej zagadki, żeby jej nie można było rozwikłać. Próbujesz uchodzić za osobę szaloną, intrygującą, pełną temperamentu... - Objął ją lekko w pasie i przyciągnął do siebie. - A tak naprawdę jesteś małą dziewczynką, która chce, żeby zwrócono na nią uwagę.

Uniosła sceptycznie brwi.

- Tak pan sądzi, doktorze Freud?

- Tak.

- A co pan sądzi o tym?

Przylgnęła do niego całym ciałem, objęła za szyję i gotowa do pocałunku stanęła na palcach, ale Matt odsunął się, zaskakując ją.

- Nie, Teddi - powiedział. - Tym razem ja to zainicjuję. Nie możesz nad wszystkim przejmować kontroli.

Gładząc ją delikatnie po twarzy, powoli zbliżył usta do jej ust. Nie przywarł do nich, jedynie leciutko je musnął, ale to wystarczyło, by w obojgu rozblęsnął płomień. Teddi odruchowo przytuliła się trochę mocniej do Matta, a on ponownie się odsunął. Po chwili sam przyciągnął ją do siebie i zaczął całować z takim żarem, że Teddi miała ochotę wyć z rozkoszy.

Potem ściągnął jej z ramion bolerko, po czym wolno zaczął całować jej szyję, dekolt, obojczyk. Teddi odrzuciła w tył głowę; jęczała cicho, delectując się dotykiem Matta, lecz pragnęła czegoś więcej niż samych pocałunków. Pod materiałem jego spodni wyczuwała sztywność, która ją dodatkowo podniecała. Nie mogąc dłużej znieść napięcia jedną ręką uniosła delikatnie głowę Matta, rozchyliła językiem jego wargi i wpiła się w nie, a drugą ręką zaczęła rozpinąć klamerkę u jego paska. Matt uwolnił się od jej ust i gdy spojrzał jej w oczy, zobaczył w nich głębokie, nie skrywane pragnienie.

- Jesteś pewna? - spytał cicho.

Przesunęła dłoń niżej. - Równie pewna co ty - szepnęła. Pocałował ją żarliwie, po czym chwycił za rękę i pociągnął w stronę drzwi.

Miała wrażenie, że zasnęła i obudziła się w niebie. Wcale nie przesadzała, mówiąc Mattowi, że od dawna z nikim nie była związana. Ostatni raz kochała się z mężczyzną cztery lata temu.

Matt okazał się cudowny. Dostarczył jej tak wielkiej rozkoszy, tak wspaniałych przeżyć, że gdy było już po wszystkim, nie chciała wracać do rzeczywistości. Pragnęła pozostać w świecie zmysłów, w

objęciach Matta, gdzie czuła się bezpieczna i kochana, w ramionach mężczyzny, który ją rozumiał i akceptował bez zastrzeżeń.

Trzymając Teddi w objęciach, Matt zapadł w błogi sen, a gdy się obudził, nie było jej już przy nim. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy to niesamowite przeżycie, jakie miał świeżo w pamięci, przypadkiem mu się nie przyśniło, ale nagle poczuł zapach perfum na poduszce i odetchnął z ulgą. Nie, to nie był sen. Zresztą po żadnym śnie nigdy nie czuł się tak dobrze - był zmęczony, ale szczęśliwy, gotów wyruszyć na podbój świata.

Tylko gdzie się podziała Teddi?

Ociągając się, wstał z łóżka i zaczął szukać spodni. Chwilę trwało, zanim znalazł je w leżącym na środku pokoju stosie odzieży. Ubrawszy się, wyszedł na poszukiwanie kobiety, która powinna była spoczywać w jego ramionach, a która znikła nie wiadomo gdzie.

- Teddi?

Sprawdził łazienkę, salon, kuchnię. Na werandzie świece już się wypaliły. Zadumał się. Jej ubranie wciąż było w sypialni, więc nie mogła odejść zbyt daleko.

- Teddi? - zawołał ponownie.

- Tu jestem!

Zbliżył się do poręczy i zmrużył oczy, starając się przebić wzrokiem ciemności. Wreszcie ją dojrzał: leżała na ustawionym w ogrodzie stole piknikowym, ubrana w koszulę, którą wcześniej tak gorliwie pomagała mu zdjąć.

- Co robisz? - spytał, idąc w jej stronę po trawie.

- Oglądam gwiazdy.

- No jasne. Odkryłaś coś ciekawego?

- Owszem, że brakuje Polluksa i Kastora. Ktoś je ukraść.

Chichocząc cicho pod nosem, usiadł obok niej na stole i zadarł głowę. Przez moment rozglądał się nieco zdezorientowany, ale wkrótce udało mu się rozwikłać zagadkę.

- Nie wzywaj FBI. Znalazły się. - Wskazał na zachodnią część nieba.

Teddi usiadła i popatrzyła we wskazanym przez niego kierunku.

- A niech to! Jak się tam dostały? - Zmarszczyła czoło.

- Chcesz usłyszeć wyjaśnienie naukowe czy mitologiczne? -

Żadne, mądralo. - Westchnęła zniecierpliwiona. – Jeśli taki z ciebie geniusz, to może mi pokażesz, gdzie jest teraz Żyrafa.

- Nie mam zielonego pojęcia. - Wziął ją w objęcia i pocałował czule. - Brakowało mi ciebie, kiedy się ocknąłem.

- Nie mogłam zasnąć. Kręciłam się, wierciłam i w końcu wstałam, żeby cię nie zbudzić.

- Jak się czujesz? - Popatrzył jej w oczy, które lśniły w blasku księżyca.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Mam ci wystawić cenzurkę? O to chodzi? - spytała żartem. - Byłeś wspaniały.

- Nie. Razem byliśmy wspaniali.

- Tak, razem.

- Zawsze wszystko robisz tak spontanicznie, bez opamiętania? - spytał cicho.

Skinęła głową.

- A ty zawsze jesteś taki dokładny i skrupulatny?
- Pewnie, to cecha naukowców. Doświadczenie uczy nas, że pośpiech nigdy nie jest wskazany.
- Widać, że jesteś niezwykle pojętym uczniem. - Musnęła wargami jego usta. - Z gry miłosnej stawiam ci piątkę z plusem.
- Dzięki. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że po jednej próbie nie otrzymuje się miarodajnych wyników? Próbę trzeba powtarzać raz po raz, inaczej eksperyment nie będzie się liczył.
- Teddi otworzyła szeroko oczy.
- O mój Boże. To straszne. Nie możemy do tego dopuścić. Matt skinął z powagą głową.
- Nie, nie możemy.
- Musimy dalej eksperymentować - powiedziała.
- Absolutnie. - Ukazał zęby w drapieżnym uśmiechu. -Chcesz zacząć od razu?
- Dasz radę?
- Chodźmy do środka, to się przekonasz.
- Już miał się zsunąć ze stołu, kiedy Teddi powstrzymała go. W jej oczach dojrzał szelmowski błysk.
- Tu? - spytał z niedowierzaniem.
- Trzeba eksperymentować, doktoru. Sam to przed chwilą mówiłeś.
- Jesteś szalona.
- Podobno - szepnęła, przyciągając go do siebie.

- W porządku - powiedział Mace, zeskakując ze stołu. Członkowie zespołu, któremu przewodniczył, stali dookoła, równie jak on podnieceni myślą o pierwszym pościgu. - Kierujemy się na południowy zachód w stronę Altus. Jeśli moje przypuszczenia okażą się trafne, znajdziemy się w samym środku burzy. W razie czego zwiejemy do Teksasu. Dobra, ruszamy.

Ktoś wydał ogłuszający ryk, taki niby okrzyk wojenny, i Matt wybuchnął śmiechem, ucieszony entuzjazmem grupy. Tak było przed każdą wyprawą: adrenalina szalała, nadzieje rosły, zapal się wzmagał. Wszyscy myśleli o jednym: o znalezieniu tej tajemniczej burzy, która wisiała w powietrzu, czekając na nich. Dla Matta było to jedyne w swoim rodzaju, cudowne, niepowtarzalne przeżycie.

Nagle zerknął na drugi koniec pokoju, gdzie Teddi naradzała się ze swoją ekipą, i uświadomił sobie, że to nieprawda. Wczorajsza noc dostarczyła mu znacznie bardziej emocjonujących przeżyć niż jakakolwiek pogoń, w której brał udział. Na samą myśl o nocy z Teddi czuł podniecenie o wiele silniejsze od tego, które czuł na myśl o nadciągającej burzy.

Po tych wszystkich latach nareszcie znalazł kobietą, z którą pragnął być, kobietę, która go rozumiała i nie dziwiła się, że co rusz podejmuje ryzyko, kobietą, na którą mógł liczyć i która nie przytłaczałaby go ciężarem własnych lęków. Będąc z Teddi, mógłby

mieć wszystko: założyć rodzinę i kontynuować pracę. Tak wyjątkowej kobiety nie zamierzał stracić.

Kiedy wreszcie podniosła na niego wzrok, obdarzył ją promiennym uśmiechem, który zaraz odwzajemniła. Trochę ich drażniło, że muszą ograniczać się do tęsknych spojrzeń i przyjaznych uśmiechów, ale byli zawodowcami i wiedzieli, że w miejscu pracy nie mogą sobie pozwolić na nic więcej. Widać jednak było, że oboje doskonale pamiętają, co zaszło wczorajszej nocy - w sypialni i nie tylko tam.

Kiedy członkowie ekipy zaczęli opuszczać pokój, Teddi skinieniem głowy dała Bryce'owi i Griffowi znak do wyjścia. Matt ruszył w jej stronę.

- Zrozumiałaś wszystko? - spytał, mając na myśli sprawy omawiane podczas odprawy.

- Mniej więcej połowę - odparła, biorąc ze stołu kamerę.

- Ale nie szkodzi. Wy nas zawieźcie na miejsce, a my zajmiemy się resztą.

- Zgoda. - Wolnym krokiem skierowali się do drzwi. -

Denerwujesz się?

- Ja? - Teddi otworzyła szeroko oczy. - Bron Boże! Ja się nigdy nie denerwuję.

Powiedziała to żartem, ale Matt podejrzewał, że istotnie rzadko kiedy się denerwowała. Zresztą kogoś takiego jak Teddi, osobę odważną, twardą jak gład, niełatwo jest wyprowadzić z równowagi. Jednak znając jej stosunek do tornad, wydawało mu się całkiem



logiczne, że dziś, w dniu swojej pierwszej wyprawy, może odczuwać lekki niepokój.

- Nie przejmuj się i po prostu podziwiaj widoki. Prawie nam się nie zdarzą żeby za pierwszym podejściem natknąć się na tornado.

Zanim w jakikolwiek sposób zdążyła zareagować, Corey - który jeszcze nie wyszedł z pokoju - zawołał Matta. Zatrzymali się przy drzwiach. Teddi spostrzegła napięcie malujące się na twarzy swojego kochanką zupełnie jakby Matt spodziewał się, że chłopak będzie chciał zamienić z nim słowo, a zarazem jakby pragnął tego uniknąć.

Corey stał sztywno wyprostowany, z mocno zaciśniętą szczęką, jakby szykował się do niemiłej rozmowy.

- Możemy chwilę pogadać? - spytał.

- Pewnie - odparł Matt po krótkim wahaniu. - Teddi, możesz zostawić nas samych?

Przeniosła wzrok z młodzieńca na Matta, zastanawiając się, co się, u licha, dzieje. Corey nie był tym samym beztróskim chłopakiem co wczoraj,

- Oczywiście - rzekła, chociaż zżerała ją ciekawość. - Zaczekam przy furgonetce. Do zobaczenia, Corey.

Skinął jej na pożegnanie; nie odezwał się, dopóki nie zniknęła w holu.

- O co chodzi? - spytał Matt.

- Chyba wiesz. Chcę z wami jechać.

Matt westchnął głęboko i potrząsnął głową. Od kilku miesięcy bał się, że usłyszy coś takiego. Corey po prostu czekał na okazję,

która teraz się właśnie nadarzyła - była nią nieobecność w pracy Toma Pattena.

- Nic z tego, Corey. Przykro mi.

- Może to moja jedyna szansa. Tom wróci w przyszłym tygodniu i nie będzie dla mnie miejsca.

- Corey, rozmawialiśmy przed paroma miesiącami. Mówiłeś wtedy...

- Myliłem się! Zmieniłem zdanie!

- Za późno. Co by Laura powiedziała, gdybym ci pozwolił?

- Wszystko mi jedno! Nie jestem już dzieckiem. Matt przejechał ręką po włosach.

- To prawda - rzekł. - Masz dwadzieścia jeden lat i możesz o sobie decydować.

- Tak. I właśnie zdecydowałem, że chcę uczestniczyć w wyprawie.

- Miałeś szansę na początku roku. Mogłem cię przyjąć do zespołu. Ale oboje z Laurą uznaliście, że darujesz sobie w tym sezonie. Dojdź z matką do porozumienia.

Chłopak spuścił głowę, jakby uszła z niego cała wola walki. - Przepraszam, Matt, nie chciałem cię stawiać w niezręcznej sytuacji - powiedział. - Tylko że to takie denerwujące...

- Wiem. - Matt położył dłonie na ramionach swego chrześniaka; doskonale potrafił wczuć się w jego położenie. - Próbowałem ją przekonać, ty też, ale wszystko na nic. Jeśli ruszysz w pościg, to ją wykończy.

- Nie musiałyby o niczym wiedzieć. Gdybym się dziś z wami zabrał... - Urwał, widząc wyraz dezaprobaty na twarzy Mat-ta. - Głupio mówię, co?

- Bardzo głupio. Kocham cię, Corey, ale Laurę też kocham i nie chcę, żeby przeze mnie cierpiała.

- Ja też nie chcę sprawić jej bólu.

- Więc zachowuj się jak odpowiedzialny, dorosły facet, a nie jak szczeniak.

Corey cofnął się, wyraźnie urażony.

- Przepraszam, Matt. Zapomnijmy o tej rozmowie. - Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

Odprowadzając chłopaka wzrokiem, Matt czuł, jak serce pęka mu z bólu. Corey jest niesłychanie podobny do Joe'ego. Ma jego zapał, odwagę, butę. Ale ma również matkę, która nie potrafi zapomnieć o przeszłości. Od piętnastu lat Matt starał się zastąpić chłopakowi ojca, ale bywały takie dni, gdy zdawało mu się, że poniósł klęskę.

W głębi duszy wiedział, że dziś podjął słuszną decyzję. Po prostu nie mógł wziąć Coreya w pościg za burzą, bez wiedzy i zgody Laury. Miał jednak świadomość, że prędzej czy później stosunki między matką a synem muszą ulec zmianie i podejrzewał, że najpierw zmienią się na gorsze, a dopiero potem nastąpi poprawa.

W furgonetce byłoby dość luźno, gdyby całego wolnego miejsca nie zajmował specjalistyczny sprzęt. Za kierownicą siedział jeden z pracowników ośrodka, Nate Dansing, studentka Olivia Eschavera siedziała na środku pojazdu, z oczami wbitymi w monitor, na którym

ukazywały się dane przysyłane ze stacji kontrolnej, Matt zaś część czasu spędzał na przednim siedzeniu obok Dansinga, a część w fotelu naprzeciwko Olivii, przy tablicy z przyciskami kontrolującymi sprzęt na dachu.

Teddi przydzielono fotel umieszczony z tyłu furgonetki, bokiem do drzwi. Usiadła wygodnie, torbą postawiła w nogach, kamerę na prawo od fotela. Co jakiś czas machała przez okno do rotowców, Gerry'ego Hamptona i Bryce'a, którzy jechali pika-pem, wioząc stalowy bęben.

Ponieważ zmierzali na południe, miała doskonały widok na zachodni horyzont. Niewiele było po drodze miasteczek; za oknem ciągnęły się głównie pola, na których gdzieniegdzie sterczały szyby naftowe.

Znajomy krajobraz przywodził Teddi na myśl mnóstwo niechcianych wspomnień. Wraz z grupą naukowców wyruszyła na poszukiwanie czegoś, co ją straszyciło po nocach i sprawiało, że budziła się zlaną potem. Przy Matcie robiła dobrą minę do złej gry, udawała chojraka, ale w głębi duszy potwornie się bała. Teraz do strachu, który nie odstępował jej na krok, doszły jeszcze wspomnienia - wspomnienia o rodzicach i wspólnych wycieczkach po tych samych drogach, jakie dziś przemierzała. Nie chciała słyszeć barytonu ojca i słodkiego sopranu siostry, śpiewających „Michaelu, wiosłuj do brzegu”. Nie chciała pamiętać, jak matka karci ją za fałszowanie „Dziewięćdziesięciu dziewięciu butelek piwa”.

Nostalgiczne obrazy z przeszłości nie były jej w tym momencie potrzebne do szczęścia, ale nie umiała się ich pozbyć. Nie umiała też

pokonać strachu, który coraz bardziej w niej narastał. Zapominała o nim tylko wtedy, gdy Matt na nią spoglądał.

Ilekcroć przechwytywała jego wzrok, odczuwała dreszcz podniecenia. Trochę to rozładowywało napięcie, od którego skręcały się jej wnętrzności, ale oczywiście nie była w stanie całkiem go zlikwidować. Dałaby wiele, by móc cofnąć czas; tak bardzo chciała, żeby znów było wczoraj, kiedy leżała w ramionach Matta, bezpieczna, świadoma, że nic złego jej nie spotka.

Przez pierwsze dwie godziny niebo było błękitne, jedynie na linii północ-południe znaczyły je pojedyncze cumulusy. Teddi przyglądała im się podejrzliwie, czekając na zjawisko, które Matt opisał jej w Los Angeles.

Powiedział, że w pewnej chwili gromadzące się na niebie chmury wyglądają jak olbrzymy, które podążają na ważną naradę. O trzeciej po południu zrozumiała, co miał na myśli. Pojedyncze chmury burzowe zaczęły się zderzać i zlewać ze sobą, osiągając monstrualne proporcje. Odnosiło się niemal wrażenie, że tam w górze odbywa się starannie wyreżyserowany taniec śmierci.

Teddi nie mogła się nadziwić, że urodziła się i wychowała w stanie, gdzie tego typu zjawiska są na porządku dziennym, a jednak nigdy wcześniej nie zwróciła na nie uwagi. To znaczy wiedziała, że gwałtowne burze z piorunami często występują w tym rejonie kraju, ale nie umiałyby opisać zjawisk, które je poprzedzają. Może dlatego, że na terenie zabudowanym domy i drzewa trochę przysłaniały niebo. A może dlatego, że jako dziecko miała mnóstwo ciekawszych zajęć.

Teraz jednak z uwagą śledziła rozwój sytuacji. Niebo nad głową wciąż miała błękitne, ale horyzont od południa po północ pokrywały groźnie wyglądające, ołowiane chmury, które ustawione były równo jedna za drugą, niemal w bojowym szyku.

- Matt? - Pochylając się, żeby nie uderzyć głową o dach, przeszła nad leżącą na podłodze kamerą, po czym, przytrzymując się ściany, aby nie stracić równowagi, zbliżyła się do turystycznej lodówki z napojami, która stała naprzeciwko jej fotela.

Matt obrócił się w jej stronę.

- Cześć. Doskwiera ci tam samotność, co?

- Troszeczkę, ale za to mam najlepszy widok. - Uśmiechnęła się, po czym wskazała na zachód. - Czy to tak zwany wał szkwałowy?

Skinał z uznaniem głową.

- Akurat się tworzy. Pojętną jesteś uczennicą. - Wyjrzał przez okno. - Robi niesamowite wrażenie, prawda?

- Owszem. Czy to jest typowy zwiastun burzy?

- Tak. Pośrodku tworzy się bardzo silna „superkomórka”. Jak tylko zjedziemy z szosy, ruszymy w jej kierunku.

Teddi również wyjrzała przez okno.

- Gdzie jest ta superkomórka?

- Sama spróbuj ją odszukać.

Westchnęła lekko zniecierpliwiona, ale postanowiła sprostać zadaniu. Wpatrywała się uważnie w długi, na oko nieprzerwany ciąg chmur, ciemnych u podstawy, jaskrawobiałych u góry. Wreszcie zobaczyła białawy słup sięgający ponad resztę wierzchołków. Musiał mieć co najmniej piętnaście kilometrów średnicy.

- Tam? - spytała.

- No właśnie. Obserwuj ją. Jeżeli będzie się rozwijać tak jak powinna, to w ciągu najbliższej godziny dotrze do warstwy zimnego powietrza w mezosferze i przeistoczy się w mezocyklon. Do tego czasu powinna mieć kolor granatowy, a górna część rozpląszczy się, przybierając kształt kowadła.

- I z tego utworzy się tornado?

- Mam nadzieję.

- Słuchaj. - Teddi chrząknęła, po czym uśmiechnęła się rozbijająco. - A może byś mnie tu wpuścił, co? Mogłabym stąd kręcić.

Matt parsknął śmiechem.

- Za godzinę miałabyś nad głową krawędź wału i w strugach deszczu nic byś nie widziała. Musimy dotrzeć do tamtej potężnej chmury, ale od tyłu, od strony południowej. Dopiero wtedy będzie wszystko dobrze widać.

Teddi wróciła na miejsce i patrzyła przerażoną jak spełniają się przewidywania Matta. Ledwo minęło pół godziny, a stacja kontrolna w Turner zaczęła przekazywać wiadomości o burzach, które powstawały wzdłuż stu pięćdziesięciokilometrowej linii wału szkwałowego. Dookoła zaś strzelały błyskawice, rozświetlając kłębowiska chmur.

W pewnym momencie Matt spytał Teddi, czy chciałaby zobaczyć, w jaki sposób tropi się burzę. Owszem, chciała zobaczyć. Wszystko chciała zobaczyć, byleby tylko nie myśleć o przeszłości. Kucnęła przy nim, czując, jak emocje wszystkich uczestników

wyprawy narastają. Już nie byli chłodnymi, bezstronnymi obserwatorami; stali się częścią gęstniejącej ciemności, częścią piorunów, padającego deszczu i ryczącego wiatru, który przeginał drzewa i zrywał liście.

Spoglądając w mocno sfatygowaną, pogniecioną mapę, Matt co rusz wykrzykiwał do Nate'a instrukcje. Jechali mało uczęszczanymi bocznymi drogami, najpierw na południe, potem na zachód. Cały czas towarzyszyły im wielkie, skłębione czarne chmury. Teddi z najwyższym trudem utrzymywała pozory spokoju.

- Dobra, Nate! Zatrzymaj się tu! Szybko! - zawołał do kierowcy Matt. - Tam, Teddi! Widzisz? - Wskazał przez okno jakiś odległy punkt na zachodzie.

- Co? Gdzie? - Nic nie widziała poza niską warstwą chmur i pustymi polami, ale mimo to czuła dziwny, nieokreślony lęk.

- Te cienkie, zwisające smugi. Jeśli im się uważnie przyjrzysz, zobaczysz, że wirują. To zwiastun mezocyklonu.

Kiedy furgonetka zjechała z szosy na nierówne pobocze, Teddi chwyciła Matta za łokieć, żeby nie stracić równowagi. Po chwili zauważyła to, o czym mówił. W odległości jakichś dwóch kilometrów od miejsca, gdzie staną li, cienkie białe strzępy oderwały się od warstwy burzowej i powoli wirowały, zataczając szerokie koło. Jeszcze nie było to prawdziwe tornado, ale serce zamarło Teddi w piersi.

- W porządku, szykuj kamerę - polecił Matt, przytrzymując ją lekko, żeby się o nic nie potknęła. - Bierzemy się do roboty!



Dasz sobie radę, Teddi, dasz sobie radę, powtarzała z naciskiem, jednocześnie nakazując swemu sercu, by przestało tak szaleńczo walić. Dasz sobie radę. Kucnąwszy przy fotelu, zaczęła wkładać plecak, w którym miała sprzęt; po chwili była gotowa. Matt rozsunął boczne drzwi i wyskoczył na dwór. Pi-kap i mikrobus dojechały na miejsce; wszyscy wysiadali ogromnie przejęci.

Ręce miała mokre od potu, w dodatku tak bardzo jej się trzęsły, że z trudem otworzyła tylne drzwi. Zeskoczyła na ziemię, chwyciła z fotela kamerę, a gdy się odwróciła, zobaczyła nadbiegającego Bryce'a. Oczekiwał od niej instrukcji. Teddi wzięła się w garść i oznajmiła:

- Ja kręcę ekipę, ty filmuj chmurę.

- Którą? - spytał rozdrażniony, starając się przekrzyczeć ryk wiatru. - Wszystkie wyglądają identycznie! Lada moment lunie z nich deszcz!

Teddi ujęła go za ramię i obróciła twarzą w kierunku północno-zachodnim, po czym pokazała jasne, wirujące smugi na niebie.

- Skup się wyłącznie na nich - poleciła, po czym spojrzała na Griffa, który podszedł niezauważenie. - A ty lec po tyczkę mikrofonową i nagrywaj Matta. Chcę mieć każde jego słowo.

- W porządku.

Griff wrócił pędem do mikrobusu, Teddi zaś, przeskoczywszy rów, przebiegła kilkanaście metrów na południe, po czym stanęła i podniosła kamerę do oczu. W wizjerze ukazały się wszystkie trzy pojazdy. Usatysfakcjonowana, zrobiła zbliżenie na Matta, który ustawiał Pandorę, następnie na Gerry'ego i Nate'a, wypuszczających żółty balon meteorologiczny.

Burza nadciągała z lewej. Teddi starała się nie zwracać na nią uwagi i skupić na pracy członków zespołu. Nie było to łatwe. Wiatr targał jej koszulę, splecionymi w warkocz włosami. Trudno było udawać, że się tego nie czuje, a także łomotu oszalałego z przerażenia serca.

Znajdowała się zbyt daleko od furgonetki, żeby słyszeć, co inni mówią, a to z kolei wzmagало jej poczucie osamotnienia. Po pewnym czasie zauważyła, że zapal i podniecenie zaczynają w zespole wygasać. Ruchy mężczyzn stały się wolniejsze, plecy bardziej przygarbione. Wtem Matt potrząsnął zrezygnowany głową i zamknął czarną skrzynkę. Widząc to, Teddi natychmiast się uspokoiła. Z niezadowolonej miny Matta wynikało, że tornado się nie zmaterializuje.

Wyłączyła kamerę i ruszyła z powrotem do pojazdów. Bryce stał na dachu pikapu, cierpliwie czekając, aż wydarzy się coś ciekawego, ale na widok powracającej Teddi również wyłączył kamerę i zszedł na ziemię.

Zbliżała się do Matta, trzymając kamerę na ramieniu. Griff ustawił się z tyczką mikrofonową w furgonetce, żeby nie wchodzić w kadr. Teddi dała mu ręką znak, żeby pozostał na miejscu. Zamierzała przedstawić różne aspekty pogoni, w tym również porażki.

- Co się stało? - spytała Matta, kiedy podeszła na tyle blisko, aby ją słyszał.

- Burza... - zaczął i odwróciwszy się, ujrzał przed oczami mrugające, czerwone światelko.

Teddi uniosła prawą dłoń.

- Patrz na moją rękę, nie na obiektyw, i wyjaśnij, co się stało.

Matt przeniósł wzrok kilka centymetrów w lewo.

- Po prostu burza rozeszła się po kościach. To się często zdarza - powiedział, po czym dokładnie opisał mechanizm.

- A zatem z tej burzy nie zrodzi się tornado?

- Na pewno nie w ciągu najbliższej godziny - oznajmił z żalem. -

Może później znów zaistnieją odpowiednie warunki, ale wówczas będzie za ciemno na pościg.

- A Pandora? Jak się spisała? Próbował ukryć rozczarowanie.

- Wskazała, że ruch rotacyjny powietrza był za słaby, żeby mogło powstać tornado. Niestety, to o niczym nie świadczy. Przydatność Pandory sprawdzi się dopiero wtedy, gdy ostrzeże nas przed tornadem, które rzeczywiście się zmaterializuje.

Pierwsze krople deszczu spadły Teddi na ramiona. Ponownie wyłączyła kamerę.

- Przykro mi, Matt. Musisz czuć się zawiedziony.

- Och, przywykłem do fałszywych alarmów. Do czerwca ty też przywykniesz. Dziewięćdziesiąt procent łowów właśnie tak się kończy.

Podniosło to Teddi na duchu, miała jednak wyrzuty sumienia z powodu ulgi, jaką czuła.

- To co teraz robimy? Wracamy do ośrodka?

- Nie. Połączymy się ze stacją kontrolną i sprawdzimy, czy w pobliżu nie dzieje się coś ciekawego.

- Hej, Matt! Chodź szybko! - zawołała Olivia, która wciąż siedziała przy monitorze w furgonetce.

Rzucił się pędem do furgonetki, za nim reszta zespołu. Wszyscy otoczyli Olivię. Teddi, która pozostała z tyłu, żeby nikt nie stracił jej z ramienia kamery, czekała na wynik zwołanej naprędce narady.

Zauważyła, że Griff nadal jest w wozie i wszystko nagrywa, ale sama słyszała jedynie przytłumione głosy.

Bryce podszedł z drugą kamerą.

- Wiele hałasu o nic, co? - spytał, wskazując na czarne chmury nad głową.

- Na to wygląda.

- Co teraz?

- Nie wiem. Matt zamierzał sprawdzić, czy w okolicy nie ma innych punktów zapalnych, ale chyba Olivia dojrzała coś ciekawego na monitorze.

Nagle musiała usunąć się na bok, bo wszyscy - w tym Griff - zaczęli pośpiesznie opuszczać furgonetkę. Matt wychylił głowę przez otwarte drzwi.

- Ładujcie sprzęt! - zawołał. - Jedziemy!

- Co się dzieje?

- Doppler pokazuje skręcające echo w komórce piętnaście kilometrów na południe stąd.

- Skręcające echo? Co ono oznacza? - spytał Bryce.

- Trąbę powietrzną, przyjacielu! Tornado! Wskakuj, Teddi, i trzymaj kamerę w pogotowiu. Zaraz zacznie się przedstawienie!

Bryce pognął do pikapu, Teddi zaś ledwo zdążyła zająć miejsce w przydzielonym jej fotelu, kiedy Nate wcisnął gaz do deski i z

piskiem opon wjechał na drogę, zostawiając inne pojazdy daleko za sobą.

Matt siedział z przodu, pochylony nad mapą, Olivia zaś nie spuszczała oczu z monitora. Krople deszczu bębniły w szyby i dach. Pędzili na południe asfaltową szosą dwupasmową; zanim skręcili na zachód, deszcz przybrał na sile, zamieniając się w gwałtowną ulewę.

Nate przestawił radio na lokalny kanał zarezerwowany dla oficjalnych obserwatorów tornad i dał dźwięk na pełny regulator, tak że nawet Teddi siedząca na końcu furgonetki usłyszała podniecony krzyk, że półtora kilometra od Manitou trąba zeszła na ziemię.

- To na południe od nas - zawołał z przejęciem Matt, uderzając palcem w wymiętą mapę. - Nate, jedź pięć kilometrów do skrzyżowania z drogą lokalną, tam skreć na wschód. Znajdziemy się akurat w idealnym miejscu. - Te same wskazówki przekazał krótkofalówką do pozostałych dwóch pojazdów, po czym wstał i ledwo utrzymując równowagę w podskakującej furgonetce, ostrożnie dotarł do fotela naprzeciwko Olivii. - Słyszałaś, Teddi? Mamy tornado!

Z przerażenia całkiem zaschło jej w gardle, więc tylko skinęła głową.

- Przygotuj się. Będiesz kręcić z bliska!

Zajęty obserwacją monitora i podniecony myślą o spotkaniu z żywiołem, nie zauważył strachu w jej oczach. Nie wydawał się też być przejęty faktem, że wykonują ten sam manewr, który zabił przed laty Joe'ego Cochran. A Teddi dokładnie pamiętała słowa, którymi opisał tamtą sytuację.

Deszcz jeszcze bardziej przybrał na sile, a po chwili zaczął walić grad; huk był taki, jakby furgonetka znalazła się pod ostrzałem artyleryjskim. Gdzieś z przodu szalało tornado, dokonując straszliwych zniszczeń, ale było niewidoczne, schowane za czarną kurtyną deszczu.

Grad odbijał się od mokrej, czarnej nawierzchni. W blasku tylnych świateł kryształki lodu lśniły niczym rubiny. Reflektory pikapu majaczyły w oddali. Nagle furgonetka wykonała tak ostry zakręt, że Teddi wypadła z fotela - odruchowo własnym ciałem osłoniła kamerę, następnie wsunęła się na kolanach pomiędzy drzwi a pulpit z instrumentami, skąd miała niczym nie przysłonięty widok na drogę, którą już pokonali.

Nawierzchnia robiła się coraz bardziej wyboista, ale Nate nie zmniejszył prędkości. Wciąż pruli przed siebie. Wtem deszcz i grad ustały. Niebo zmieniło kolor na pomarańczowy, a cisza wydawała się prawie ogłuszająca.

Nie trwała długo.

Teddi pierwsza usłyszała ryk - miała wrażenie, jakby pociąg towarowy pędził po rozklekotanych szynach. Dobrze знаła ten dźwięk. Od dwudziestu lat ją prześladował, wdzierał się w jej sny, sprawiał, że bała się zmrużyć oczy. Ale teraz przecież nie śniła.

Nagle, jak przez mgłę, usłyszała głos Matta, który wołał, żeby zaczęła kręcić, bo jakieś sto metrów za nimi utworzyła się wirująca wstęga śmierci, łącząca niebo z ziemią.

Głęboko zakorzeniony instynkt zmusił Teddi do tego, aby podniosła kamerę i oparła ją o ramię, nic więcej jednak nie potrafiła

wykonać. Była sparaliżowana - podobnie jak tamtej nocy przed laty, kiedy identyczny ryk uświadomił jej, że za moment zginie. Wtedy tylko słyszała ryk, teraz również widziała, co go powoduje.

Trąba deptała im po piętach, zmniejszając dzielącą ich odległość. Nagle Teddi znów miała piętnaście lat. Wszyscy zwracali się do niej „Teresa”, choć nienawidziła tego imienia. Miała matkę i ojca, którym nie podobały się jej płyty z muzyką rockową oraz starszą siostrę, która była chodzącym ideałem. Cathy za kilka tygodni wyjeżdżała do innego miasta na studia i Teddi nie mogła się już doczekać, żeby mieć sypialnię wyłącznie dla siebie.

Wiedziała, jak ją urządzi oraz gdzie powiesi plakaty Davida Bowie'ego. Całą zimę pracowała w kinie, sprzedając napoje i słodycze, żeby zarobić pieniądze na jaskrawą kapę i nowe zasłony; zamierzała zmienić konwencjonalną, różową narzutę i koronkowe firanki, które Cathy, za zgodą rodziców, sama wybrała w sklepie.

Postanowiła, że po wyjeździe siostry ich wspólny pokój stanie się jej pokojem. A jej pokój musi odzwierciedlać jej charakter, a nie charakter siostry. Jeżeli rodzicom nie spodobają się zmiany, to trudno. Ma już piętnaście lat, a piętnastoletnia dziewczyna chyba może o paru sprawach decydować sama. Znudziło się jej życie w cieniu idealnej siostry. Bokiem wylażyły jej ciągłe uwagi nauczycieli, że stacją na więcej, że nie dorównuje pilnej, mądrej Cathy. Miała powyżej uszu tego, że najbliżsi wyśmiewają się z jej marzeń o wyjeździe do Hollywood. A najbardziej ze wszystkiego sprzykrzyło jej się, że rodzice bez przerwy ją krytykują.

Weź przykład z Cathy. Z nią nigdy nie mamy kłopotów, powtarzali raz po raz. A oprócz tego: Tereso, ścisź muzykę! Tereso, nie przerywaj starszym! Tereso, nie zakładaj nogi na nogę; bądź damą jak Cathy.

Cathy! Cathy! Cathy! Ciągle Cathy. Teddi kochała rodziców, kochała siostrę, ale czasem ich nienawidziła za to, że chcieli ulepić z niej drugą Catherine O'Brien.

Raz w życiu pragnęła się przekonać, jak to jest być ulubioną córką. Tą, która dostaje nową sukienkę prosto ze sklepu, a nie ubrania, z których wyrosła starsza siostra. Tą, która decyduje o narzucie na łóżko i zasłonach do okien. Tą, którą rodzice nieustannie chwalą i głaszczą po główce.

A potem nagle w środku nocy zbudził ją pociąg towarowy, który zniszczył wszystko. Znikły pretensje, prośby, porównania - znikła też miłość i poczucie bezpieczeństwa, które zawsze przyjmowała za rzecz naturalną. Nie zostało nic - tylko ten straszliwy ryk, który nadal prześladował ją w snach.

Ryk, który dwadzieścia lat temu pojawił się znikąd, a potem znikł, i który teraz wrócił po nią.

Ciemny potwór pędził za furgonetką, wijąc się niczym kobra. Przeskakiwał z jednej strony szosy na drugą, czasem skręcał w pole, jakby przez moment nie pamiętał, gdzie się Teddi znajduje, po czym szybko naprawiał swój błąd.

- Uważaj, Teddi! Skręcamy!

Podeksycytowany głos Matta wyrwał ją z odrętwienia. Z całej siły chwyciła za fotel. Prawie nie zwalniając, furgonetka zjechała w polną



drogę, która wiodła przez pole jęczmienia. Nate przyśpieszył. Teddi poleciała w tył, uderzając plecami o tablicę z instrumentami. Nagle pojazdem zatrzęsło - i tornado pomknęło dalej.

Czyli wcale nie za nią goniło.

Chwilę później czarny słup oderwał się od ziemi i zniknął. Nate nacisnął hamulec. Stanęli. Nikt nic nie mówił, jedynie wycieraczki pracowały rytmicznie.

Wokół panowała martwa cisza.

RS

Miała wrażenie, że słucha grupki żołnierzy barwnie opowiadających o swych wojennych przeżyciach. Restauracja była niemal pusta, albowiem groźna burza z piorunami, jaka przetoczyła się nad okolicą, sprawiła, że normalni, zdrowi na umyśle ludzie nie ruszali się z domu. Dwóch kierowców ciężarówek siedziało na drugim końcu sali, pijąc kawę i flirtując z kelnerką. Przy oknie kobieta z dwójką dzieci czekała, aż deszcz ustanie. Wszyscy już dawno zrezygnowali z podsłuchiwania ludzi ściśniętych przy długim stole, którzy z ożywieniem opisywali swoje przygody.

Dwie godziny temu otarli się o śmierć i teraz koniecznie chcieli o tym mówić. Teddi wiedziała, jak to jest, kiedy człowiek nabuzowany energią pragnie podzielić się wrażeniami. Ale tego wieczoru ona sama nie czuła tej potrzeby. Dzisiejsze przeżycie, zbyt prawdziwe, zbyt silne, zbyt upokarzające, było bolesnym przypomnieniem tamtego sprzed dwudziestu lat. Marzyła jedynie o tym, żeby wrócić do domu - nie do motelu w Turner, od którego wciąż dzieliły ją trzy godziny jazdy, ale do domu w Kalifornii. Pragnęła znaleźć się w bezpiecznym miejscu, gdzie mogłaby wylizać się z ran i odzyskać spokój, którego w tak brutalny sposób ją dziś pozbawiono.

Chciała, żeby inni uczestnicy pościgu dopili wreszcie kawę i wstali od stołu. Chciała, żeby przestali opowiadać o trąbie

powietrznej, bała się bowiem, że jeśli nie przestaną, ona sama zaraz rozpadnie się na miliony drobnych cząstek i zniknie na zawsze.

- Gdybyśmy przegapili zakręt, spadłoby prosto na nas -mówił Gerry Hampton; oczy wciąż mu błyszczały z przejęcia. - Zetknięcie nastąpiło jakieś pół kilometra przed nami.

- To prawda. - Griff podniósł do ust kubek. - A wtedy Gerry tak mocno dał na hamulec, że niemal się w niego wpackowaliśmy.

Ryan Sawyer, który jechał razem z Griffem, zgniótł serwetkę w kulkę i rzucił ją w Gerry'ego.

- No właśnie, Gerry. O mało przez ciebie nie rozbiłem nosa na szybie. Następnym razem bądź tak miły i uprzedź nas, że hamujesz.

- Następnym razem zapnij pasy - powiedział Gerry, odrzucając serwetkę. - Swoją drogę, ciekaw jestem, co Bryce'owi udało się nakręcić. Ledwo stanęliśmy, wyskoczył jak z procy i zabrał się do roboty.

Bryce skinął głową.

- Na szczęście nie zdążyłem zdjąć teleobiektywu. Myślę, że mam bombowy materiał. Na pewno jest ujęcie tornada z wozami w tle. Oczywiście nie cały czas was widziałem, bo tyle latało w powietrzu śmieci...

- Podejrzewam, że Teddi ma jeszcze lepszy materiał -wtrącił Nate. - Tam, gdzie siedziała, był świetny punkt obserwacyjny. Patrząc w lusterko widziałem, jak potwór nas dogania. Dzięki Bogu, że dostrzegłem tę polną drogę. Gdyby się nie pojawiła, skręciłbym prosto w jęczmień.

Teddi wiedziała, że Bryce się w nią wpatruje, czekając, aby potwierdziła przypuszczenia Nate'a, ale nie była w stanie napotkać jego wzroku. Gdyby uniosła głowę, zbyt wiele ujrzełaby w jej oczach. Na Matta też bała się spojrzeć; odkąd tak wierutnie go okłamała, po prostu nie miała odwagi popatrzeć mu w twarz.

Tam, w furgonetce, najpierw siedziała odrętwiała, nie mogąc wykonać najmniejszego ruchu, potem ogarnęły ją mdłości, a wreszcie - gdy było już po wszystkim i inni z przejęciem analizowali to, co się stało - zaczął ją dławić wstyd. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nie nakręciła ani jednego ujęcia, a przecież mógł to być najbardziej spektakularny film w całej jej dotychczasowej karierze.

- I co, Teddi? - spytał Ryan. - Uchwyciłaś potwora, czy za bardzo w furgonetce trzęsło?

- Nie, Teddi w ogóle nic nie udało się sfilmować - odparł za nią Matt. - Coś się zablokowało w kamerze.

Nie była pewna, czy Matt uwierzył w jej kłamstwo, czy może ją osłania, ponieważ domyślił się prawdy i chce oszczędzić jej wstydu. Nie wiedziała, co jest gorsze: uchodzić za kłamcę i partacza czy za tchórza.

Nie robiło to jednak różnicy, bo zamierzała twardo trzymać się swojej wersji.

- Kiedy zjechaliśmy na pobocze, wyrzuciło mnie z fotela - powiedziała. - Musiałam uderzyć o coś kamerą. - Nie mogła znieść rozczarowania w oczach swych współtowarzyszy. Wystarczyły jej własne wyrzuty sumienia. Odsunęła krzesło i wstała od stołu, pragnąc choć na chwilę uciec od ich spojrzeli.

- Przepraszam, muszę skorzystać z toalety, zanim ruszymy w dalszą drogę.

- Ja też - oznajmił Matt. - Zaraz wracam. - Tak szybko się oddalała, że niemal rzucił się za nią biegiem. Dogonił ją dopiero w korytarzyku, z którego prowadziły drzwi do toalet. - Teddi, poczekaj!

Stała lekko przestraszona. Czuła się zapędzona w kozi róg. Matt patrzył na nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Gdyby godzinę temu udało mu się porozmawiać z nią w cztery oczy, zrobiłby to, ale nie miał czasu. Zresztą Teddi była wtedy tak przerażona tornadem, że potrzebowała paru minut w samotności, żeby odzyskać równowagę. Jednak wciąż jeszcze nie doszła do siebie i to go trochę martwiło.

- Dobrze się czujesz? - spytał troskliwie.

- Tak. Po prostu za dużo wypiałam kawy.

- Prawie jej nie tknęłaś. Hamburgera też zostawiłaś.

- Poproszę, żeby zapakowano mi go na wynos. Nie bój się, nie umrę z głodu.

- Teddi, porozmawiaj ze mną. Podniosła na niego wzrok.

- O czym? - spytała.

- Słuchaj, to zupełnie normalne, że się bałaś. Nawet ja nie lubię być tak blisko tornada.

- Akurat! - burknęła gniewnie. - Byłeś zachwycony! Nie miałeś kiedy wypróbować Pandory, ale poza tym bawiłeś się wspaniale.

Nie mógł zaprzeczyć, że owszem, było to dla niego niezwykle ekscytujące przeżycie, ale przecież też się bał - jedno drugiego nie wyklucza.

- Teddi - powiedział łagodnie - miałaś prawo być przerażona.

Nie znosiła, gdy ją traktowano jak dziecko, a jeszcze bardziej nienawidziła litości i współczucia. Pomimo obietnicy zawiodła Matta, a nie przywykła nie wywiązywać się ze swych przyrzeczeń - ani przyznawać do porażek.

- Przestań się nade mną użalać, Matt. Nic mi nie jest.

- Kamerze też nic nie jest, prawda? Zesztywniała.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- O to, że nic się nie zablokowało.

- A właśnie, że się zablokowało!

- Teddi, przyglądałem ci się. Trzymałaś kamerę na ramieniu, ale nie paliło się czerwone światełko.

- Dlatego, że się przycisk zablokował!

Nie umiał odgadnąć, czy mówi prawdę, ale uznał, że nie warto drażnić tej sprawy.

- Po prostu się o ciebie martwię.

- Niepotrzebnie.

Wziął głęboki oddech i podjął jeszcze jedną próbę:

- Słuchaj, do tej pory tornado było dla ciebie czymś abstrakcyjnym, a dziś...

- Cholera jasna, daj mi święty spokój!

Obróciła się na pięcie i weszła do damskiej toalety. Zatrzasnęła drzwi, po czym oparła się o nie, bo nogi miała jak z waty i bała się, że zaraz runie na podłogę. Drżała na całym ciele. Nie była pewna, co czuje: strach czy złość. Po chwili chwiejnym krokiem podeszła do umywalki i opłukała twarz wodą.

Niewiele to pomogło. Kiedy wreszcie zerknęła do lustra, prawie siebie nie poznała. Kobieta w lustrze była identycznie ubrana jak ona, miała takie same włosy, taką samą twarz, ale zupełnie inne oczy. Oczy przerażonego zwierzęcia. Nie było w nich cienia odwagi, żadnego błysku czy zapału.

Gdyby mogła pozbyć się ich, a wraz z nimi swojego strachu, zrobiłaby to bez wahania. Tymczasem mogła jedynie zacisnąć mocno powieki i starać się powstrzymać bolesny szloch, który podchodził jej do gardła.

Pokój w motelu był stanowczo za mały, żeby wygodnie przemierzać go tam i z powrotem, ale nie bardzo mogła w środku nocy łązić po parkingu, ubrana w bluzę o kilka numerów za dużą. Nawet w tak małej, sennej miejscinie jak Turner ktoś by ją prędzej czy później zauważył, a wtedy przyjechałaby policja i odwiozła ją do najbliższego szpitala dla wariatów.

Tej nocy właśnie tam było jej miejsce. Minęło wiele godzin, odkąd patrzyła śmierci w oczy, lecz wciąż nie potrafiła opanować drżenia. Udało jej się uniknąć kolejnych pytań Matta, bo drogę z restauracji do domu odbyła w mikrobusie Griffa, który podrzucił ją do hotelu, zanim sam wrócił do ośrodka. Ale przecież nie mogła unikać Matta w nieskończoność. Musi go przeprosić, wyjaśnić mu wszystko. Przynajmniej tyle jest mu winna. Najpierw jednak musi dojść do ładu z sobą.

Miała wrażenie, że to nigdy nie nastąpi. W tej chwili marzyła o tym, by ukryć się w jakimś bezpiecznym kącie, zwinąć się w kulkę i stać niewidoczna; marzyła o tym, aby ucichł ryk, który wciąż słyszała

w głowie, i żeby znikł jej przed oczu straszny obraz czarnego wirującego słupa, wystraszonych twarzy, zniszczonych grobów.

Kotłowało się w niej tak wiele różnych emocji, że nawet nie była w stanie wszystkich rozpoznać. Na pewno czuła strach, złość, żal, wyrzuty sumienia, wstyd. Sądziła że zdoła je kolejno zanalizować, zrozumieć i opanować, ale były zbyt silne, a zarazem zbyt ulotne; nie miała nad nimi żadnej kontroli.

Kiedy usłyszała ciche pukanie, o mało nie wyskoczyła ze skóry. Odetchnęła głęboko, żeby się choć trochę uspokoić, po czym modląc się w duchu, żeby osobą za drzwiami nie był Matt, drżącą ręką nacisnęła klamkę.

Nie zdziwiła się, widząc, że jej modły nie zostały wysłuchane. Matt stał pod daszkiem, tuż poza zasięgiem coraz słabiej padającego deszczu.

- Co tu robisz? - spytała nieco ostrzejszym tonem, niż chciała.

Miał przygotowaną mowę. Powtarzał ją od godziny, czyli odkąd Griff zjawił się w ośrodku. Był wściekły na Teddi, że go unika i że go okłamała. Na wszelki wypadek poprosił Griffa o sprawdzenie kamery; oczywiście nic się nie zablokowało. Przyjechał więc do motelu, bo zamierzał wydobyć z niej kilka odpowiedzi.

Ale kiedy zobaczył Teddi, jego wściekłość zniknęła; stojąca w drzwiach kobieta o przerażonym spojrzeniu w niczym nie przypominała odważnej, butnej niewiasty, którą poznał w Los Angeles. Nie była tą samą kobietą, która wczoraj wieczorem tak namiętnie się z nim kochała, a potem leżała w jego ramionach,



wpatrując się w gwiazdy. Nie była nawet tą samą zagniewaną kobietą, która kilka godzin temu krzyczała na niego w restauracji.

Kobieta w drzwiach wyglądała tak, jakby odbyła podróż do piekieł i z powrotem, a on, Matt, był jej przewodnikiem po królestwie Lucyfera. Nagle uzmysłowił sobie, że reakcja emocjonalna Teddi nie wynika z samego wstydu czy strachu, lecz z czegoś znacznie głębszego.

- Teddi, co się stało? - spytał, gdy wreszcie odzyskał głos.

- Nic - warknęła.

- Nie wierzę. Jesteś cieniem dawnej siebie.

- Dzięki za miłe słowa, doktorze Abernathy - rzekła z sarkazmem. - Czy teraz pan doktor będzie łaskaw odejść? Chciałabym się wyspać. Jestem trochę zmęczona.

Matt potrząsnął głową.

- Nie, Teddi. Nie odejdę, dopóki nie powiesz mi, co się dzieje.

Zacisnęła pięści, żeby powstrzymać się od krzyku.

- Jutro porozmawiamy, dobrze? Przyjdę do ciebie i wszystko ci wyjaśnię. Proszę cię, Matt, zostaw mnie samą.

- Nie, Teddi. Porozmawiamy. - Wszedł do pokoju.

- W porządku. - Ze stosu ubrań piętrzących się w wejściu do łazienki podniosła dzinsy. - Rozmawiaj sam z sobą. Ja wychodzę.

Kiedy wciągała spodnie, Matt zamknął drzwi i rozejrzał się po pokoju. Panował w nim okropny bałagan. Na podłodze leżała otwarta walizka, a w niej rzucone były jak ubrania, łóżko wyglądało tak, jakby ktoś spędził w nim bezsenną noc, ciskając się z jednego kąta w drugi.

Nie wiedział, co robić. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z kobietą, która znajduje się na skraju załamania nerwowego. Nie ulegało zaś dla niego wątpliwości, że Teddi stoi nad przepaścią i jeśli nikt nie przyjdzie jej z pomocą, zaraz skoczy.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedział, kiedy chwyciła ze stolika torebkę.

- A co, myślisz, że mnie powstrzymasz? - spytała z nie ukrywanym jadem.

- Tego chcesz? Żebym użył siły?

- Chcę, żebyś zostawił mnie w spokoju! - krzyknęła, rzucając torebkę na łóżko.

- Nie wyjdę, Teddi. Nie mogę zostawić cię samej. Przecież cała się trzęsiesz!

- Muszę to załatwić po swojemu!

- Co załatwić? Na miłość boską, co się dzieje?

- Nic.

- Nie wierzę ci.

- Trudno.

Bał się odsunąć od drzwi; podejrzewał, że Teddi tylko czeka na okazję, żeby wybiec z pokoju. Wyglądała jak zapędzone w róg, przerażone zwierzę, które gotowe jest walczyć na śmierć i życie, żeby tylko nie dać się schwytać. A przecież on wcale nie chciał jej skrzywdzić. Pragnął ją zrozumieć - i pomóc.

Uznał, że najlepiej nie owijać niczego w bawełnę.

- Prosiłem Griffa, żeby sprawdził twoją kamerę. Nie zauważył, żeby się cokolwiek popsulo.

Teddi popatrzyła na niego wrogo, ale milczała. Matt wiedział, że za wszelką cenę musi przebić się przez pancerz, za którym się schowała, i zmusić ją do mówienia.

- Pewnie zaraz mi powiesz, że ją naprawiłaś?

- Dlaczego miałabym tak powiedzieć? Jestem tchórzem, ale nie kłamię.

- Dziś po południu mnie okłamałaś.

- Dobrze. - Wzruszyła ramionami. - Jestem i tchórzem, i kłamię.

Zadowolony?

- Nie jesteś żadnym tchórzem, Teddi - oznajmił, podchodząc do niej bliżej. - Cofnęła się. - Teddi, odpuść sobie. Nikt od ciebie nie wymaga, żebyś była jak Rambo.

- Jak Rambo? Nie żartuj! - Na moment zamilkła. - Dziś po południu dosłownie zamarłam z przerażenia. To chciałeś usłyszeć? Ze strachu nie byłam w stanie wykonać najmniejszego ruchu, a potem nie miałam odwagi przyznać się, że spieprzyłam robotę. Nie tego się spodziewałeś po wielkiej Teddi O'Brien, prawda?

- Prawda - przyznał cicho.

Widząc zawód w jego oczach, poczuła się tak, jakby ktoś wbił jej nóż w serce. Nogi się pod nią ugięły. Musiała się czegoś przytrzymać, żeby nie stracić równowagi, więc przeszła do niedużej kuchenki i oparła się o blat szafki.

- Proszę, zostaw mnie, Matt - szepnęła błagalnie. - Nie chcę, żebyś mnie widział w takim stanie. Przysięgam, że jutro wszystko ci wytłumaczę.

Nagle usłyszała, jak idzie w jej stronę. Zesztywniała.

- Tu chodzi o coś więcej niż sam strach, prawda, Teddi?

- Tak.

Przez chwilę czekał, łudząc się, że może sama podejmie temat, po czym spytał wprost:

- Kogo zabrało ci tornado?

Wczoraj udało jej się wykręcić od odpowiedzi na to pytanie, ale nie mogła dłużej chować głowy w piasek.

- Wszystkich - odparła zduszonym głosem, zaciskając ręce na kuchennym blacie tak mocno, że kłykcie jej zbieleły. - Rodziców, siostrę...

Matta zatkało. Zupełnie się tego nie spodziewał. Myślał, że może ciotkę czy koleżankę, ale całą rodzinę? Wszystkich najbliższych?

- Mój Boże, Teddi. Strasznie mi przykro...

Położył dłonie na jej ramionach, lecz ona odsunęła się gwałtownie; nie chciała pocieszenia.

- Oszczędź mi swego współczucia, Matt. Odskokczył jak oparzony.

- W porządku, nie będzie żadnego współczucia - rzekł, nie dając po sobie poznać, jak bolesne jest jej odtrącenie. - Kiedy to się stało?

- Dwadzieścia lat temu. W Dry Creek w Oklahomie.

- W Dry Creek? - Słyszał o tragedii, jaka się tam przed laty wydarzyła. Nie pamiętał dokładnych liczb, ale pamiętał, że ofiar było wiele. Zastanawiał się, co młode małżeństwo z Kalifornii robiło w Oklahomie. Zwiedzało środkowy zachód? - Skąd się wzięliście w Oklahomie?

Teddi przygryzła wargi i obronnym gestem skrzyżowała ręce na piersi.

- Mieszkaliśmy tu - rzekła.

Matt znów cofnął się o krok, zdziwiony i oburzony tym, że okłamywała go od samego początku.

- Przecież mówiłaś, że pochodzisz z Kalifornii!

Zdobywając się wreszcie na odwagę, spojrzała mu prosto w oczy.

- Chciałam, żebyś tak myślał i nie zadawał za dużo pytań. Ale przypomnij sobie, Matt: ani razu nie powiedziałam, że się urodziłam na zachodnim wybrzeżu.

Patrzył na nią w osłupieniu, starając się przetrwać to, co przed chwilą usłyszał. Było mu potwornie żal Teddi, ale nie zamierzał się nad nią litować. Zresztą ona sama najwyraźniej tego nie chciała i nie potrzebowała.

- Byłaś wtedy w Dry Creek?

- Tak.

- Chryste! - Wolnym krokiem ruszył do pokoju. - Teddi, dlaczego skłamałaś? Przecież pytałem cię, czy kiedykolwiek widziałaś tornado. Mówiłaś, że nie.

- Bo nie widziałam. Naprawdę nie widziałam. Czułam je. Słyszałam. Byłam od niego na odległość wyciągniętej ręki, ale ono mnie nie dosięgło. - Głos miała przepojony bólem i zdumieniem. - Z domu została ruina, siostra i rodzice zginęli, a ja nie odniosłam najmniejszej rany. - Wzruszyła bezradnie ramionami. - Dlaczego?

Matt usiadł na łóżku. Nie mógł dojść do ładu ze swoimi emocjami. Z jednej strony był wściekły na Teddi za jej kłamstwa, z drugiej strony na myśl o tym, co ją spotkało, przytłaczał go bezmierny smutek. Chciał wziąć ją w ramiona i przytulić mocno do piersi. Chciał ją ochronić, pocieszyć -ale było na to za późno. Krzywdę wyrządzono dwadzieścia lat temu.

- Dlaczego tu przyjechałaś? Po jakie лихо masz się ponownie narażać na tak niemiłe przeżycia?

Była mu wdzięczna, że się nad nią nie użala, bo szczerze tego nienawidziła. Gdyby zaczął okazywać jej współczucie, pewnie uciekłaby z krzykiem, a tak popadła w dziwny stan odrętwienia, co nawet było dobre, bo łatwiej przychodziła jej rozmowa.

- Na to pytanie odpowiadałam ci w Los Angeles, Matt. Po prostu nie zdawałam sobie sprawy, że wciąż się boję tornad. Kiedy rodzice zginęli, zamieszkałam z ciotką w Anaheim. Przez jakiś czas dręczyły mnie w nocy koszmary, ale potem minęły. Byłam przekonana, że wszystko wróciło do normy.

- Aż tu zjawia się jakiś facet i prosi cię o nakręcenie dokumentu o łowcach tornad?

- No właśnie. Zaskoczyłeś mnie. Nagle odżyły wszystkie moje strachy i obawy. W pierwszej chwili byłam tak skołowana, że nie wiedziałam, co się dzieje, ale potem zrozumiałam. Zrozumiałam, że zamiast pokonać lęk, zamiast go zwalczyć, ja od niego uciekałam.

- Postanowiłaś wykorzystać mój film jako sprawdzian swojej odwagi? - spytał z niedowierzaniem.

Nie posiadał się z wściekłości. Nic dziwnego, pomyślała w duchu Teddi. Zdecydowanie bardziej wolą stawić czoło jego furii, niż patrzeć na wyraz rozczarowania w jego oczach.

- Tak - przyznała. - Chciałam uporać się z własnym lękiem.

Matt poderwał się na nogi.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś w Los Angeles? Dlaczego udawałaś?

- Bo gdybyś wiedział, nigdy byś mnie nie zatrudnił.

- No pewnie, że nie! Mój Boże, nie pomyślałaś o mnie? O tym, co ja mogę stracić? Ośrodek przyznał mi milion dolarów na ten film, a ty byłaś gotowa zaprzepaścić wszystko, żeby tylko udowodnić samej sobie, że nie jesteś tchórzem?!

- Wydawało mi się, że sobie poradzę.

- Ale sobie nie poradziłaś! - krzyknął. - Czy masz pojęcie, jak rzadko udaje nam się zaobserwować narodziny tornada? Może w tym sezonie to była nasza pierwsza i ostatnia szansa! A ciebie, cholera, sparaliżowało!

- Wiem! - Targały nią potworne wyrzuty sumienia. - Zawiodłam ciebie! Zawiodłam siebie! Jak mam z tym dalej żyć?!

Matt westchnął głęboko.

- To twoja pierwsza porażka? - spytał. Czując, jak zalewa ją fala smutku, zacisnęła zęby.

- Pierwsza w życiu zawodowym - odparła. - Robiłam rzeczy, które innych przyprawiały o gęsią skórę. Nigdy dotąd nikogo nie zawiodłam, nie stchórzyłam. - Głos jej się załamał. Szybko odwróciła

wzrok, żeby Matt nie dojrzał łez. - To mój znak firmowy, Matt.

Odwaga. Tylko dzięki niej jestem cokolwiek warta.

Nie mógł uwierzyć w to, co powiedziała.

- Naprawdę tak uważasz? - spytał, a kiedy Teddi w milczeniu skinęła głową, podszedł blisko i objął ją. Tym razem się nie cofnęła. - Teddi, jesteś wspaniałą kobietą i doskonałą reżyserką. Jedna porażka nie przekreśla dorobku całego życia. Świadczy jedynie o tym, że jesteś człowiekiem, jak każdy z nas.

- Chcesz powiedzieć, że każdemu zdarzają się niepowodzenia?

- Tak.

- Mnie nie.

- Teddi, rozumiem, że praca stanowi bardzo ważną część twojego życia, ale...

- Nie, Matt - przerwała mu. - Nic nie rozumiesz. Ja... się boję. - Powiedziała to z takim niesmakiem, jakby strach był obrzydliwą, nieuleczalną chorobą.

- Po tym, co się dziś stało, to zupełnie naturalne.

- Wcale nie jest naturalne! Nigdy w życiu niczego się nie bałam! Odkąd zmarli moi rodzice i skończyły się te nocne koszmary, ani razu nie czułam strachu. Sądziłam, że zawsze i ze wszystkim się uporam, z każdym niebezpieczeństwem. Sądziłam, że mogę podejmować każde ryzyko. A teraz... mam ochotę wyc, po prostu wyc, bo z przerażenia nie mogę myśleć, nie mogę się ruszać! Chciałabym wyrwać ten strach z głowy i znów być sobą, ale, psia krew, już nie wiem, co to znaczy być sobą!



Starala się powstrzymać szloch. Matt przygarnął ją do siebie. Próbowała mu się wyrwać, ale trzymał ją tak mocno, że wreszcie się poddała i zanosła płaczem.

Głaskał ją po włosach, zastanawiając się, w jaki sposób może jej pomóc. Jej wyobrażenie o sobie, pewność siebie i wiara we własne nieograniczone możliwości legły dziś w gruzach. Nie wiedział, co zrobić, aby je odzyskała. Na razie tulił ją do piersi, świadom, że to nie wystarczy.

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz wstrząsał nią płacz, i nie chciała pamiętać. Łzy ją upokarzały, choć musiała przyznać, że przynosiły również ulgę. Dzięki nim trochę lepiej się czuła. Dobrze się też czuła w ramionach Matta. Ciepło, bezpiecznie. Póki ją obejmował, wiedziała, że nic złego jej nie spotka. Nie mogła jednak polegać wyłącznie na jego sile - musiała znaleźć siłę w sobie, toteż delikatnie uwolniła się z jego objęć.

- Przepraszam - rzekła idąc przez pokój.

- Za co? Że płakałaś? - Patrzył ze smutkiem, jak się od niego oddala. - Teddi, łzy są rzeczą nie tylko naturalną, ale czasem niemal wskazaną.

- Nie znoszę się mazgaić. - Wytarła twarz o wiszący na drzwiach łazienki ręcznik.

- Płacz nie jest oznaką słabości.

- Dla mnie jest.

Miał wrażenie, jakby walił głową w mur. Westchnął głęboko.

- Masz wobec siebie zbyt wielkie wymagania - powiedział. - W tym cały sęk.

- Nie rozumiem.

- Myślałaś, że to, co się stało dwadzieścia lat temu, nie będzie dziś miało na ciebie wpływu. Ale dwadzieścia lat temu nie uporałaś się ze swoimi uczuciami. Uciekłaś od nich.

- Wiem. Ale naprawdę wierzyłam, że ze wszystkim sobie poradzę.

- A kiedy zobaczyłaś, że nie, wpadłaś w panikę. Dlatego skłamałaś, że kamera się zacięła. Dlatego byłaś bliska hysterii, kiedy zastukałem do drzwi. Masz tak ogromne wymagania wobec siebie, że zamykasz oczy na strach, na bolesne wspomnienia...

- Jestem zawodowcem. Powinnaś móc wykonać swoją pracę bez względu na wspomnienia.

- Teddi, każdy ma jakieś słabości. Musisz być dla siebie bardziej wyrozumiała.

- Bardziej wyrozumiała? Boże, Matt, jak możesz tak mówić? Akurat ty? Przecież cię oszukałam...

- Wiem. - Próbował stłumić złość. - Nie powinnaś była w ogóle przyjmować mojego zlecenia, ale przyjęłaś. I teraz pytanie brzmi: co dalej?

- Nie wiem - odparła, przymykając powieki.

Matt wstrzymał oddech. Bał się odpowiedzi, jaką może usłyszeć na swoje kolejne pytanie.

- Zamierzasz wyjechać? Otworzyła oczy.

- Powinnaś - rzekła. - To nie ulega wątpliwości. Gdybyś był mądry, Matt, nie czekałbyś na moją decyzję, tylko sam byś mnie wyrzucił.

Miała rację. Wiedział, że powinien ją zwolnić i pogodzić się z myślą, że film nigdy nie powstanie, ale nie potrafił się na to zdobyć. Nie chciał rezygnować z filmu. A co ważniejsze, nie chciał rezygnować z Teddi.

- Nie zrobię tego-oznajmił.

- Wiem. Kochaliśmy się wczoraj, więc uważasz, że masz wobec mnie jakieś zobowiązania.

- Sądzisz, że tak cię widzę? Jako zobowiązanie? Ujrzała ból w jego oczach.

- Przepraszam cię, Matt. Sama nie wiem, co mam myśleć.

- To się zastanów. - Wolnym krokiem ruszył w jej stronę. - Pomogę ci. Wspólnie możemy...

- Rozmowa nic nie da, Matt.

- Chcę pomóc...

- Nie, Matt. - Odsunęła się, zwalczając w sobie przemożną chęć znalezienia się w jego ramionach. - To jest mój strach, moja porażka, moje wspomnienia. Choćbyś stawał na głowie, nie sprawisz, żeby zniknęły.

- To prawda, ale mogę służyć ci wsparciem, radą...

- Nie, sama muszę się z tym uporać.

- Jesteś uparta jak osioł, wiesz? Zmusiła usta do uśmiechu.

- Taka się urodziłam. I już się nie zmienię.

- Chcesz, żebym poszedł? - spytał po chwili milczenia, wiedząc, co mu odpowie.

- Wolałabym - rzekła. - Muszę pobyć sama, przemyśleć wiele spraw, podjąć kilka decyzji. Na pewno można uratować twój film. Tylko muszę znaleźć sposób.

- Nie przejmuj się filmem. Zajmij się sobą.

- Sobą zajmę się później. Sezon burzowy nie będzie czekał, aż się uporam z własnymi lękami. Trzeba przeprowadzić mnóstwo wywiadów. Jutrzejsze przyjęcie też należy sfilmować. -A także następną pogoń za tornadem, dodała w myślach i zaraz poczuła, jak robi się jej słabo. Wzięła się jednak w garść i kontynuowała: - Muszę spokojnie się nad wszystkim zastanowić. Coś wymyślę.

Podziwiał jej stanowczość i poświęcenie, ale nie ślepy upór.

- Teddi, nie zdołasz na rozkaz wyprzeć z pamięci tragedii.

Próbowałaś i ci nie wyszło.

- Wiem, Matt, ale sądzę, że jeszcze nie wszystko stracone. Mam pewien pomysł.

- Jaki?

Dość szalony, nie do końca przemyślany, nie wiadomo, czy realny - nikomu innemu nie mówiłaby o nim, dopóki nie rozważyłaby wszystkich za i przeciw, ale Matt ma prawo wiedzieć, w jakim kierunku podążają jej myśli. Jest mu to winna.

- Samo filmowanie mogłabym powierzyć chłopakom, tak jak to chciał zrobić Pat Dennison. Odpadłoby wtedy ryzyko, że znów znieruchomieję z przerażenia i wszystko sknocę. Ja zaś mogłabym się zająć całą resztą.

Było to w miarę rozsądne wyjście z sytuacji, ale istniał drobny mankament.

- Ta cała reszta, Teddi, też obraca się wokół tematu burz i tornad. Czy...

- No właśnie. - Przełknęła ślinę. - Czy będę w stanie oglądać nakręcony materiał? Robić montaż? Żyć tornadami, mówić i myśleć o nich każdego dnia i każdej nocy? - Poczowała, jak po krzyżu przebiega jej dreszcz grozy i obrzydzenia. - Nie wiem, Matt. Muszę się nad tym dobrze zastanowić.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Chciał wierzyć, że Teddi sobie poradzi. Jediną alternatywą było to, że wyjedzie i film nigdy nie powstanie. Ale tylko dlatego, że podpisała z nim umowę, nie miał prawa narażać jej na piekło, które już raz przeżyła.

Teddi jednak podpisała umowę dlatego, że pragnęła stawić czoło swym lękom. Jeżeli znów ucieknie, czy kiedykolwiek odzyska do siebie szacunek?

Nagle Matt zrozumiał, z czym biedaczka musi się zmierzyć. Walka, którą stoczy, raz na zawsze wpłynie na jej obraz samej siebie. Zrozumiał też, ile odwagi wymagał z jej strony przyjazd do Oklahomy. Nie mogąc dłużej wytrzymać, podszedł kilka kroków i delikatnie ujął jej twarz w dłoń.

- Jesteś niezwykłą kobietą, Teddi. Pamiętaj o tym, kiedy będziesz podejmowała decyzję. Podejrzewam, że na twoim miejscu mało kto miałby odwagę tu przyjechać.

Popatrzyła mu w oczy i dostrzegła w nich coś, co bardzo pragnęła ujrzeć. Mianowicie, że Matt w nią wierzył. Okłamała go, sprawiła mu zawód, odtrąciła go, gdy wyciągnął do niej pomocną dłoń

- a on wciąż w nią wierzył. Świadomość tego była dla niej szalenie ważna, tym bardziej że sama w siebie nie wierzyła.

- Nie bądź takim romantykiem, Matt - powiedziała cicho, opierając policzek o jego dłoń. - I nie rób ze mnie bohaterki. Schrzaniałam robotę, ciebie wprowadziłam w błąd, siebie też okłamałam. Mój brak odpowiedzialności drogo nas będzie kosztować.

Nie chciał myśleć o cenie, jaką przyjdzie mu płacić za swoje uczucia.

- Jakoś sobie poradzimy - obiecał.

Objęła go w pasie i uniosła twarz. Ten pocałunek był lekki i ożywczy niczym tchnienie wiosny. Wzruszona opuściła głowę, żeby ponownie się nie rozplakać, a on przytulił ją mocno do siebie.

- Przepraszam, Matt... - wyszeptała.

Nagle coś Matta tknęło; miał wrażenie, że Teddi nie przeprosza za swoje kłamstwo, lecz za nadzieję, jaką mu dała, a potem odebrała. Że próbuje mu powiedzieć, że nigdy nie będą razem. Z początku sądził, że kobieta, w której się zakochał, rozumie jego fascynację pracą i potrafi zaakceptować związane z nią ryzyko. Teraz wiedział, że to nieprawda, ale nie zamierzał się z tym pogodzić. Teddi była kimś wyjątkowym, a jego uczucia do niej zbyt silne, by mógł je zignorować.

Stała w jego objęciach, grzejąc się jego ciepłem i czerpiąc siłę z jego siły. Ale wreszcie uznała że czas najwyższy znaleźć siłę gdzie indziej - w sobie.

- Muszę zostać samą Matt.

Miał ochotę sprzeciwić się. Miał ochotę tulić ją pocieszać, uspokajać, ale wiedział, że Teddi tego nie potrzebuje. Podejrzywał, że w ogóle niczego nie potrzebuje od faceta, który zajmuje się polowaniem na tornada.

- Jesteś pewna? - spytał, modląc się o to, aby zmieniła zdanie i pozwoliła mu zostać. Pragnął jej udowodnić, że się myli, pokazać, że jednak potrzebuje jego pomocy i wsparcia

Nie zmieniła zdania.

- No dobrze. - Ruszył do drzwi. - W razie czego zadzwoń...

- Jasne.

Nagle obrócił się.

- Zobaczysz, Teddi. Wszystko będzie dobrze.

- Próbujesz przekonać siebie czy mnie? - Uśmiechnęła się smutno.

- Oboje.

- Obyś miał rację.

- Mam. Na pewno mam. - Cofnął się i jeszcze raz pocałował ją w usta, po czym wrócił do drzwi. - Zadzwońisz jutro?

- Tak, obiecuję.

- W porządku. - Zawahał się. - Dobranoc, Teddi.

- Dobranoc, Matt.

Matt wniósł do kuchni kolejną pustą tacę; Laura ledwo nadążała z napełnianiem ich, bo gościom bardzo smakowały przygotowane przez nią przystawki. Przyjęcie z okazji rozpoczęcia sezonu burzowego trwało już niemal od godziny. W tle grała muzyka, a Bryce z Griffem, wyposażeni w kamerę i mikrofony, kręcili się między gośćmi, podsłuchując i nagrywając rozmowy. Wszyscy się doskonale bawili.

Wszyscy poza gospodarzem, który na niczym nie mógł się skupić, bo Teddi jeszcze się nie pojawiła. Około południa zadzwoniła z informacją, że Bryce z Griffem przyjdą filmować przyjęcie, lecz nic więcej nie zdradziła. Głos miała spokojniejszy, bardziej opanowany niż poprzedniego wieczoru, ale to mogły być tylko pozory. W każdym razie obiecała Mattowi, że wpadnie wieczorem i powie, co postanowiła. zaproponował jej więcej czasu do namysłu, ale podziękowała, mówiąc, że nie potrzebuje.

Tak więc wkrótce miał się przekonać, co będzie z jego filmem. O tym, co stanie się z jego sercem, wolał nie myśleć.

- Kolejna pusta? - spytała Laura, kiedy postawił tacę na stole.

Był tak zamyślony, że przez chwilę nie wiedział, o czym Laura mówi. Wreszcie ocknął się z zadumy i uśmiechnął.

- Tak. Jak zwykle twoje ptysie z pastą rakową cieszą się ogromnym powodzeniem.

Laura spojrzała na zegarek.



- Następną porcję mogę wyjąć z piecyka dopiero za pięć minut - rzekła, wracając do przerwanej pracy: świeżo upieczone paluszki owijała cienkimi plasterkami szynki i sera.

Matt chwycił jeden - i dostał po łapach.

- Nie niszczyć mi aranżacji. Jak chcesz się poczęstować, to tu masz składniki...

- W porządku. - Niezdarnie przyrządził sobie własnego serowego paluszka.

- Jeszcze nie przyszła co?

Matt na moment znieruchomiał, po czym siłąc się na neutralny ton, spytał:

- Masz na myśli Teddi? Laura wzruszyła ramionami.

- A kogóż innego mogłabym mieć na myśli? Zaczęłaś jej wypatrywać, zanim ktokolwiek się pojawił.

Zdał sobie sprawę, że nie zdoła nabrać osoby, z którą tak długo się przyjaźni.

- Aż tak po mnie widać?

- Owszem. W dodatku całe popołudnie chodziłaś zdenerwowany, a ilekroć wspomniałam nazwisko pani O'Brien, natychmiast zmieniałaś temat. Co się dzieje?

- Mieliśmy wczoraj małe... nieporozumienie.

- Na tle osobistym? - spytała Laura, przyglądając mu się uważnie.

- Nie. - Potrząsnął głową. - Zawodowym. Nie chciał przyznać, że na jednym i na drugim.

- Miało coś wspólnego z wczorajszą pogonią, która o mało nie zakończyła się tragicznie? - Laura ponownie wzięła się do pracy, ale widać było, że jest spięta.

- Skąd o tym wiesz?

Podniosła na niego zniecierpliwiony wzrok.

- Rany boskie, Matt, wszyscy tylko o tym dziś mówią, a ja od czasu do czasu wychodzę z kuchni. Podobno zacięła się jej kamera?

- Tak. - Czuł się coraz bardziej niezręcznie. - Ptysie jeszcze się nie upiekły?

- Nie. Więc czego dotyczyło to wasze małe nieporozumienie?

- Przepraszam, Lauro, nie mogę ci zdradzić.

- Na pewno chodzi o sprawy zawodowe? - spytała, wpatrując się w niego badawczo.

- Na pewno - odparł z naciskiem.

- Kłamiesz, Matt.

Żałował, że jest tak spostrzegawcza.

- Słuchaj, Lauro. Teddi ma problemy, o których nie mogę z tobą rozmawiać.

Laura zmarszczyła czoło.

- Powiedz, Matt, jak daleko posunęła się wasza znajomość?

- Trochę się posunęła...

- Spaliście z sobą?

- Moja droga, ja się nie wtrącam do twoich spraw sercowych.

Prosiłbym cię o to samo.

Nic więcej nie musiał mówić; ta odpowiedz jej wystarczyła.

- Zakochałeś się, prawda?

- Tak. - Westchnął głęboko. Wcale nie chciał rozmawiać na ten temat, ale nie zamierzał też okłamywać Laury.

- Z wzajemnością?

- Nie wiem - przyznał po chwili. - Wydaje mi się, że coś do mnie czuje, ale z Teddi nigdy nic nie wiadomo.

Nie podobał się Laurze smutek, który widziała w oczach swego przyjaciela. Postanowiła sobie, że nie pozwoli, aby jakaś reżyserka z Kalifornii zrobiła z Matta durnia.

- Nie angażuj się za mocno. Najpierw ją lepiej poznaj.

- Za późno na takie rady, Lauro.

- Jak to? - spytała zaskoczona. - Przecież spotkaliście się po raz pierwszy niecałe dwa tygodnie temu.

- Przez dwa tygodnie wiele się może zdarzyć. Jeśli mnie pamięć nie myli, ty już po pierwszej randce wiedziałaś, że chcesz być z Joe'em do końca życia.

- To nie to samo.

- Dlaczego?

- Bo nie.

Matt wyszczerzył zęby w triumfalnym uśmiechu. W tym momencie zadzwonił minutnik. Laura chwyciła rękawicę.

- Naprawdę, Matt. To nie to samo. Joe nie był kutym na cztery nogi hollywoodzkim reżyserem.

- Teddi też nie jest kuta na cztery nogi. Nie wiem natomiast, co masz przeciwko reżyserom...

- Nie przeciwko reżyserom, tylko przeciwko Hollywood - powiedziała, wyjmując z piecyka ułożone na blasze ptysie.

- Pochodzicie z dwóch różnych światów. Ona żyje wśród blichtru, zepsucia...

Matt ryknął śmiechem.

- Oj, Lauro, za dużo naoglądałaś się filmów! Spędziłem w Hollywood tydzień. Nikt mi nie wciskał żadnych narkotyków i nie zapraszał na żadne orgie. Owszem, Teddi jest niezwykłą kobietą, ale nie jeździ drogim sportowym samochodem, a po domu nie chodzi ubrana w wyszywane cekinami dzinsy i futrzane boa. - Na moment zamilkł i przyjrzał się Laurze. - Uprzedziłaś się do niej. Dlaczego?

- Nie wydaje mi się odpowiednia dla ciebie.

- Skąd wiesz? Nawet jej nie znasz.

- Ale widzę, co z tobą zrobiła - odparła krótko Laura. -Widzę, w jakim jesteś stanie.

Matt zacisnął rękę na jej dłoni.

- Daj Teddi szansę, dobrze? - poprosił. - Przechodzi teraz dość trudny okres...

Laura spojrzała na Matta z politowaniem. Jest taki naiwny, tak niewiele jeszcze wie o kobietach...

- Dobrze, Matt. Postaram się nie być uprzedzona.

- Dziękuję.

- Gdzie Corey? - Uznała że lepiej zmienić temat. Zresztą chciała porozmawiać z Mattem o synu.

- Kiedy ostatni raz go widziałem, stał na werandzie i rozmawiał z Bryce'em Lowellem. - Zaczął przekładać ptysie z blachy na tacę. - Au! Ale gorące!

- Co za zdumiewająco trafna obserwacja - stwierdziła Laura i podała mu rękawicę.

- Dlaczego pytasz o Coreya? - spytał, ignorując ironię w jej głosie.

Laura westchnęła głęboko.

- Bo wolałabym, żeby nie słyszał, co ci chcę powiedzieć.

- Aha. - Zmarszczywszy czoło, Matt podszedł do drzwi, uchylił je i zerknął do salonu. - Stoi pod oknem. Mów.

- Chcę ci podziękować, że nie zabrałeś go wczoraj w pościg. Wiem, że odmowa nie przyszła ci łatwo.

- A skąd wiesz, że o to prosił?

- Wieczorem znów się pokłóciliśmy. Corey niechętnie się wygadał.

- Przykro mi, Lauro.

- To nie twoja wina, Matt.

Nie był tego taki pewien; zastanawiał się też, czy Laura do końca w to wierzy. Gdyby przez te wszystkie lata nie zastępował chłopcu ojca, może Corey wybrałby inny zawód.

- Przykro mi z powodu waszej kłótni. Ta sprawa kosztuje was oboje dużo nerwów.

- Co mam robić, Matt? Kocham syna bardziej niż kogokolwiek w świecie. Nie mogę stać beczynn timer i patrzeć, jak popelnia samobójstwo.

- To; że ktoś chce być meteorologiem, nie znaczy, że ma instynkty samobójcze.

- Co innego meteorolog, który podaje w telewizji prognozę pogody, a co innego taki, który jest specem od tornad. Corey ubzdurał sobie, że pogonie za burzą i obserwacja żywiołów to wspaniałe i fascynujące zajęcie.

- Niekoniecznie wspaniałe, ale na pewno fascynujące... To ważna praca, Lauro. Nie przyszło ci na myśl, że Corey chce ją wykonywać z powodu śmierci ojca? Że chce pomagać ludziom?

- Niech wstąpi do Czerwonego Krzyża! Matt odłożył rękawicę.

- Corey zostanie łowcą tornad, czy tego chcesz, czy nie - oznajmił, choć była to ostatnia rzecz, jaką Laura pragnęła usłyszeć. - To kwestia czasu. Na razie trzyma się od nich z daleka, żeby tobie nie sprawić przykrości.

- Bzdura - mruknęła. - Prosił cię o pracę przy analizie danych zamiast w pościgu, bo wie, że dopóki nie skończy studiów, potrzebuje mojej pomocy finansowej. Moje uczucia nic go nie obchodzą.

Matt nie zgadzał się z nią. Uważał, że Corey naprawdę liczy się z jej zdaniem, podejrzewał jednak, że to się zmieni, jeśli Laura nadal będzie tak uparcie obstawać przy swoim. W zeszłym roku, kiedy chłopak powiedział matce, że chce wstąpić do ekipy łowców, Laura błagała go, by tego nie robił. Gdy prośba nie poskutkowała, zastosowała groźbę: że wstrzyma pomoc finansową.

Stąd się wzięły niesnaski między matką a synem. Praca w ośrodku zajmowała chłopakowi sporo czasu, dawała natomiast niewiele pieniędzy - nie starczyłoby ich na opłacenie studiów i na samodzielne życie. Podjęcie drugiej pracy nie wchodziło w grę. Nie chciał zaś rezygnować ze studiów tylko po to, aby postawić na swoim.

Matt chętnie pomógłby chrześniakowi z chesnym, ale miał świadomość, że Laura nigdy by mu tego nie wybaczyła. Zamiast więc proponować chłopakowi pieniądze, starał się przemówić Laurze do rozsądku i od czasu do czasu łagodzić ich domowe konflikty. Słabo mu to jednak szło. Prędzej czy później sytuacja musiała ulec zmianie, tylko nie wiadomo było, czy Laura się podda, czy Corey - bez względu na koszty - wystąpi przeciw matce.

W tej walce Laura nie miała szans na zwycięstwo, ale nie sposób jej było tego wytłumaczyć. Podobne rozmowy odbywali już tyle razy, że Matt odetchnął z ulgą, kiedy w drzwiach kuchni pojawił się Nate z pytaniem, co się dzieje z ptysiami. Matt podał mu tacę. Nate wrzucił sobie jednego do ust i odszedł z miną szczęśliwca.

- Wracaj na przyjęcie, Matt - rzekła Laura, wręczając mu tacę z owiniętymi szynką i serem paluszkami.

- Jesteś pewna? Bo jeśli chcesz pogadać, możemy pójść na spacer i...

- Miałabym przegapić wejście słynnej pani reżyser? Nic z tego! Chcę zobaczyć, czy panna Hollywood zasługuje na uczucia mojego przyjaciela.

- Jak sobie życzysz. - Matt uśmiechnął się, po czym cmoknął Laurę w policzek. - Chodź do nas, jak tylko tu skończysz, dobrze?

Obiecała że wkrótce przyłączy się do reszty gości. Matt wyszedł z kuchni, postawił tacę na stole w jadalni, po czym ruszył przez zatłoczony salon. Miał nadzieję, że może Teddi już się pojawiła. Kiedy jej nigdzie nie dojrzał, wyszedł na werandę sprawdzić, czy nie rozmawia z kimś w ogrodzie. Tam też jej nie było.

Zastanawiał się, co, u diabła, mogło się jej przytrafić.

Teddi postanowiła podjąć próbę, której wynik miał zadecydować o tym, jak się potoczą jej dalsze losy. Zaparkowała samochód przed ośrodkiem, wyłączyła silnik i przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu, wpatrując się w budynek. Specjalnie wybrała tak późną porę, gdy większość pracowników była już w domu lub na przyjęciu u Matta.

Nie chciała mieć widzów. Chciała być sam na sam z żywiołem.

W nocy wzięła się w garść. Uspokoiła się, opatrzyła stare, nie zagojone rany, odsunęła na bok bolesne wspomnienia i skupiła się na sprawach bieżących, takich jak: co z filmem Matta?

Podpisała kontrakt. Zobowiązała się, że nakręci dokument. I wiedziała, że bez względu na okoliczności nie mogłaby żyć ze świadomością, iż zerwała umowę. Zawsze uważała się za osobę odważną, rzetelną, i wiedziała, że jeśli wróci do Kalifornii, wyjdzie na to, że jest niesolidnym tchórzem. Bardzo jej to przeszkadzało.

Z drugiej strony nie mogła igrać z cudzą pracą. Musiała być pewna, że znów nie struchleje i że przez nią projekt nie zakończy się fiaskiem. Dlatego przyjechała do ośrodka. Jeżeli próba wypadnie pomyślnie, może wszystko będzie dobrze.

Matt czekał na decyzję. Nie ponaglał. Teddi wiedziała, że ma dużo czasu na przemyślenie wszystkiego, ale wielodniowa kontemplacja nie była w jej stylu. Zawsze szybko podejmowała decyzje, śmiało stawiała czoło wyzwaniom. Tym razem jednak musiała być na sto procent pewna, czy zdoła zmierzyć się z kolejnym tornadem.



Taśma, którą Bryce wczoraj nakręcił, leżała w montażowni. Teddi chciała ją obejrzeć. Oczywiście oglądanie tornada na ekranie i w rzeczywistości to dwie różne sprawy, ale zakładała, że jeżeli wytrzyma, jeżeli uda jej się zachować spokój i chłodnym, krytycznym okiem ocenić materiał, wówczas poradzi sobie również z reżyserią.

Jeśli jednak znów wpadnie w panikę, wtedy będzie musiała wrócić do Kalifornii i pogodzić się z myślą, że nie jest tą osobą, za jaką się uważała.

Pod wieloma względami był to najważniejszy egzamin w jej życiu, ale nie mogła go zdać - lub oblać - siedząc na parkingu. Uzbroiwszy się w odwagę, otworzyła drzwi, wysiadła z forda i ruszyła w stronę budynku.

O wpół do dziesiątej Matt stracił nadzieję, że Teddi się pojawi. Godzinę temu dzwonił do motelu, ale nie odebrała telefonu. Krążył więc pomiędzy gośćmi, robiąc dobrą minę do złej gry. Z jakiegoś powodu Teddi postanowiła nie przyjść; podejrzewał, że w ten mało subtelny sposób chce mu zakomunikować swą decyzję. Chociaż nie wierzył, że mogłaby wyjechać z Oklahomy bez pożegnania, wiedział, że powinien być przygotowany na najgorsze.

- Co, panny Hollywood wciąż nie ma? - spytała Laura, kiedy wyszła z kuchni i zobaczyła Matta, który stał przy bufecie, starając się nie wpatrywać w drzwi.

- Przestań tak o niej mówić - powiedział rozdrażniony. - Nie masz prawa. Nawet jej nie znasz...

- Masz rację, przepraszam. W końcu nie tylko w Kalifornii żyją ludzie, którzy uważają że spóźnianie się jest w dobrym tonie.

- Nie sędzę, żeby Teddi do nich należała, Lauro. Musiało jej coś wypaść...

- Jesteś pewien, że nie próbuje cię ukarać za wczorajszą kłótnię?

- Wcale się nie kłóciliśmy! - Nagle zorientował się, że stojący nieopodal goście spoglądają na niego zdziwieni. - Przepraszam - dodał, zniżając głos.

Laura położyła rękę na jego ramieniu.

- Matt, co się dzieje? Nigdy nie widziałam cię w takim stanie. Co ta kobieta ci zrobiła?

- Nic mi nie zrobiła - odparł cicho, ale widząc zatroskanie na twarzy Laury, poczuł wyrzuty sumienia. Podejrzewając, że będzie żałował swej decyzji, przeszedł z Laurą w cichy kąt i z wahaniem w głosie wyznał: - Teddi zgodziła się nakręcić film, nie mówiąc mi o pewnym tragicznym wydarzeniu ze swojego życia. Otóż kiedy miała piętnaście lat, tornado zabiło całą jej rodzinę.

Laure zatkalo.

- Boże, Matt, to straszne.

- Wiem.

W innych okolicznościach Laura byłaby pełna współczucia dla osoby, która przeżyła taką tragedię, teraz jednak bardziej przejęła się stanem psychicznym swego przyjaciela.

- Dlaczego ci się nie przyznała?

- Bo wiedziała, że bym jej nie zatrudnił.

- Świadomie wprowadziła cię w błąd?

- Nie miała złych intencji. Sądziła że sobie poradzi. Jeśli kogoś oszukała, to raczej siebie.

- Może, ale za jej pomyłkę ty płacisz.
- Ona też płaci, Lauro. Wierz mi. Szok, jaki wczoraj przeżyła niemal ją wykończył.
- Czyli filmu nie nakręci? Matt zawahał się.
- Bardzo by chciała - odparł po chwili. - Tylko nie jest pewna, czy podoła.
- Och, Matt. Przykro mi, kochany. Wiem, ile ten film dla ciebie znaczy.
- Nie martwię się o film, Lauro. Martwię się o Teddi. Całe życie dzielnie stawia czoło wyzwaniom. Jeżeli ta sprawa okaże się ponad jej siły, może ją to kompletnie załamać.

Teddi O'Brien niewiele Laurę obchodziła, bardzo ją natomiast obchodził los jej przyjaciela. Wcześniej podejrzewała, że Teddi, zafascynowana niebezpieczną pracą Matta prowadzi z nim jakąś grę. Jednak to, czego się przed chwilą dowiedziała, nie pozostawiało jej żadnych wątpliwości: Matt będzie cierpiał.

- Nic dziwnego, że wtedy na pustyni tak gwałtownie zareagowała na twoją propozycję - rzekła przypominając sobie relację Matta. - Ale nie rozumiem, dlaczego cię okłamała.

- Chciała pokonać strach - wyjaśnił Matt. - Prawdę mówiąc, podziwiam ją za to.

Laura wywróciła oczami.

- Możesz podziwiać, ile chcesz, ale to nie zmienia faktu, że po prostu cię wykorzystała.

- Wcale nie. Ona...

Odwrócił wzrok i nagle to, co zamierzał powiedzieć, wyleciało mu z głowy. Teddi stała na werandzie, tuż przy rozsuwanych drzwiach prowadzących do salonu, pogrążona w rozmowie z Bryce'em i Griffem.

Spostrzegłszy ulgę malującą się na twarzy Matta, Laura skierowała oczy tam, gdzie on patrzył. Spodziewała się zobaczyć wyfiokowaną lalę w hollywoodzkim typie, ubraną w przylegającą do ciała, obszytą cekinami suknię, a zamiast tego zobaczyła sympatyczną, ciemnowłosą kobietę w dżinsach i białej bluzce.

- To ona?

Matt skinął głową, nie spuszczać z Teddi oczu.

- Przepraszam, Lauro. Później was sobie przedstawię.

Przeciskając się przez zatłoczony salon, ruszył w stronę werandy. Serce łomotało mu w piersi. Pragnął jak najszybciej dowiedzieć się, co postanowiła. Wychodząc na werandę, usłyszał, jak Teddi mówi do swoich współpracowników:

- Spotkamy się jutro po południu i wszystko wam wyjaśnię.

- Teddi...

Odwróciła się. Strach i niepewność opuściły go, ponieważ ujrzał w jej oczach jakiś błysk, którego wczoraj w nich nie było. Miał przed sobą dawną Teddi, odważną, ekscentryczną, szaloną Teddi O'Brien, która przed niczym się nie cofa.

- Och, Matt, strasznie przepraszam za spóźnienie. Straciłam poczucie czasu - rzekła po czym ponownie zwróciła się do Bryce'a i Griffa: - Umawiamy się na godzinę pierwszą, dobrze? A na razie zbierzcie ludzi w salonie. Mam dla wszystkich niespodziankę.

- Tak jest, szefowo.

Mężczyźni popatrzyli zaintrygowani na Teddi, później na Matta, po czym, taszcząc swój nieporęczny sprzęt, skierowali się do salonu. Teddi odprowadziła ich wzrokiem.

- Biedacy. Nie mają pojęcia, o co chodzi.

- Ja też nie, Teddi - powiedział Matt, prowadząc ją w nieco bardziej ustronne miejsce, żeby mogli w miarę spokojnie porozmawiać. - Jak się czujesz?

- Dobrze. Przepraszam, jeśli się o mnie martwiłeś, ale pojechałam do ośrodka i w sumie wszystko trwało dłużej, niż się spodziewałam.

- A co tam robiłaś?

Sięgnęła do torby i podała Mattowi kasetę. Odwrócił ją, szukając kartki z informacją na temat zawartości.

- Co to? - spytał.

- Kasetka - odparła niewinnym głosem.

Widząc wesołe iskierki w jej oczach, Matt uśmiechnął się. Tak, chyba rzeczywiście odzyskała formę.

- No proszę, nigdy bym się nie domyślił. A co jest na kasecie?

- Wstępna obróbka materiału, który Bryce wczoraj nakręcił.

Pojechałam do ośrodka, żeby przegrać materiał na normalną wideokasetę, którą mógłbyś puścić gościom na przyjęciu. Przy okazji był to sprawdzian dla mnie. Chciałam się przekonać, czy jestem w stanie patrzeć na tornado i nie wpadać w histerię. Zaczęłam oglądać... i nie mogłam przestać.

Matt słuchał zdumiony. Miał świadomość, ile taki sprawdzian kosztował ją nerwów.

- Jesteś niesamowita - szepnął. - Nie musiałaś przegrywać taśmy.

- Musiałam - oznajmiła z powagą. - Musiałam się dowiedzieć, czy umiem podejść do tematu w sposób beznamiętny, analityczny.

- I co? Umiesz?

- Nie. - Uśmiechnęła się zawstydzona. - Ale przynajmniej nie zerwałam się z krzykiem. To chyba dobry znak, zwłaszcza w porównaniu z moją wczorajszą histerią.

Tak, to zdecydowanie dawna Teddi. Zmierzyła się ze swoim największym wrogiem, zatem nic dziwnego, że rozpiera ją duma. Matt też był z niej dumny.

- To doskonały znak - powiedział, pieszcząc ją wzrokiem, bo nie miał odwagi popieścić inaczej. - Czy to znaczy, że zostaniesz i dokończysz film?

- Jeżeli mnie nadal chcesz.

Przyglądała mu się uważnie, czekając na odpowiedź, a on zastanawiał się, czy wie, jak dwuznacznie zabrzmiały jej słowa.

- Tak, nadal cię chcę.

- Świetnie - ucieszyła się. - Na pewno nie pożałujesz. Nie myślał o konsekwencjach. Ważne było, że Teddi zostaje. Tylko to się liczyło. Może na żal później przyjdzie czas.

- Wiem, że podołasz - rzekł. - Wierzę w ciebie.

- Mimo tego, co się wczoraj zdarzyło?

Skinął głową.

Teddi uśmiechnęła się smutno.

- Jesteś niepoprawnym optymistą, Matt.

- Nie, po prostu ja cię ko... - ugryzł się w język i szybko podmienił słowa: - konsekwentnie bardzo wysoko cenię.

Nie nabrał jej. Wiedziała, co zamierzał powiedzieć. Dostrzegła to w jego oczach, w twarzy.

Powinno to ją było przestraszyć, a jednak zareagowała spokojnie. Tak wielu nowych rzeczy musi się o sobie nauczyć, tak wiele pokonać lęków, tak wiele rozwiązać zagadek, z tak wieloma wspomnieniami się uporać. Miała wrażenie, że stoi w pustym, ciemnym tunelu i nie wie, która droga prowadzi do wyjścia. I nagle na końcu tego mrocznego tunelu zapaliło się światełko - tym światełkiem była miłość Matta. Nie mógł jej wskazać drogi, którą powinna kroczyć, musiała ją znaleźć samą ale przynajmniej teraz nie czuła się tak samotna; wiedziała, że u kresu wędrówki czeka ją cudowny dar.

- Dziękuję, Matt - szepnęła gładząc go dłonią po policzku. - Ja ciebie też konsekwentnie bardzo wysoko cenię.

Nie chciał zbyt dużo sobie obiecywać po jej czułym geście i dziwnym zamglonym spojrzeniu.

- Chyba powinniśmy omówić kilka spraw związanych z filmem.

- Później. - Cofnęła rękę i uśmiechnęła się. - Bądź co bądź, jesteśmy na przyjęciu. - Leciutko stuknęła palcem w kasetę, którą trzymał w dłoni. - Może byś to gościom puścił, co? Ręczę ci, że będą zachwyceni.

- Dobra. - Ruszył do salonu, wołając do wszystkich w ogrodzie, żeby weszli do środka.

- Co jest? - spytał Corey, który był z Olivią.  
- Niespodzianka, za którą możesz podziękować Teddi -odparł  
Matt, posyłając jej szeroki uśmiech. - No, kochani, chodźcie.  
Zaczynamy przedstawienie.

RS



Teddi wśliznęła się do środka, zanim jeszcze wszyscy się zebrali. Do jednego się uśmiechając, z drugim wymieniając krótkie pozdrowienia, przeszła na koniec salonu, do kącika jadalnego. Zgromadziwszy gości przy telewizorze, Matt wsunął kasetę do otworu magnetowidu, po czym podniósł głowę i zaczął szukać Teddi. Kiedy dojrzał ją na końcu salonu, w samych superlatywach przedstawił ją swym gościom, a następnie zaprosił, by usiadła na honorowym miejscu przed wielkim ekranem.

Nie było sensu przedzierać się przez tłum gości, poza tym nie chciała, żeby wszyscy się na nią gapili.

- Puszczaj taśmę - zawołała ze śmiechem. - Potem się pokażę ludziom.

- Jak sobie wasza wysokość życzy.

Podniósł pilota. Film trwał dziesięć minut i przez cały czas w salonie panowała cisza jak makiem zasiał.

Teddi nie widziała ekranu, lecz to jej nie przeszkadzało. Oglądała nakręcony przez Bryce'a materiał dziesiątki razy, kiedy robiła w ośrodku montaż. Z początku nie było jej łatwo. Już pierwsze chmury burzowe wywoływały w niej trwogę. Zaczął dławić ją strach, a kiedy pojawiło się tornado, myślała, że serce wyskoczy jej z klatki piersiowej. Patrzyła przerażoną jak wirujący słup pędzi za furgonetką, a niedawni łowcy stają się uciekającą w popłochu zwierzyną. Patrzyła - i ani razu nie zamknęła oczu.

Ze wspomnieniami, które ją zalewały, też nie walczyła. Kiedy nagranie się skończyło, przewinęła taśmę do początku i zmusiła się, by obejrzeć ją po raz drugi, trzeci, piąty, aż wreszcie znikł paraliżujący strach. Wówczas spokojnie zrobiła kopię i przystąpiła do montażu.

Kiedy dobiegła do końca, udało jej się odzyskać trochę utraconego szacunku do siebie. Wiedziała, że praca nad dokumentem będzie wymagała ogromnego wysiłku, ale bardzo chciała się jej podjąć.

Po kilkukrotnym obejrzeniu nagrania była przekonana, że sobie poradzi. Fakt, że Matt w nią wierzył, dodał jej skrzydeł.

To jednak wcale nie znaczyło, że ma ochotę jeszcze raz obejrzeć kasetę. Zamiast tego wolała przyjrzeć się obecnym na przyjęciu ludziom. W drzwiach kuchni spostrzegła ładną, blondynkę, która z uwagą wpatrywała się w ekran. Jej profil wydał się Teddi dziwnie znajomy. Nagle blondynka cofnęła się w głąb kuchni, zamykając za sobą drzwi. Dopiero wtedy Teddi zorientowała się kto to. Nie mogąc oprzeć się pokusie, aby spędzić parę minut sam na sam z Laurą Cochran, Teddi wzięła ze stołu kilka tac i ruszyła za nią do kuchni. Kiedy pchnęła drzwi, Laura wstawiała naczynia do zlewu.

- Cześć. Nie potrzebujesz pomocy?

Laura odwróciła się, jak zwykle zamierzając grzecznie odmówić, ale kiedy zobaczyła, kto proponuje jej pomoc, szybko zmieniła zdanie. Z nową przyjaciółką Matta chętnie zamieniłaby słowo.

- Nie chcesz obejrzeć filmu? - spytała.

Teddi podeszła do blatu i postawiła na nim tace.

- Absolutnie nie. Bez względu na to, co Matt twierdzi, wszystkie tornada są identyczne. - Wyciągnęła na powitanie rękę. - Jestem Teddi O'Brien.

- Wiem. - Chcąc nie chcąc, Laura uścisnęła jej dłoń. - A ja Laura Cochran.

- Domyśliłam się. - Teddi zaczęła szukać ściereczki do naczyń. - Twój syn jest bardzo do ciebie podobny.

Laura skinęła głową.

- Tak. Odziedziczył najlepsze cechy po obojgu rodzicach. Jeśli szukasz ściereczki, to sprawdź w dolnej szufladzie ostatniej szafki.

- Dzięki. Nawet we własnej kuchni jestem straszną niezdara, więc w cudzej tym bardziej czuję się gapowato.

- To zrozumiałe. Podejrzewam, że kręcąc filmy, nie masz czasu, żeby bawić się w domatorkę.

- A ja myślałam, że jestem genetycznie wybrakowana - zażartowała Teddi.

Miała wrażenie, że w głosie Laury pobrzmiewa nuta wrogości, ale po chwili uznała, że wyobraźnia płata jej figla. Przecież nie było powodu, by matka Coreya żywiła do niej niechęć.

- Matt odetchnął z ulgą, kiedy w końcu przyszłaś - powiedziała Laura, napuszczając wody do zlewu. Na żart Teddi nie zareagowała nawet półuśmiechem. - Niepokoił się o ciebie.

- Wpadłam do ośrodka, żeby zmontować taśmę, i zajęło mi to trochę więcej czasu, niż sądziłam. A koniecznie chciałam ją przywieźć Mattowi.

- Na przeprosiny? - Laura zerknęła spod oka na Teddi. -  
Wspomniał mi o tym, co się wczoraj stało.

Teddi nie zdziwiło, że Matt zwierzył się Laurze; nie miała mu tego za złe. Widocznie musiał z kimś pogadać i - co było całkiem logiczne - jego wybór padł na starą wypróbowaną przyjaciółkę. Zresztą podejrzewała, że wkrótce inni też się dowiedzą. Przed laty nauczyła się pewnej ważnej rzeczy, a mianowicie, że tajemnica powierzona choć jednej osobie niebawem przestaje być tajemnicą.

- O wszystkim ci powiedział? Również o moich rodzicach?

- Tak. - Laura skinęła głową. - To straszna tragedia. Teddi nie wyczuła w głosie kobiety nadmiaru współczucia.

- Owszem, straszna. Oni zginęli, a ja wyszłam z tego bez szwanku.

- Z czegoś takiego nie wychodzi się bez szwanku - oznajmiła z naciskiem Laura.

- Właśnie się wczoraj o tym przekonałam. Człowiek uczy się na własnych błędach.

Laura zakręciła kran i odwróciła się twarzą do Teddi.

- Szkoda, że na twoich błędach musi się uczyć również Matt.

Nie ukrywana wrogość w jej spojrzeniu i głosie zaskoczyły Teddi.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Myślę, że dobrze wiesz - rzekła chłodno Laura. - Okłamałaś Matta, żeby za pomocą jego filmu pokonać swój strach i dojść z sobą do ładu. Sądzisz, że postąpiłaś uczciwie?

Teddi nie przywykła do tego, aby komukolwiek tłumaczyć się ze swoich czynów, ale okoliczności były wyjątkowe. Sama sprowadziła na siebie kłopoty i musi ponieść konsekwencje.

- Nie, to nie było uczciwe - przyznała - ale dopiero teraz to widzę. Przyjmując zlecenie, myślałam tylko o tym, że nie mogę całe życie uciekać. Postanowiłam przewyciężyć lęk.

- Oczekujesz pochwały?

Pytanie było zadane tak sarkastycznym tonem, że Teddi ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć czegoś brzydkiego.

- Nie.

- Czy mogę być z tobą szczerą? Szczerą?

Teddi zeszywniała.

- Do tej pory nie byłaś? - zapytała.

- Byłam, ale jeszcze wiele spraw leży mi na sercu. Przez ciebie mój najlepszy przyjaciel przechodzi piekło. Za bardzo go kocham, żeby stać bezczynnie i przyglądać się, jak go niszczysz.

Teddi nie wierzyła własnym uszom. Co innego ponosić konsekwencje za popełniony błąd, a co innego przyjmować z pokorą czyjś wściekły atak.

- Nie rozumiem, dlaczego uważasz, że chcę Matta zniszczyć.

- Przecież mam oczy! Widzę, co się z nim dzieje, i wcale mi się to nie podoba. - Laura wzięła głęboki oddech, próbując zachować spokój.

- Słuchaj, Lauro, masz prawo być na mnie zła, że oszukałam Matta. Wiem, jak bardzo cię lubi i jak ogromnie ceni twoją przyjaźń. Ale jedyną osobą, której powinnam się wytłumaczyć ze swojego

postępowania, jest on, a nie ty. - Starannie złożyła ściereczkę i odłożyła ją na stół. - Najlepiej będzie, jak sobie pójdę. Uznajmy, że tej rozmowy nigdy nie było.

- Wczoraj udawałaś, że kręcisz ten film, dzisiaj chcesz udawać, że nie rozmawialiśmy. Dobra jesteś w udawaniu.

- Na miłość boską, dlaczego tak się zachowujesz? Nawet mnie nie znasz!

- Dlatego, że Matt jest mi bardzo droгим człowiekiem. Mnóstwo razem przeszliśmy i nie chcę, żeby go spotkała jakaś krzywda.

- A dlaczego zakładasz, że mu ją wyrządę?

- Bo już wyrządziłaś. Swoimi kłamstwami.

- Matt rozumie, dlaczego musiałam tu przyjechać.

- A czy rozumie, dlaczego go uwodzisz?

Teddi, skonsternowana, zmarszczyła czoło.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Oj, chyba doskonale wiesz. Pół biedy, gdyby wasza znajomość pozostała na płaszczyźnie zawodowej, ale nie! Musiałaś uwieść człowieka, którego nie kochasz i nigdy nie zdołasz pokochać...

- Chwileczkę - przerwała Teddi, nie zamierzając dłużej tolerować ataku Laury. - To, co łączy mnie i Matta, nie powinno cię obchodzić.

- Ależ przeciwnie, bo kiedy ty wyjedziesz, ja będę składać go z powrotem do kupy. Na miłość boską, on się w tobie zakochał!

- Co w tym złego?

- Jak możesz być taką egoistką? Zakochał się, bo uwierzył, że potrafisz go zrozumieć i zaakceptować. A to nieprawda! Jesteś

ostatnią osobą na świecie, która byłaby w stanie zaakceptować to, czym Matt się zajmuje! Nie umiałabyś żyć z człowiekiem, który poluje na tornada.

- To ty nie umiałaś! - odparowała Teddi. - Dlatego nie jesteście razem.

Laura na moment zamilkła; była zaskoczona, że Matt tak szczegółowo opowiedział Teddi o ich przyjaźni.

- A tobie się wydaje, że byś umiała? Myślisz, że kobieta, której rodzinę zabiło tornado, mogłaby pokochać faceta, którego pasją są tornada?

Zabrzmiało to niemal jak wyzwanie. Teddi uwielbiała wyzwania, ale nie była tak głupia ani samolubna, aby przyjąć to, które Laura rzuciła. Nie zamierzała igrać z uczuciem.

Jedno nie ulegało wątpliwości. W ciągu zaledwie kilku minut Laurze udało się zburzyć spokój, który Teddi z takim trudem odzyskała po wczorajszych przeżyciach.

- To się okaże - powiedziała cicho.

- To się okaże? A jeśli skrzywdzisz Martę?

- Na pewno nie skrzywdzę.

Nagle z salonu doleciały ich oklaski. Laura zerknęła na drzwi.

- Przedstawienie skończone. Powinnaś wyjść i się uklonić.

Publiczność jest zachwycona.

Teddi kręciło się w głowie od zarzutów i pretensji, które Laura kierowała pod jej adresem. Potrzebowała chwili spokoju, żeby zastanowić się nad wszystkim, przeanalizować swoje uczucia. W tym

momencie nie miała siły ani na rozmowę z Mattem, ani tym bardziej na pogawędki z jego gośćmi.

- Lauro, nie rozumiem, dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz, ale wierz mi, naprawdę nie zamierzam skrzywdzić Matta.

- W takim razie zostaw go, zanim całkiem oszaleje na twoim punkcie. Wróć do Kalifornii. Nie testuj na nim swojej odwagi.

- Teddi! To było wspaniałe! - Matt wpadł do kuchni, roześmiany od ucha do ucha i tryskający energią. - Wykonałaś kawał niesamowitej roboty.

Teddi z najwyższym trudem wzięła się w garść.

- To zasługa Bryce'a, Matt - rzekła. - On wszystko nakręcił. Ja pocięłam i pokleiłam gotowy materiał.

Matt pokręcił głową.

- Montaż stanowi nieodzowną... - Nagle dostrzegł w oczach Teddi niepewność, której parę minut temu nie było. - Co się stało?

- Nic. - Teddi powstrzymała odruch, aby zerknąć przez ramię na Laurę. - Przepraszam, muszę spytać Bryce'a i Griffa co dziś nagrali. Później pogadamy, dobrze?

Nie czekając na odpowiedź, zniknęła za drzwiami. Matt spojrzał na Laurę.

- O czym rozmawialiście?

- Bo ja wiem? - Laura wróciła do zlewu i zaczęła szorować patelnię. - Próbowaliśmy się lepiej poznać.

- Powiedziałaś coś, co ją zdenerwowało?

- Powiedziałam jej prawdę. Szkoda, że ona w rozmowie z tobą nie umiała się na nią zdobyć.



- Lauro. - Ujął przyjaciółkę za łokieć i zmusił, żeby podniosła wzrok. - Jaką prawdę?

- Że nie powinna twoim kosztem przewycięzać swoich lęków. Ona cię wykorzystuje, Matt. Ty tego nie widzisz, bo miłość cię zaślepia.

- Jak mogłaś, Lauro? Myślałem, że kto jak kto, ale właśnie ty będziesz umiała wczuć się w jej położenie.

- Do pewnego stopnia umiem - przyznała - ale to niczego nie zmienia. Teddi O'Brien to samolubna karierowiczka z Hollywood, która owinęła cię wokół palca. Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Matt; nie mam zamiaru patrzeć, jak ktoś cię bezczelnie wykorzystuje.

- Wykorzystuje? Skąd ci to przyszło do głowy?

- To chyba oczywiste. Okłamała cię, żebyś ją zatrudnił, a przyjazd do Oklahomy potrzebny jej jest wyłącznie do własnych egoistycznych celów. To nieuczciwe...

- Pozwól, że ja o tym będę decydował - powiedział gniewnie. - A ty nie czepiaj się Teddi. Ona ma dosyć zmartwień.

- Przepraszam. Po prostu nie chcę, żebyś cierpiał. To wariatka, a ty jesteś zaślepiiony i nie myślisz trzeźwo. Zastanów się: czy to normalne, żeby kobieta, której całą rodzinę zdmuchnęło tornado, interesowała się miłośnikiem tornad, który bezustannie na nie poluje?

Matt oniemiał ze zdumienia.

- Powiedziałaś jej to?

- Trochę innymi słowami.

- Psiakość! - Chwycił leżącą pod ręką ścierkę i cisnął nią w ścianę.

- Matt! Ona naprawdę się tobą posługuje. Nie widzisz tego? Twój film to dla niej sprawdzian odwagi. W pewnym sensie ty też stanowisz sprawdzian. Kobieta, którą przerażają tornada, uwodzi łowcę tornad... Czy to nie świadczy o jej odwadze?

Nie chciał tego słuchać ani o tym myśleć; jemu też taki pomysł przyszedł do głowy, ale wołał sam się ze wszystkim uporać, bez pomocy Laury.

- Nie wtrącaj się, Lauro. Teddi jest inna niż ty. Ma odwagę stawić czoło lękom.

- A ja nie? - spytała oburzona. - To chciałeś powiedzieć?

W innych okolicznościach starałby się ją uspokoić, pocieszyć, przekonać, że nic złego nie ma na myśli. Teraz jednak był zbyt wściekły, by zdobyć się na najmniejszy przyjazny gest.

- Chciałem powiedzieć: odczep się od Teddi. Pilnuj swojego nosa. Ona ma dość własnych problemów.

- Świetnie! Jak sobie życzysz! - zawołała ze złością. - Świetnie - powtórzyła ciszej, ze łzami w oczach, kiedy Matt obrócił się na pięcie i wyszedł z kuchni.

Kiedy Teddi wróciła do salonu, natychmiast znalazła się w centrum uwagi. Nate wziął ją pod swoje skrzydła i zaczął kolejno wszystkim przedstawiać. Wkrótce zorientowała się, że członkowie ekipy, z którymi była wczoraj na łowach, nie mają już do niej pretensji. Filmem, który zmontowała z materiału nakręconego przez Bryce'a, zrehabilitowała się w ich oczach. Nie pytali też o stan kamery, za co była im wdzięczna. Nie miałyby siły na dalsze

oskarżenia - nieprzyjemna scena w kuchni w zupełności jej wystarczyła.

Ponieważ wszyscy się do niej garnęli, łatwo jej było trzymać się z dala od Matta, który po wyjściu z kuchni nie spuszczał jej z oczu. Woląла nie wiedzieć, co mu Laura nagadała.

Przez następną godzinę dziękowała z uśmiechem za komplementy i próbowała rozgryźć tę dość niezwykłą grupę kobiet i mężczyzn. Odrzucając na bok własne uprzedzenia, była w stanie zrozumieć ich pasję. Wiedziała, jak to jest, kiedy człowiek igra z niebezpieczeństwem; bądź co bądź, ją samą również pociągało ryzyko.

Z drugiej strony nie potrafiła ze spokojem słuchać opowieści o wirujących trąbach powietrznych, a każdy z obecnych na przyjęciu łowców tornad koniecznie chciał się z nią podzielić swoimi wrażeniami.

Kiedy ostatni goście zbierali się do wyjścia, dostarczone przez Laurę stoliki i naczynia zostały już załadowane do furgonetki, ale samej Laury nigdzie nie było widać. Okazało się, że pojechała do domu samochodem syna, a Coreya prosiła, żeby wrócił furgonetką. Matt ucieszył się z tej wiadomości, ucieszył się też, kiedy Teddi odesłała do motelu Bryce'a i Griffa.

- Zostaniesz chwilę? - spytał. Stali na werandzie, patrząc na oddalające się światła.

- Tak. - Teddi uśmiechnęła się. - Musimy porozmawiać. Weszli z powrotem do środka; Teddi usiadła na kanapie,

Matt zaś wyjął z magnetowidu kasetę.

- Proszę. To twoje.

- Zatrzymaj. Pamiątki zbieram dopiero po zakończeniu pracy.

- To znaczy, że nie wyjeżdżasz? - Usiadł bokiem na kanapie, tak żeby być twarzą do Teddi.

- Nie. Uznałam, że jeśli zdołam zmontować tę kasetę, poradzę sobie również z resztą filmu. A ponieważ Bryce z Griffem będą kręcić, nic się nie stanie, jeśli podczas kolejnego pościgu znów mnie ogarnie paraliż.

- Zobaczysz, za każdym razem jest coraz łatwiej - powiedział z uśmiechem.

- Oby. - Odwzajemniła jego uśmiech. - Nie chciałabym przeżyć ponownie czegoś takiego jak wczoraj.

- Poradzisz sobie, Teddi - rzekł, starając się dodać jej otuchy.

- Wiem, Matt. Ale miło czasem poudawać cierpiętника  
Próbowała żartować z własnych słabości, ale Matt wiedział, że jej lęk nie jest udawany. Przeżyła wczoraj koszmarne chwile, dziś też - przez Laurę.

- Przepraszam za to, co ci Laura powiedziała...

Nie miała ochoty teraz się nad tym zastanawiać.

- To nie twoja wina, Matt.

- Moja. Nie powinienem był jej nic mówić.

Teddi wzruszyła ramionami.

- Myślałeś, że zrozumie. Ja też bym tak sądziła. Oboje się myliliśmy.

- Jesteś zdenerwowana?

- Minie mi.

- Byłem pewien, że się zaprzyjaźnicie. Nie przyszło mi do głowy, że instynkt obronny Laury weźmie górę nad jej sercem i rozsądkiem.

Teddi wyczuła w jego głosie napięcie.

- Pokłóciliście się po moim wyjściu z kuchni? - spytała.

- Tak. Chyba jeszcze nigdy nie byłem na nią tak zły. Ścisnęła go za rękę.

- Przykro mi, Matt. Nie chciałam psuć stosunków między wami. Proszę, pogódźcie się. Laurze chodzi o to, żebyś nie cierpiał. - Nagle wstała i, wściekła na siebie, podeszła do okna. - Boże, ale narobiłam bigosu.

- Wszystko będzie dobrze.

Stanął za Teddi i objął ją. W jego ramionach poczuła się bezpieczna.

- Jak tak będziesz mówił, to może w końcu ci uwierzę.

- Uwierz - szepnął.

Odwróciła się do niego przodem i pogładziła jego twarz.

- Matt, wszystko bym dała żeby zacząć naszą znajomość od początku. Nie powinnam była cię prosić, żebyś mnie zatrudnił do filmu.

- Chciałaś przezwyciężyć strach. Rozumiem to.

- Ale nie powinnam była posługiwać się twoim filmem. Mogłam tu przyjechać normalnie, jak część twoich dzisiejszych gości, i na własną rękę, nikomu nie szkodząc, spróbować dojść z sobą do ładu.

- Może, ale stało się inaczej. I nie ma o czym mówić. Oparła głowę na jego ramieniu.

- Dziękuję, Matt. Nawet nie wiesz, co to dla mnie znaczy.  
Rozkoszował się bliskością Teddi, dotykiem jej ciała, zapachem jej miękkich, jedwabistych włosów.

- Nie chcę wracać na noc do motelu - powiedziała cicho, patrząc mu w oczy.

- To nie wracaj. - Pocałował ją gorąco. - Tam w ogrodzie czeka na nas stół...

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się szelmowsko.

- Pomyślałam sobie, że może tym razem spróbowalibyśmy pod prysznicem albo na tylnym siedzeniu samochodu, co?

W końcu zdecydowali się na łóżko.

Całe niedzielne przedpołudnie krząkali się po domu jak dwoje normalnych ludzi, którzy sprzątają po sobotnim przyjęciu. To poczucie normalności było im obojgu potrzebne. Teddi, zajęta porządkami, nie myślała o tym, kiedy znów ruszą w pościg za tornadem, Matt zaś nie myślał o oskarżeniach, jakie Laura rzuciła pod jej adresem.

Ale po obiedzie, kiedy Teddi pojechała na spotkanie z Bryce'em i Griffem, w domu zrobiło się przeraźliwie pusto. A w tej pustce i ciszy nie sposób było uciec przed własnymi myślami. Za każdym razem, gdy Matt wchodził do kuchni, w głowie dźwięczały mu słowa Laury; nękały go też różne wątpliwości, nad którymi wcześniej starał się nie zastanawiać.

Czy jakikolwiek związek pomiędzy nim a Teddi jest w ogóle możliwy? To pytanie od dwóch dni nie dawało mu spokoju.

Teddi O'Brien, która cudem przeżyła tornado w dzieciństwie, postanowiła jeszcze raz przeżyć tamten dawny koszmar. Po jakie лихо miałyby komplikować sobie życie i wiązać się z człowiekiem, który stanowił uosobienie jej lęków?

Co za ironia! Matt całymi latami nie pozwalał sobie na żadne emocjonalne zaangażowanie, ponieważ uważał, że nie ma prawa narażać kobiety na ciągły stres. Nagle w jego życiu pojawiła się Teddi O'Brien - kobieta z pozoru idealna. Zakochał się, a teraz...

No właśnie, co teraz? Laura nie umiała zaakceptować jego pracy i związanych z nią niebezpieczeństw. Czy mógł oczekiwać, że zaakceptuje ją Teddi, która w wyniku trąby powietrznej straciła siostrę i rodziców? Za każdym razem, gdy on będzie ruszał w pogoń za burzą, jej przed oczami będzie stawał koszmar z dzieciństwa.

Ale gdyby wołała nie mieć z nim nic wspólnego, to dlaczego pozwala się całować? Dlaczego została na noc? Kochali się długo, a potem tulił ją w ramionach, dopóki nie zasnęła. Wyglądała na szczęśliwą, zadowoloną.

Czy to nie dziwne? Bo w końcu cóż on, Matt, może jej ofiarować? Otuchę? Zapomnienie? Poprzedniej nocy, kiedy roztrzęsiona i ogarnięta wstydem wyrzucała go ze swego pokoju, nie chciała pomocy. Skoro wtedy go nie potrzebowała, dlaczego tej nocy pragnęła z nim zostać? Dlaczego?

Pytania krążyły mu po głowie, a odpowiedź miał tylko jedną - taką, w którą nie chciał wierzyć. Mianowicie, że dla Teddi wszystko w życiu jest sprawdzianem, że nie potrafi funkcjonować bez barier, które stara się pokonać, bez wyzwań, którym usiłuje sprostać. Czyżby Laura miała rację, że on, Matt, też stanowi dla Teddi wyzwanie?

Czuł, że oszaleje, jeśli dalej będzie się tym zadręczał. Wiedział, że musi zwierzyć się Teddi ze swych obaw, i z jej ust usłyszeć potwierdzenie lub zaprzeczenie.

Po południu nieoczekiwanie pojawił się Corey. Matt ucieszył się na widok chrześniaka; miał nadzieję, że jego wizyta będzie miłą rozrywką i pomoże mu wyzwolić się od natrętnych myśli.



- Wejdz, Corey. Co cię sprowadza? Wydawało mi się, że macie z Olivią plany na niedzielę...

- Musimy pogadać, Matt.

Patrząc na jego poważną minę, Matt zrozumiał, że się pomylił. Wizyta Coreya nie będzie miłą rozrywką.

- W porządku. O co chodzi?

- Byłem dziś w szpitalu w Norman. Olivia chciała zobaczyć dzieciaka Toma Patten.

- Dam ci dobrą radę. - Matt uśmiechnął się wesoło. - Kiedy kobieta, z którą się spotykasz, zaczyna interesować się niemowlakami, lepiej miej się na baczności.

- Nie widzieliśmy dziecka - oznajmił chłopak. - Miało trudności z oddychaniem, więc wczoraj wieczorem przewieziono je do szpitala w Oklahoma City.

- To straszne. - Matt poczuł się jak drań. Wczoraj na przyjęciu słyszał, że w piątek Mona urodziła synka i że miała trudny, trwający niemal dwadzieścia pięć godzin poród, nie zdawał sobie jednak sprawy, że z maleństwem są jakieś problemy. Tom Patten wcześniej pracował w centrum meteorologicznym w Kolorado; do Turner w Oklahomie przeniósł się zaledwie dwa lata temu. Był świetnym naukowcem, ale skrytym człowiekiem. Dlatego Matta ogarnęły wyrzuty sumienia; powinien był chociaż zadzwonić i spytać o zdrowie żony oraz dziecka. - Co mówią lekarze?

- Sądzą, że dziecko będzie żyło, ale podobno przez kilka miesięcy musi znajdować się pod specjalną opieką. Nie znam wszystkich szczegółów...

- Zadzwoń wieczorem do Toma i dowiem się, czy nie można mu jakoś pomóc.

- Można. Kiedy rozmawiałem z nim w szpitalu, powiedział, że jutro chce wpaść do ośrodka i poprosić o urlop. - Na chwilę Corey zamilkł, po czym ciągnął: - Zamierza też zrezygnować z pracy w ekipie, przynajmniej w tym sezonie. Uważa, że ze względu na Monę i dziecko nie może sobie pozwolić na tak częste wyjazdy w teren.

Matt poczuł bolesny ucisk w brzuchu; wiedział, co za moment usłyszy.

- Oczywiście pójdę mu na rękę - rzekł - ale będzie nam brakowało jednego człowieka.

- No właśnie. - Corey skinął głową. - Chciałbym Toma zastąpić. Matt westchnął głęboko i usiadł w fotelu.

- Rozmawiałeś z Laurą? - spytał.

- Jeszcze nie - odparł Corey, siadając naprzeciwko.

- A nie sądzisz, że powinieneś?

- Nie. To jej nie dotyczy. Zmusiła mnie, żebym pracował przy analizie danych, podczas gdy mnie najbardziej interesuje praca w terenie. Nie pozwolę, żeby znów się wtrącała do moich spraw. To moje życie i moja praca. Mama nie ma prawa dyktować mi, co powinienem robić.

- Z jednej strony nie ma, z drugiej strony... dopóki pomaga ci finansowo i opłaca studia...

- Zanim tu przyszedłem, rozmawiałem z Gerrym Hamptonem. Gerry wynajmuje mieszkanie z dwoma innymi chłopakami. Mówi, że byłoby dla mnie miejsce. Gdybym płacił tylko jedną czwartą czynszu,

dałbym radę żyć na własnym garnuszku. Przynajmniej do końca roku akademickiego.

- A co z przyszłym rokiem?

- Całe lato będę pracował w ośrodku, postaram się też znaleźć jakieś dodatkowe zajęcie. Zacisnę pasa, trochę zaoszczędzę, potem wystąpię o stypendium, może o pożyczkę...

- Nie będzie ci łatwo.

- Wiem, nie jestem głupi. Ale od dawna o tym myślałem. Gdyby nie kłopoty Toma, to zgłosiłbym się do ekipy za rok. Wtedy nie miałbyś nic do gadania, a mnie czekałyby podobne problemy finansowe, co w tym roku.

Corey najwyraźniej wszystko dokładnie przemyślał.

- Na miejsce Toma faktycznie musimy kogoś przyjąć - przyznał Matt. - W pięć osób sobie nie poradzimy.

- I nie macie forsy, żeby zatrudnić kolejnego studenta - przypomniał mu Corey. - A ja już jestem zatrudniony, więc możecie mnie przerzucić do innej komórki.

Miał oczywiście rację, ale ze względu na Laurę Matt czuł, że powinien zaprotestować.

- Płacimy ci za analizę danych...

- Mogę pracować po godzinach, analiza nie ucierpi. - Chłopak na wszystko miał odpowiedź.

Mattowi zabrakło argumentów. Czuł, że Laura nigdy mu nie wybaczy, jeśli przyjmie jej syna do zespołu, ale przecież Corey był dorosły i wolno mu podejmować decyzje. Od jakiegoś czasu wiadomo było, że konfrontacja między matką a synem jest nieunikniona. Matt

jedynie żałował, że musi do niej dojść akurat teraz, kiedy jego stosunki z Laurą, są napięte.

- No dobrze - zgodził się wreszcie, świadom, że nie ma innego wyboru. - Jeśli Tom zrezygnuje, przyjmę cię na jego miejsce.

- Dzięki, Matt. - Chłopak zapewne myślał o czekającej go rozmowie z matką, bo na jego twarzy nie odmalowała się ani ulga, ani radość.

- Nie dziękuj. Pogadaj z Laurą. To będzie trudniejsze, niż myślisz.

- Wiem - oznajmił ponuro Corey. - Nie chcę sprawić mamie bólu, Matt. Po prostu chcę żyć po swojemu.

- Nie złość się na nią, kiedy wpadnie w szal. Pozwól jej oswoić się z nową sytuacją. - Matt uśmiechnął się, próbując dodać chrześniakowi otuchy. - Jeśli zobaczy, że w tym sezonie nie stała ci się krzywda, może w przyszłym nie będzie tak bardzo protestować.

- Może.

Kiedy Corey wyszedł kilka minut później, wyglądał jak skazaniec w drodze na egzekucję. Obiecał wkrótce zadzwonić i zdać Mattowi relację z tego, co słyhać na domowym froncie. Matt uzbroił się w cierpliwość. Podejrzewał, że odgłosy wojny nieść się będą po całej okolicy.

Kiedy o piątej rozległ się dzwonek u drzwi, Matt poderwał się, oczekując najgorszego. Na widok Teddi poczuł ulgę.

- Cześć! Wróciłam - oznajmiła wesoło, po czym weszła do środka z torbą pełną sprawunków. - Przyniosłam parę rzeczy na kolację. Teraz moja kolej zabawić się w kucharza.

Ruszył za nią do kuchni, z przyjemnością słuchając jej beztroskiego świergotu.

- Czyli wielki rewanż w mistrzowskim wykonaniu Teddi O'Brien?

- Tak jest. - Postawiła torby na kuchennym blacie i zaczęte w nich grzebać. - Co wolisz? Omlet? Sałatkę?

Matt zajrzał do obu toreb i zobaczył, że Teddi wcale nie żartuje.

- A może jakieś zraziki...

- Pomarzyć każdemu wolno. Parsknął śmiechem.

- Zakładam, że spotkanie z Bryce'em i Griffem poszło po twojej myśli?

- Byli wspaniali - powiedziała, wkładając główkę sałaty do lodówki. - Wyjaśniłam im całą sytuację i podsunęłam rozwiązanie, na które oni przystali bez słowa. O nic nie pytali, nie czynili mi wyrzutów. Po prostu zachowali się jak przyjaciele i profesjonaliści.

- Bo są twoimi przyjaciółmi. Czego innego się spodziewałaś? Teddi na moment zamilkła.

- Słuchaj, Matt, odkąd zaczęłam studiować reżyserię, nikomu nie opowiadałam o mojej rodzinie. Wmówiłam sobie, że nie chcę, żeby ktokolwiek się nade mną użalał, ale tak naprawdę chodziło o coś innego. Rodzice zawsze byli wobec mnie krytyczni; bardzo mnie to bolało. - Wyjęła z torby słoik majonezu. - Prawdę mówiąc, nie wiem, czego się spodziewałam po Brysie i Griffie. Chyba złości, pretensji...

- A oni okazali się wspaniałomyślni?

- No właśnie.

- Lubią cię. I znają. Wiedzą, że jak coś postanowisz, to na pewno osiągniesz cel. To ważne.

- Masz rację. A tobie jak minął dzień? Matt wziął głęboki oddech.

- Przyjąłem Coreya na miejsce Toma Pattena - rzekł.

Teddi przestała rozglądać się za miejscem, gdzie mogłaby wstawić majonez, i spojrzała Mattowi w twarz.

- Co zrobiłeś?

Opowiedział jej o wizycie chłopaka. Kiedy skończył, Teddi zagwizdała cicho pod nosem.

- O kurcze! Będzie draka.

- Wiem. - Matt oparł się o blat. - Laura nigdy mi nie uwierzy, że po prostu nie miałem wyjścia.

- Zrozumie. Może nie od razu, ale...

- Wątpię. Joe zginął piętnaście lat temu. Laura pogodziła się z tym, zaczęła nawet pracować w Miejskim Komitecie Przeciwdziałania Klęskom, ale za śmierć męża nadal wini jego zawód. To się chyba nigdy nie zmieni.

- Może powinieneś jej przypomnieć, że tornado zabija nie tylko meteorologów, ale również niewinnych starców i dzieci - powiedziała cicho.

Matt dojrzał przejmujący smutek w jej oczach. Chciał ją objąć, pocieszyć, ale Teddi przyjmowała pocieszenie tylko na własnych warunkach i tylko wtedy, gdy sama tego chciała. A teraz najwyraźniej nie chciała, bo wróciła do rozpakowywania torby z zakupami. Matt cofnął się, urażony jej zachowaniem.

- Laura jeszcze się do ciebie nie odezwała?
- Nie, ale prędzej czy później na pewno się odezwie.

Powiedziałem Coreyowi, że sam musi o wszystkim powiadomić matkę, ale całe popołudnie korciło mnie, żeby do niej zadzwonić. Może tak byłoby lepiej...

- Nie, Matt. To sprawa między Laurą a Coreym.
- Ale Corey jest dla mnie jak syn, a Laura to mój najlepszy

kumpel. Nie chcę, żeby którekolwiek z nich cierpiało.

- Wiem. - Popatrzyła na niego z troską..
- No trudno, na razie nic nie mogą zrobić. Może byśmy więc...

Nagle zadźwięczał dzwonek u drzwi i oboje zamarli.

- Czyżby nadszedł moment prawdy? - szepnęła zaniepokojona Teddi.

Matt skinął głową.

- Nie mam co do tego wątpliwości. - Ruszył w stronę salonu. -  
Lepiej zostań w kuchni i trzymaj się z dala od linii ognia.

- Chętnie. Matt... Spojrzał na nią pytająco.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała. - Bez względu na to, jak bardzo Laura jest zła, pamiętaj, że cię kocha.

Dzwonek ponownie zadźwięczał. Nie ociągając się dłużej, Matt skierował się do drzwi. Oczekiwał najgorszego - i nie pomylił się. Laura miała twarz czerwoną i spuchniętą od płaczu, ale łzy już nie płynęły jej z oczu. Biła z nich wściekłość, dzika, bezrozumna wściekłość.

- Wejdz, Lauro.

Odsunął się na bok, żeby mogła swobodnie przejść. Zdziwiony był jej niesamowitym opanowaniem. Laura położyła torebkę na fotelu, po czym odwróciła się. Spodziewał się krzyku, wrzasku, ale to, co zobaczył, przeraziło go. Po prostu nie mieściło mu się w głowie, że Laura jest zdolna do takiej nienawiści.

- Dlaczego? - spytała cicho.

- Bo prosił o tę pracę. I zasłużył na nią. Spełnia wszystkie wymogi akademickie, oceny ma...

- Cholera jasna! Nie pieprz mi o żadnych wymogach! Co mnie obchodzą wymogi?! Obchodzi mnie to, że mój syn właśnie wyprowadził się z domu.

- Przykro mi, Lauro. Corey jest dorosły. Ma prawo decydować o sobie.

- Mylisz się, to jeszcze dziecko! W dodatku sądzi, że jest nieśmiertelny. Nie rozumie, że ta praca go zabije!

- Nie zabije!

Serce matki mówiło co innego.

- Dlaczego mi to zrobiłeś, Matt? Żeby mnie ukarać? Matt, kompletnie skonfundowany, zmarszczył czoło.

- Ukarać? - spytał. - Za co?

- Za to wszystko, co nagadałam tej reżyserce. Zaskoczyła go. Co jak co, ale takich zarzutów się nie spodziewał.

- Ależ nie, Lauro. To nie ma z Teddi nic wspólnego.

- Akurat! Tak ci pomieszała w głowie, że nie potrafisz jasno myśleć! - Przyłożyła rękę do czoła jakby tym gestem chciała



powstrzymać gniew. Nie poskutkowało. - Nie mogę uwierzyć, że z jej powodu jesteś gotów przekreślić naszą przyjaźń!

Usiłował zachować spokój. Wiedział, że Laura nie myśli tego, co mówi. Po prostu miota się, zaślepiona wściekłością.

- To nie ma nic wspólnego z Teddi - powtórzył stanowczo. - Gdyby Corey zgłosił się do zespołu wtedy co Gerry i reszta, prowadzilibyśmy identyczną rozmowę w grudniu. A wtedy jeszcze nie znałem Teddi.

- Więc dlaczego mi to zrobiłeś?

W jej oczach znowu wezbrały łzy. Widząc, jak bardzo Laura cierpi, czuł, że serce zaczyna mu krwawić. Ale gdy wykonał krok w jej stronę, pragnąc ją przytulić, ona cofnęła się, jakby zaraził dżumą.

- Zrobiłem to dla Coreya.

Roześmiała się szyderczo.

- Chcesz go zabić dla jego własnego dobra?

- Nikt nikogo nie chce zabić! Corey nie umrze z powodu tej pracy! - Cierpliwość Matta powoli się wyczerpywała. - Zrozum, on pragnie się usamodzielnąć, spełnić swoje marzenia. A marzy o tym, żeby iść w ślady ojca.

- Nie ojca, Matt, tylko twoje! I to go zabije!

- Popatrz na mnie, Lauro. Przecież ja żyję. Poluję na tornada, odkąd skończyłem szkołę średnią, i jeszcze nie zginąłem. Odkąd powstał zespół, ani jeden pracownik ośrodka nie zginął ani nie został ranny w wyniku tornada.

- Czyżby? A Nate Dansing?

Przez chwilę Matt milczał, starając się sobie przypomnieć, o co Laurze chodzi. Nagle go olśniło.

- Chyba żartujesz! Przecież to jakiś pijany kierowca stuknął w furgonetkę, kiedy wracaliśmy z łowów, a Nate akurat jechał bez pasów. Nabił sobie guza na czole i miał pęknięte żebro. Na miłość boską, to się mogło zdarzyć wszędzie i każdemu!

- Ale przydarzyło się Nate'owi!

- Chryste, Lauro! To był zwykły wypadek drogowy! - Przetarł dłonią twarz. - Jeśli jesteś taką paranoiczką, każ zasuszyć Coreya, a potem postaw go sobie na półce!

- To niesprawiedliwe! - oburzyła się. - Nie jestem nadopiekuńczą matką!

- Jesteś i zawsze byłaś, ale dotychczas udawało ci się w miarę skutecznie hamować swoje dyktatorskie zapędy. Lauro, opanuj się! Pozwól Coreyowi żyć, jak chce, bo inaczej odwróci się od ciebie.

- A ty mu przykłaśniesz?

Matt czuł się tak, jakby walił głową w mur. Do Laury nic nie docierało.

- Dlaczego masz do mnie pretensje? Przecież Corey sam podjął decyzję. Gdybym go nie przyjął, zgłosiłby się do jednego z zespołów w Norman. Skoro marzy o pracy przy tornadach, nie możesz mu tego zabronić.

- Mogę starać się go powstrzymać.

- Tak. Ale jeśli ci się uda, on ci nigdy nie wybaczy.

- Wszystko jedno, przynajmniej będzie żył.

Wciąż wracali do punktu wyjścia. W żaden sposób nie potrafił przemówić Laurze do rozsądku.

- Przykro mi, Lauro...

- Więc powiedz Coreyowi, że zmieniłeś zdanie.

- Nie mogę.

- W takim razie nie mamy o czym dyskutować. - Chwyciła torebkę i ruszyła do drzwi. Zanim nacisnęła klamkę, odwróciła się i rzekła lodowatym tonem: - Kiedy Corey zginie, mam nadzieję, że Bóg ci wybaczy. Bo ja na pewno nie.

Wyszła, zatrzasnąwszy drzwi. Matt stał jak skamieniały, nie wiedząc, co począć. Czuł się tak, jakby stracił najlepszego przyjaciela. I faktycznie stracił.

- Matt?

Drgnął. Obok stała Teddi. Przez chwilę patrzył na nią całkiem zdezorientowany.

- A, to ty... Słyszałaś? - spytał.

- Trudno było nie słyszeć - odparła, ściskając jego dłoń. -

Przepraszam...

- Za co? To nie twoja wina.

- Laura sądzi co innego.

- Przyjąłem Coreya do zespołu, nie żeby ukarać Laurę za jej wczorajsze zachowanie. Owszem, byłem na nią wściekły, ale nigdy bym się nie mścił. - Popatrzył Teddi w oczy. - Musisz mi uwierzyć, to nie ma z tobą nic wspólnego.

- Wiem, że byś się nie mścił, Matt. Ale musisz przyznać, że Laura nie byłaby dziś tak rozdrażniona i uparta, gdybyście się wczoraj nie posprzeczali.

- To nie ma nic do rzeczy. Nie miała prawa czynić ci zarzutów.

- Stwierdzała oczywisty fakt. Z jej punktu widzenia po prostu do siebie nie pasujemy. I chyba rzeczywiście nie jesteśmy zbyt dobraną parą.

- Tak uważasz? - Matt spał się, bo Teddi poruszyła czułą strunę.

- Żałujesz, że...

- Ależ nie, głuptasie. Staram się jedynie spojrzeć na wszystko oczami Laury. Prawdę mówiąc, nasz związek...

- No właśnie. Ja zawsze mówiłem prawdę - przerwał jej ostrym tonem.

Widziała, że jest zdenerwowany. Nieprzyjemna rozmowa z Laurą wytrąciła go z równowagi. Zresztą nawet gdyby nie wytrąciła to i tak miał prawo być zły na nią, Teddi, za to, że okłamała go, aby dostać pracę przy filmie.

- Wiem, Matt. Z kolei moje kłamstwo przysporzyło nam masę kłopotów. Ale musiałam tu przyjechać. Musiałam stawić czoło swoim lękom. Żałuję tylko jednej rzeczy: że postąpiłam nieuczciwie wobec ciebie. W tej sprawie Laura ma rację.

- W jakiej jeszcze? - spytał. Kłótnia z Laurą otworzyła mu oczy na różne rzeczy, o których wolał wcześniej nie myśleć, na różne wątpliwości, którymi zadreślał się w skrytości ducha.

Teddi spojrzała na niego niepewnie.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, Matt.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego się mną zainteresowałaś.  
- Dlatego, że jesteś wspaniałym facetem - odparła zdumiona.  
- Jestem łowcą tornad. Przed chwilą sama powiedziałaś, że  
tworzymy niezbyt dobraną parę.

- Tak, ale...

- Nie sądzisz, że należało mnie uprzedzić? Opowiedzieć o swojej przeszłości? Otworzyć mi oczy na rzeczywistość? Bo ja myślałem coś zupełnie innego: że jesteśmy dla siebie stworzeni. A tu nagle się okazuje, że Laura miała rację.

- Przestań, Matt. Nie „uprzedziłam” cię, bo nie wydawało mi się to konieczne. A fakt, że Laura nie potrafiła zaakceptować twojej pracy, nie znaczy, że ja bym nie potrafiła.

Popatrzył na nią z wyrzutem.

- Jak możesz tak mówić? Przecież osoba, która przeżyła to, co ty, nigdy nie zwiąże się z kimś takim jak ja.

Wreszcie to z siebie wydusił. Powiedział na głos to, o czym myślał pół dnia.

- Na miłość boską, Matt! Za kogo mnie masz? Twoja praca nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

- Czyżby? Ciebie tornado pozbawiło rodziny, z kolei ja poluję na tornada. Pasujemy do siebie jak ogień i woda.

- To całkiem dobra kombinacja - sprzeciwiła się. - Każdy strażak ci to powie.

Na twarzy Matta odmalowało się zdumienie.

- Uczciwie wierzysz, że mamy szansę?

Z całego serca pragnęła dać mu odpowiedź twierdzącą, ale nie była w stanie. Straciła zbyt wiele wiary w siebie, aby móc o czymkolwiek wyrokować. Podejrzewała, że Laura raczej myli się w swojej ocenie, ale wolała nie ryzykować - bała się, że skrzywdzi Matta, jeśli złoży mu obietnicę, której potem nie dotrzyma.

- Nie wiem, Matt - odparła najszczerzej jak umiała. -

Przedwczorajsza akcja udowodniła mi, że żyłam w świecie iluzji; zniszczyła mój wizerunek samej siebie. Chwilę potrwa, zanim odzyskam równowagę. Przyszłości nie znam, myślę jednak, że póki tu jesteśmy, możemy miło spędzić czas.

- Miło spędzić czas? To za mało! Chcę od ciebie czegoś więcej!

- Niczego więcej nie mogę obiecać!

- Więc co mam robić? Chodzić za tobą jak zakochany kundel? Wzdychać z miłości? Merdać ogonem, ilekroć mnie pogłaszczesz? Czekać, aż podejmiesz decyzję, czy chcesz się angażować w trwały związek? Jak to sobie wyobrażasz, co?

Łzy cisnęły się jej do oczu, ale zdołała powstrzymać się od płaczu.

- Miałam nadzieję, że będziemy przyjaciółmi i kochankami - powiedziała cicho. - Że pomożesz mi uporać się z moimi problemami...

- Nie żartuj, Teddi - przerwał jej. - Nie potrzebujesz mojej pomocy. Tamtego wieczoru w motelu dałaś mi to wyraźnie do zrozumienia. Jeśli kiedykolwiek potrzebowałaś wsparcia, to właśnie wtedy. Trochę za późno, żebyś teraz nagle zaczęła grać rolę słabej kobitki.

Chyba żadne inne słowa aż tak by jej nie rozgniewały. Nie miała zwyczaju prosić ludzi o pomoc, więc odmowa, w dodatku wyrażona w tej formie, bardzo ją zabolęła.

- Nie jestem słabą kobitką, Matt. Zawsze doskonale sobie w życiu radziłam. Wydawało mi się, że podoba ci się moja samodzielność, ale widocznie się myliłam. Od tak dawna pozwalasz Laurze wspierać się na swoim męskim ramieniu, że najzwyczajniej w świecie przywykłeś do kobiet, które są od ciebie zależne.

- Nie chcę, żebyś była ode mnie zależna, Teddi, ale nie chcę też, żebyś się mną wysługiwała - powiedział szorstko. - Byłem dla ciebie kolejnym sprawdzianem, prawda? Kolejnym wyzwaniem, któremu trzeba sprostać. Romans z łowcą tornad dostarczał ci dreszczyku emocji. Stanowił potwierdzenie twojej odwagi.

- To nieprawda!

Ogarnięty wściekłością, nie był w stanie logicznie myśleć.

- Prawda, prawda. Wszystko, co w życiu robisz, traktujesz jak sprawdzian odwagi. Związałaś się ze mną z tego samego powodu, z jakiego w dzieciństwie skoczyłaś z prześcieradłem z dachu. Chciałaś się przekonać, czy wyjdiesz z tej przygody w jednym kawałku. I wyszłaś. - Skłonił się jej nisko. - Moje gratulacje, Teddi. Masz na swym koncie kolejny sukces. Możesz dumnie wypiąć pierś i ruszyć ku nowemu wyzwaniu.

- Matt, nie wierzę własnym uszom...

- Lepiej uwierz, bo nie dam się dłużej wykorzystywać. Traktuj pracę przy filmie jako sprawdzian odwagi, a mnie zostaw w spokoju.

Teddi czuła, że traci coś bardzo cennego, lecz nie umiała temu zapobiec.

- Mylisz się, Matt. Tu nie chodzi o żadną odwagę. Naprawdę mi na tobie zależy.

Chciał jej wierzyć, ale już raz się sparzył.

- Dlaczego? Bo poluję na tornada?

- Tak, psiakość! Przecież twoja praca stanowi nieodłączną część ciebie. Ryzyko, jakie sam podejmujesz, pozwoliło ci zrozumieć i zaakceptować mnie. Przynajmniej tak sądziłam. Jeżeli jednak uważasz, że cię egoistycznie wykorzystywałam, to znaczy, że nic o mnie nie wiesz.

- Wiem, że nie chcę być kolejną przeszkodą, którą pokonała dzielna Teddi O'Brien.

Odetchnęła głęboko, żeby uspokoić rozdygotane nerwy, ale niewiele to pomogło. Po chwili, unosząc ręce w geście rezygnacji, cofnęła się parę kroków.

- Przykro mi, Matt, ale nie dogadamy się. Zachowujesz się równie irracjonalnie jak twoja przyjaciółka Laura. Nie umiem sobie radzić z czymś zaślepieniem i bezmyślnym uporem. -Skierowała się do kuchni po torebkę. - Popęłniłam błąd, przychodząc tu dziś.

- Popęłniłeś błąd, przyjeżdżając do Oklahomy - powiedział cicho.

Teddi odwróciła się na pięcie. Poczowała się tak, jakby ją spoliczkował.



- Cholera jasna! - W jej głosie pobrzmiwała ledwo tłumiona furia. - Może popełniłam błąd, ale czy ci się to podoba czy nie, jestem tu i będę do końca. Zamierzam wywiązać się z umowy.

- No pewnie. Teddi O'Brien nigdy się nie poddaje, prawda?

- Prawda. - Przeszywając go hardym spojrzeniem, zniknęła w kuchni. Kiedy wyszła stał bez ruchu, w tym samym miejscu. - Do jutra.

Przeszła przez pokój, kierując się do drzwi. Nawet się nie obejrzała, on zaś nie próbował jej zatrzymać, bo i po co? Nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia.

RS

Wróciła do motelu. Przez całą noc chodziła po pokoju, nie wiedząc, czy ma być zła na siebie, czy na Matta. Chociaż bolały ją oskarżenia, jakie wysunął pod jej adresem, wcale się nie dziwiła że czuje się wykorzystany. O ile on niczego przed nią nie ukrywał, ona trzymała swą przeszłość w tajemnicy. Miał prawo czuć się dotknięty.

Ale żeby wyrzucać jej, że seks z nim traktuje jako sprawdzian swojej odwagi? To jest niesprawiedliwe! Związała się z Mattem, bo spodobał się jej jako mężczyzna, a nie dlatego, że pracował przy tropieniu burz; będąc z nim, po raz pierwszy w życiu poczuła się bezpiecznie, jakby po latach na morzu znalazła przystań. Sama nie wiedziała dlaczego, ale właśnie tak było.

Teraz ta bezpieczna przystań zniknęła. Nawet gdyby udało się Teddi przekonać Matta, że nie kierowały nią żadne egoistyczne pobudki, nie mogła mu zagwarantować, że ich romans przemieni się w trwałą związek. Było zbyt wiele spraw, z którymi musiała się uporać, spraw, które przysłańiały jej obraz przyszłości. Nie chciała robić Mattowi nadziei, a potem brutalnie mu ją odbierać.

Zresztą podejrzewała, że może w kółko powtarzać, iż jego praca nie ma nic do rzeczy, a on i tak jej nie uwierzy. Wszystko z winy Laury Cochran, która latami wmawiała Mattowi, że żadna kobieta - a zwłaszcza taka jak Teddi - nie będzie w stanie zaakceptować wykonywanej przez niego pracy. Udowodnić mu, że Laura się myli, zajęłoby wieczność, a Teddi miała tylko dwa miesiące. Albowiem za

dwa miesiące sezon burzowy się kończył i musiała wracać do Los Angeles.

Postanowiła zastosować się do rady Laury i zostawić Matta w spokoju, ale w poniedziałek rano uświadomiła sobie, co to oznacza. Być w tym samym pokoju co Matt, lecz nie móc się z nim pośmiać, nie móc go dotknąć - to straszne, ale jeszcze straszniejsze było jego zranione spojrzenie, gniew w oczach, lodowaty ton.

- Słuchaj, może to nie moja sprawa - powiedział Bryce, kiedy wyszli z gabinetu Matta, gdzie omawiali harmonogram zajęć - ale co, u diabła, dzieje się z Mattem? Gdyby wzrok zabijał, wachałabyś od spodu kwiatki.

Teddi dygotała ze zdenerwowania, ale wolała nie zwierzać się ze wszystkiego Bryce'owi, który bywał wobec niej równie nadopiekuńczy jak Laura wobec Matta.

- Trochę się wczoraj posprzeczailiśmy - rzekła.

- O co?

- O to, dlaczego tu przyjechałam. Bryce zmarszczył czoło.

- Mówiłaś, że Matt rozumie...

- To dość skomplikowana sprawa. Weszli do montażowni.

- Aha. - Bryce pokiwał głową. - Innymi słowy pączkujący romans już nie rozkwitnie?

- Ładnie to ująłeś - oznajmiła lekkim tonem, starając się ukryć ból.

Przysunęła krzesło do biurka i zaczęła przeglądać notatki. Bryce jednak nie zamierzał dać się tak łatwo zbyć.

- Dobrze się czujesz? - spytał, siadając na brzegu biurka.

- Pewnie.  
- Nie wyglądasz najlepiej.  
- Czegoś mi brak?  
- Tak. Promiennego uśmiechu.  
- Niestety, piątkowa akcja zupełnie mnie wytrąciła z równowagi.  
- Podejrzewam, że Matt Abemathy też się do tego trochę przyczynił - oznajmił z ponurą miną.

Teddi uścisnęła jego dłoń.

- Proszę cię, Bryce, nie mieszaj się. To moja wina. Ukryłam prawdę, którą powinnam była wyznać. Matt niby mi przebaczył, kiedy usłyszał, że z drugiej kamery będzie kręcił Griff, ale... sprawy między nami się pokomplikowały. Matt czuje się oszukany. Trudno mieć o to do niego pretensje.

Przez chwilę Bryce uważnie się jej przyglądał.

- Zakochałaś się?

Teddi zaczęła przesuwac papiery na biurku.

- Tak.

- Na zabój czy na chwilę, żeby uprzyjemnić sobie te dwa miesiące w Oklahomie?

Z całej siły starała się powstrzymać łzy, które zbierały się jej pod powiekami.

- Na zabój, Bryce, ale nic z tego nie będzie - powiedziała cicho, zastanawiając się, kiedy rana w sercu się zablizni.

Pochylił się i cmoknął ją w policzek.

- Zobacysz, jeszcze się wszystko dobrze ułoży.

- Na pewno nie. - Oczy miała zgaszone smutkiem. -Matt nie chce mieć ze mną do czynienia. I wcale mu się nie dziwię.

Zanim Bryce zdążył zaprotestować, w drzwiach pojawił się Griff.

- Może ktoś by mi pomógł? - spytał.

Trzymał w rękach stos wypożyczonych z archiwum amatorskich kaset przedstawiających tornada i burze. Bryce zeskoczył z biurka, Teddi zaczęła wydawać dyspozycje. Czeka ich pracowity dzień: muszą przejrzeć kasyty i zorientować się, czy jakichś fragmentów nie można by wykorzystać.

Ponieważ miała mnóstwo pracy, przez kilka następnych dni prawie nie widywała Matta. Codziennie rano członkowie zespołu uczestniczyli w kilkuminutowej odprawie, słuchali komunikatów meteorologicznych, a potem każdy szedł do własnych zajęć. Ilekroć Teddi rozmawiała z Mattem, rozmowa była krótka i dotyczyła spraw zawodowych. Parę razy próbowała zagadać na inny temat, jakoś uciszyć złość Matta, on jednak nie przejawiał najmniejszej ochoty do jakichkolwiek kontaktów. Po pewnym czasie uznała, że nie ma sensu dłużej walić głową w mur.

Chociaż tęskniła za towarzystwem Matta, na brak zajęć nie mogła narzekać. Poumawiała się na rozmowy z członkami zespołu, a także ustaliła terminy spotkań z różnymi przedstawicielami miasta, którzy zgodzili się mówić do kamery o sposobach zabezpieczania się przed tornadem. Lista ludzi, z którymi chciała przeprowadzić wywiad, była bardzo długa.

Pierwsze spotkanie, zaplanowane na czwartek, miało się odbyć w miejscowej szkole podstawowej, której dyrekcja postanowiła przeprowadzić próbny alarm tornadowy. Niestety, ze względu na pogodę Teddi musiała zmienić plany. Na porannej odprawie dowiedziała się, że w nocy powstała „obiecująca” sytuacja atmosferyczna. Matt liczył na to, że we wczesnych godzinach popołudniowych będą mogli ruszyć w pogoń za burzą.

Teddi zadzwoniła do szkoły, odwołała spotkanie, po czym uprzedziła Bryce'a i Griffa o tym, co się szykuje.

- Jak się czujesz? - spytał po południu Bryce, kiedy ładowali sprzęt do mikrobusu.

Współpracownicy Matta kręcili się nieopodal i również przygotowywali do drogi.

- Dobrze - odparła Teddi. Czuła przyspieszone bicie serca.

- Tylko nie oczekuj promiennych uśmiechów.

- Głowa do góry.

Pokazała mu swoje mokre od potu dłonie.

- Kiedy ostatni raz widziałeś, żebym się tak pociała?

- Kiedy wisiałaś na ścianie lodowca - odparł, obejmując ją.

- Chciałabyś tam wrócić?

- Oj, nie.

Bryce spoważniał.

- A do domu? Do Los Angeles?

- Chyba żartujesz! Wyszczrzył w uśmiechu zęby.

- Brawo, moja mała - rzekł, cmokając ją lekko w policzek. Nagle

Teddi spostrzegła Matta, który stał parę metrów dalej, z grymasem na

twarzy. Nie była pewna, czy krzywił się dlatego, że słońce raziło go w oczy, czy dlatego że Bryce ją obejmował.

- Gotowi? - spytał Matt.

Skinęła głową i uwolniła się z opiekuńczych ramion przyjaciela.

- Bryce pojedzie z tobą w furgonetce - oświadczyła - a Griff w pikapie z rotowcami. - Dla siebie wybrała miejsce w mikrobusie ze sprzętem, gdzie nie mogła narobić żadnych szkód. - Czy Griff wszystkim już przyczepił mikrofony?

- Został mu tylko Corey. - Matt odruchowo podniósł rękę do malutkiego klipsa przypiętego do kieszeni na piersi.

- Dobra. Jak skończy, to jesteśmy gotowi do drogi.

- Świetnie. Zaraz ruszamy. - Miał taką minę, jakby chciał coś dodać, ale najwyraźniej się rozmyślił, bo po chwili obrócił się i skierował do furgonetki.

- Ja tobie też życzę powodzenia - mruknęła pod nosem Teddi, siadając za kierownicą mikrobusu.

Przez następne trzy godziny krążyli w kółko po drogach, śledząc kłębiące się w górze chmury burzowe. Razem z Teddi jechał Ryan Sawyer, który - jak się okazało - w trakcie pierwszej wyprawy podłapał od Griffa sporo informacji dotyczących pracy dźwiękowca. Teraz większość czasu siedział z tyłu, ze słuchawkami na uszach, i przysłuchiwał się rozmowom, jakie toczyły się w pozostałych dwóch pojazdach.

Teddi robiła to samo. Niekiedy Nate przekazywał jej jakąś wiadomość na krótkofalówce, ale było to zbędne; dzięki mikrofonom i słuchawkom wiedziała tyle co wszyscy o burzy, która zerwała się parę

kilometrów na zachód od drogi. Nie była tak duża jak ta sprzed kilku dni, ale też wzbudzała grozę.

Kiedy dotarli na miejsce, natychmiast przystąpili do akcji.

Wykonywali identyczne czynności co poprzednim razem, czyli Gerry znów wypuścił balon meteorologiczny, a Matt znów pilnie obserwował zachowanie Pandory, tyle że tym razem to Bryce stał sam na polu i wszystko filmował.

Z początku Teddi siedziała w mikrobusie, nagrywając rozmowy, ale potem, gdy nabrała pewności, że sprzęt działa sprawnie bez jej pomocy, opuściła pojazd i zmusiła się do patrzenia w niebo. Każda błyskawica przyprawiała ją o palpację, na widok każdej smugi, która oddzielała się od głównej masy chmur, dostawała dreszczy. Ale tornado, którego tak bardzo się lękała, nie pojawiło się.

Czekali godzinę; burza przesuwała się na wschód. Wreszcie Matt polecił członkom zespołu, żeby zbierali się do drogi. Teddi poczuła ogromną ulgę, ale na widok rozczarowania w oczach Matta poczuła żal. Miał już coraz mniej czasu, aby udowodnić skuteczność Pandory.

Odruchowo, nie zastanawiając się nad tym, co czyni, ruszyła w stronę furgonetki. Matt podniósł głowę. Jego lodowate spojrzenie podziałało na nią jak kubeł zimnej wody, ale nie zawróciła.

- Przykro mi, Matt - rzekła. - Wiem, że czujesz się zawiedziony. Może następnym razem coś się wykluje.

- Nie martw się, Teddi. Przed końcem sezonu na pewno znajdziesz ci piękne tornado. Jeszcze będziesz miała szansę wykazać się odwagą.



Staneła jak wryta, urażona jego słowami, ale kiedy uświadomiła sobie, że Bryce, Griff i przynajmniej trzech innych członków zespołu przysłuchuje się ich rozmowie, ogarnęła ją wściekłość.

- To nie przeze mnie burza zniknęła, Matt - oznajmiła szorstko - więc nie wyładowuj na mnie swoich frustracji. Zostajemy tu dłużej czy już skończyliśmy?

- Skończyliśmy.

- W takim razie do zobaczenia w ośrodku. Dobra, chłopcy - zwróciła się do Bryce'a i Griffa. - Zbierzcie mikrofony i wynośmy się stąd. - Posyłając Mattowi złowrogie spojrzenie, skierowała się do mikrobusu.

Przez całą drogę do Turner Matt wyrzucał sobie, że naskoczył na Teddi. Po prostu nerwy miał zszarpane. Oczywiście słusznie mu przygadała. To nie była jej wina, że tornado się nie zmaterializowało. Przez ostatni tydzień usiłował pohamować gniew, ale mu nie wychodziło, bo za każdym razem, gdy na nią patrzył, przypominał sobie cudowne chwile, które spędzili razem i które nigdy więcej nie wrócą.

Doprowadzało go do furii, że Teddi tak świetnie radzi sobie w pracy. Podczas gdy on chodził wściekły, ona roztaczała swój wdzięk i czarowała wszystkich wokół. Śmiała się, żartowała z Bryce'em i Griffem, jakby nie miała żadnych trosk czy zmartwień. Pracownicy ośrodka uwielbiali ją. Złościło Matta, że wszystko zawsze się jej udaje, że zawsze osiąga upragniony cel.

Szybowanie na lotni? Łatwizna!

Kręcenie filmu, którego reżyserii nie powinna się była podjąć?  
Pestka!

Rozkochanie w sobie mężczyzny, z którym zamierzała się tylko zabawić? Nic prostszego!

Czuł się jak ostatni dureń. Teddi sprawiła, że zapragnął czegoś, o czym nigdy dotąd nie marzył, a potem nagle odebrała mu nadzieję. Ich związek od początku oparty był na kłamstwie i tego nie mógł jej wybaczyć.

Ogólnie rzecz biorąc, był to najgorszy tydzień w jego życiu.

Nie dość, że się rozstał z Teddi, to jeszcze Laura się do niego nie odzywa. Nie podchodzi do telefonu, kiedy dzwoni do niej do pracy, i nie oddzwania, kiedy zostawia jej wiadomość na automatycznej sekretarce. Corey wyprowadził się do mieszkania, które wynajmował Gerry Hampton, więc z synem Laura też nie rozmawiała.

Matt miał wyrzuty sumienia; czuł się tak, jakby to on spowodował rozdźwięk między matką a synem. Przynajmniej o to nie mógł winić Teddi. Winił ją jednak za bezsenne noce i za boleść w sercu, która nie chciała ustąpić.

Kiedy dotarł z powrotem do ośrodka, mikrobus stał przed garażem, ale Teddi i jej ekipy nigdzie nie było widać. Całe szczęście, pomyślał Matt. Z jednej strony wiedział, że powinien przeprosić Teddi za swoje zachowanie, a z drugiej podejrzewał, że słowa przeprosin nie przeszłyby mu przez gardło. Chciał czym prędzej znaleźć się w domu, choć miał świadomość, że tam również wszystko będzie mu przypominać o Teddi.

Kiedy sprzęt był już zabezpieczony, Matt pożegnał się ze swoimi współpracownikami i udał na górę, żeby zostawić w gabinecie nagranie dopplerowskie. Zdawał sobie sprawę, że taśmy na nic mu się nie przydadzą, ale tak czy owak należało je przeanalizować.

Stał przy biurku, twarzą do szafy, kiedy nagle drzwi do pokoju trzasnęły z hukiem. Matt podskoczył jak oparzony. Kiedy się odwrócił, ujrzał przed sobą Teddi, której oczy ciskały gromy.

- Nigdy więcej nie mów tak do mnie w obecności ludzi! Czy dość jasno się wyrażam? - spytała gniewnie, podchodząc do biurka. - Jeśli masz mi coś do powiedzenia, powiedz mi na osobności, a nie publicznie.

Matt pchnął drzwi szafy tak mocno, że wszystko w środku się zatrzęsło.

- Nie sądziłem, że jesteś tak wrażliwa.

- Nie chodzi o wrażliwość. Staram się, żeby problemy, jakie między nami zaistniały, nie wpływały na nasze kontakty zawodowe, i byłabym ci wdzięczna, gdybyś również się o to postarał. Musimy z sobą współpracować, a ta współpraca nie będzie możliwa, jeżeli nie przestaniesz mi docinać.

Miała rację.

- Przepraszam - powiedział.

- Czy ci się to podoba, czy nie - ciągnęła, próbując opanować gniew, bo wiedziała, że awantura żadnemu z nich nie wyjdzie na dobre - będziemy się widywać do końca sezonu burzowego. Musimy nauczyć się wzajemnej tolerancji.

- Dobrze. - Skinął głową. - Postaram się.

- Cholera - mruknęła pod nosem, odwracając się zrezygnowana. Przez chwilę w bezsilnej złości zaciskała pięści, potem spojrzała na Matta i spytała niemal błagalnym tonem: - Matt, co mam zrobić, żebyś mi wybaczył?

- Nie kłamać - odparł po chwili.

- Ależ jestem z tobą szczerą!

- Jak mam ci wierzyć, skoro nasz związek od początku oparty był na kłamstwie?

- Popeliłam błąd. Przepraszam.

- I co? I już? - spytał gorzko. - Czasem przeprosiny nie wystarczą.

Cierpiała widząc ból w jego oczach. To ona mu go zadała, lecz nie potrafiła go uśmierzyć.

- Masz prawo mnie nienawidzić, Matt. Faktycznie, oszukałam cię, ale przynajmniej uwierz w jedną rzecz... - Oparła dłonie na blacie i pochyliła się w jego stronę. - Nie poszłam z tobą do łóżka po to, żeby cokolwiek sobie udowodnić. Poszłam dlatego, że się w tobie zakochałam. Nie wiem, czy rodzaj wykonywanej przez ciebie pracy miał na to jakikolwiek wpływ, czy nie. Ale to nieistotne. Po prostu zaakceptowałam cię takim, jakim jesteś. Więc... po prostu zrozum, że każdemu zdarza się błędzić.

Chciał wierzyć w jej szczerą, lecz bał się. Wtem uświadomił sobie, że złość, której nie umie się pozbyć, służy ważnemu celowi: jest swego rodzaju tarczą. Gdyby ją opuścił, gdyby się odsłonił, wtedy od nowa zaczęłby marzyć, pragnąć... Może Teddi naprawdę się w nim

zakochała ale co z tego? Jemu zależało na trwałym związku, ona zaś żyła chwilą, teraźniejszością.

- W porządku - powiedział, idąc na kompromis. - Zgadzam się na zawieszenie broni.

To już było coś. Naturalnie, czuła niedosyt, ale nie miała odwagi prosić o nic więcej.

- Dziękuję. - Skierowała się do drzwi. - A zatem do jutra. - Trzymała już rękę na klamce, gdy nagle się odwróciła. - Jadąc dziś z wami w pościg, nikomu nie chciałam nic udowadniać. Po prostu wykonywałam swoją pracę. I cały czas drżałam ze strachu.

Wyszła z pokoju, nie czekając na reakcję Matta. Zdumiała go jej słowa. Tydzień temu zrobiłaby wszystko, żeby ukryć strach, a teraz... teraz nie tylko otwarcie się przyznaje do lęku, ale również próbuje uporać się z różnymi skomplikowanymi emocjami, które mogłyby ją zniszczyć. Wreszcie przestała oszukiwać zarówno innych, jak i siebie.

Choć bardzo tego nie chciał, właśnie za tę odwagę pokochał Teddi jeszcze mocniej.

Niewiele myśląc, rzucił się za nią biegiem. Przy drzwiach jednak przystanął. Zrozumiał, że to nic nie da. Pragnął wziąć ją w ramiona, przytulić, ale co potem?

Wrócił na miejsce, usiadł i zaczął się zastanawiać, co ma zrobić, żeby nie zwariować przez te sześć tygodni, dopóki Teddi nie wyjedzie. Podejrzewał jednak, że po jej wyjeździe boleść w sercu wcale nie ustąpi.

Jeśli chodzi o zawieszenie broni, Matt dotrzymał słowa. Przestał warczeć na Teddi, zachowywał się uprzejmie, a rozmowy ograniczał do spraw służbowych. W takiej atmosferze niewątpliwie łatwiej się pracowało, ale...

Nigdy dotąd Teddi nie czuła takich wyrzutów sumienia ani takiego żalu. Była przyzwyczajona do tego, że idzie przebojem przez życie, ponosząc konsekwencje swych słusznych i niesłusznych decyzji. Oczywiście starała się nie popełniać błędów i nikomu nie wyrządzać krzywdy, ale tym razem zraniła Matta i zniszczyła coś bardzo cennego. Nie umiała się z tym pogodzić. Człowiek, w którym się zakochała, cierpiał. I ona też.

Pocieszające przynajmniej było to, że każda kolejna pogoń za burzą coraz mniej ją przerażała. Z drugiej strony żadna z kolejnych burz nie była tak groźna jak ta pierwsza. W ciągu miesiąca wyruszyli na łowy sześciokrotnie, lecz ani razu tornado się nie zmaterializowało. Wiatr wył, deszcz lał, błyskawice rozdzierały pokryte czarnymi chmurami niebo, a tornada jak nie było, tak nie było.

Matt coraz bardziej się martwił, że nie udowodni swej teorii na temat przydatności Pandory, Teddi zaś bała się, że ma za mało materiału, by stworzyć ciekawy dokument. Film o tornadach bez tornada nie spełniał swego zadania. Wprawdzie na kasetach z archiwum trafiały się fragmenty, które od biedy mogłaby wykorzystać, ale widać było, że kamerę trzymali amatorzy.

Mając nadzieję znaleźć lepszy materiał nakręcony przez zawodowców, odwiedziła kilka stacji telewizyjnych w Oklahoma City. Jednakże reportaże na temat trąb powietrznych na ogół pokazywały straszliwe skutki tragedii: zniszczone miasta, budynki zrównane z ziemią, zapłakanych ludzi.

W pewnym sensie te stare filmy napawały Teddi jeszcze większą grozą niż pogonie, natomiast ostatni niemal przyprawił ją o zawał. Opuszczając telewizję, poczuła bolesny ucisk w sercu; gdy dojeżdżała na parking przed ośrodkiem, ból nie mijał.

Chwyliła leżącą obok na siedzeniu wideokasetę i wbiegła do budynku. Skierowała się prosto do montażowni. Bryce'a i Griffa nie było w pracy - dała im dzień wolny za to, że pracowali całą sobotę i niedzielę. Zapaliła światło, nastawiła sprzęt, wsunęła w otwór kasetę.

Na przyklejonej do pudełka kartce widniał duży, wyraźny napis „Tornado w Dry Creek” oraz data - dzień, miesiąc i rok - kiedy życie Teddi uległo drastycznej zmianie. Szef stacji wspaniałomyślnie dał Teddi zgodę na wykorzystanie nagranych materiałów, a nawet polecił jednemu ze swych techników, aby przekopiował dwudziestoletni film na taśmę magnetowidową.

Nie był to materiał, który zamierzała użyć do filmu Matta; był to materiał, który sama chciała obejrzeć. Stanowił kolejną próbę, której musiała się poddać, aby raz na zawsze pogodzić się z własną przeszłością. Dotychczas z każdej wychodziła zwycięsko, ale ta była najcięższa.

Teddi puściła taśmę. Bezbarwny głos zaczął opisywać zniszczenia, jakich tornado dokonało w jej rodzinnym mieście.

Wszystko rozpoznawała: zapadnięty dach sklepu Riley'a, w którym mama kupiła jej pierwszą w życiu lalkę Barbie; zburzoną salę gimnastyczną, w której oglądała dziesiątki meczów koszykarskich, a jej siostrą wymachując kolorowymi pomponami, zagrzewała drużynę do walki; zawaaloną gruzem ulicę, po której razem z Jessiką Novak jeździły na rowerach; półciązarówkę ciśniętą na środek warzywnika z którego skradła kiedyś kilka dorodnych pomidorów.

Miała wrażenie, jakby oglądała całe swoje dzieciństwo. Obrazy następowały szybko jeden po drugim, przywołując bolesne wspomnienia. Kiedy pojawił się ostatni obraz przedstawiający samochód do połowy tkwiący w ścianie domu, w którym mieszkała z siostrą i rodzicami, nie była w stanie opanować łez. Ocierając je, przewinęła taśmę i zmusiła się, aby ponownie ją obejrzeć.

Pomysł wpadł jej do głowy podczas trzeciego oglądania. Zdziwiła się, albowiem był to pomysł, na jaki mogłaby wpaść dawna obiektywna Teddi, a nie nową która balansowała na krawędzi strachu, smutku i niepewności.

Na moment skupiła się. Tak, to jest całkiem realne. Chyba potrafiłaby się zmusić... Tak, mogłaby się wybrać z ekipą do Dry Creek, pokazać, jak wygląda miasto dziś, dwadzieścia lat po tragedii, i jak wyglądało parę minut po przejściu trąby powietrznej. Powstałby przejmujący obraz. Zestawienie przeszłości z teraźniejszością. Na pewno wciąż żyją ludzie, którzy pamiętają tamten kataklizm. Mogłaby to wkomponować w dokument o tornadach kręcony na zamówienie Matta...

Jeśli Matt się nie sprzeciwi.



Wiedząc, że musi go spytać o zgodę, wyciągnęła rękę do telefonu. Już zamierzała podnieść słuchawkę, kiedy zawahała się. Ponieważ za każdym razem, gdy widziała Matta, coraz trudniej było jej ukryć uczucia od paru dni unikała go równie gorliwie jak on jej. Nie licząc obowiązkowych porannych odpraw i wywiadów, których udzielił jej do kamery, prawie ze sobą nie rozmawiali.

Ale ta sprawa wymaga konsultacji. Teddi wzięła się w garść i wykrcęła numer Matta. Odebrał po drugim sygnale.

- Matt Abernathy. Słucham?

- Cześć, Matt. Tu Teddi.

- Cześć - powiedział po chwili, nieco chłodniejszym tonem. - Już wróciłaś z Oklahoma City?

- Tak, kilka minut temu.

- I co? Poszcęściło ci się?

- Trudno to nazwać szczęściem - rzekła uśmiechając się ponuro.

- Chcę ci coś pokazać. Masz chwilę?

W słuchawce nastąpiła cisza.

- Tak - odparł wreszcie. - Zaraz do ciebie wpadnę. Ledwo zdążyła przewinąć taśmę, kiedy pojawił się w drzwiach.

- No, co jest? - Podeszedł do stołu montaż owego.

- Mam pomysł na jedną część filmu, ale zanim przystąpię do realizacji, chcę uzyskać twoją zgodę.

- Jeśli pomysł jest dobry, na pewno nie będę się sprzeciwiał.

- Dobra. Usiądź, coś ci pokażę.

Wyciągnął zza biurka krzesło i przysunął do stołu. Był tak spięty, że bolały go wszystkie mięśnie. Od miesiąca tłumił w sobie

emocje. Przedtem złość służyła mu za tarczę; bez niej czuł się bezbronny. A już ostatnia rzecz, jakiej pragnął, to znaleźć się tak blisko Teddi.

Nagle zdał sobie sprawę, że sam siebie oszukuje. Bo jednak z całego serca pragnął być koło niej, wdychać świeży, zmysłowy zapach jej ciała, który zawsze doprowadzał go do szaleństwa. Co to była za tortura! Kątem oka widział siedzącą obok Teddi, piękną, pełną życia kobietę, o jakiej marzył, a której nie mógł mieć.

Puściła taśmę, lecz wyłączyła głos. Matt skupił uwagę na filmie.

- To dość stary materiał, prawda? - spytał, kiedy nagranie dobiegło końca.

- Owszem.

- Z tego, co widać, zniszczenia były duże, ale w miarę typowe. Dlaczego akurat ten film cię zainteresował? - Nagle dojrzał ból w jej oczach, ból bardziej wymowny od słów.

- Bo przedstawia skutki tornada w Dry Creek - powiedziała cicho.

Siedział bez ruchu, powstrzymując się, by nie wziąć jej w ramiona. W ciągu ostatnich kilku tygodni tak dzielnie się spisywała, że czasem zapominał o bolesnych wspomnieniach, które ją tu, w Oklahomie, co rusz nawiedzały.

- Przykro mi, Teddi. Na pewno niełatwo ci było to oglądać.

- Niełatwo - przyznała - ale właśnie wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Mogłabym odwiedzić Dry Creek i nakręcić fragment „dwadzieścia lat później”. Pokazać, jak miasto zostało

odbudowane, pokazać ludzi, którzy wciąż pamiętają tamtą straszną noc. To byłaby krótka wstawka, ale myślę, że niezwykle przejmująca.

- Jesteś pewna, że chcesz się narażać na kolejną porcję bolesnych wspomnień?

- Tak, Matt. - Była mu wdzięczna za troskę, jaką przejawiał.

- Chyba jest mi to potrzebne.

- Jeszcze jeden sprawdzian?

Pytanie było zadane normalnym tonem, bez cienia złości; Teddi zrozumiała, że potyczki słowne mają już za sobą.

- Nie, raczej pożegnanie z duchami przeszłości. Od paru tygodni myślę o tym, żeby się tam wybrać, ale ciągle odkładam wyjazd na później.

Przyglądał jej się uważnie, próbując dojrzeć, jaki to wszystko ma na nią wpływ, ale Teddi wzniosła wokół siebie niewidzialny mur. Schowana za nim, nie zdradzała żadnych emocji. Było to ogromnie denerwujące.

- Powiedz mi, jak się czujesz? - spytał. - To znaczy widzę, że świetnie sobie radzisz, ale nie wiem, ile cię to psychicznie kosztuje.

- Dobrze się czuję, Matt. Naprawdę. - Była wzruszona, że po tym wszystkim, na co go naraziła, wciąż się o nią troszczy.

- Nawet mnie korci, żeby wziąć do ręki kamerę - dodała, siląc się na wesołość.

- Czy to by było rozsądne?

- Chyba nie. Ale świadczy o moim lepszym samopoczuciu. Poza tym już nie wpadam w dygot, ilekroć ogłaszasz kolejną pogoń.

Prawdę mówiąc, dość niecierpliwie ich oczekuję.

- Serio? - zdumiał się.

- Tak. Wolę być w ruchu na świeżym powietrzu, niż tkwić w montażowni. - Uśmiech zniknął jej z twarzy. - Masz coraz mniej czasu, żeby udowodnić swoją teorię. Sezon zbliża się do końca, a ty wciąż jesteś w punkcie wyjścia...

- Nie przypominaj mi. - Odsunął krzesło od stołu. - Wczoraj wezwał mnie dyrektor ośrodka, Ed Parker. Powiedział, że najwyższy czas wystąpić o przedłużenie stypendium. Jeśli Pandora się nie sprawdzi, nikt nam nie przyzna więcej funduszy.

- Ten sezon zawiódł twoje oczekiwania, prawda? - Za późno ugryzła się w język. Chodziło jej o mniejszą niż przewidywał częstotliwość występowania burz, ale widząc smutek w oczach Matta, uświadomiła sobie, że on sam myśli o czymś całkiem innym.

- Owszem - potwierdził cicho.

- Przykro mi...

Wstał. Wolał nie wdawać się w rozmowę na temat nie spełnionych oczekiwań. Wiedział, że żadne słowa Teddi nie umniejszą jego smutku i bólu.

- Słuchaj, jeśli chcesz jechać do Dry Creek, nie mam nic przeciwko temu. Wszystko da się załatwić. Lem Bridger, szef Komitetu Przeciwdziałania Klęskom na okręg Logan, jest przyjacielem Laury. Możemy ją poprosić, żeby... - Urwał w pół słowa. Najzwyczajniej w świecie zapomniał, że nie może Laury prosić o żadną przysługę. Laura nie chciała się z nim widzieć, nie odbierała jego telefonów. Była pogrążona w żałobie po synu, który żył, a za swój ból winiła Matta. - Zresztą sam zadzwonię.

Teddi domyśliła się, o co chodzi. Mimo że od tamtego dnia nie rozmawiali na temat Laury, wiedziała - podobnie jak wszyscy w ośrodku - że Laura jest wściekła na Matta. Corey był nieszczęśliwy, winił się za zerwanie przyjaźni pomiędzy matką a Mattem, ale nie zamierzał rezygnować ze swej świeżo uzyskanej samodzielności. Sytuacja była bez wyjścia.

- Laura nadal się do ciebie nie odzywa? - spytała Teddi, licząc na to, że może nastąpiła jakaś poprawa, o której nie słyszała.

- Nie. Wciąż wierzy, że postanowiłem zabić jej syna - odparł znużonym tonem. - Nigdy mi nie wybaczy.

- Wybaczy, ale to chwilę musi potrwać - rzekła.

Nie wiedziała, jak go pocieszyć, a biedak wyglądał tak, jakby cały świat walił mu się na głowę.

- W tym wypadku czas nic nie da.

- Słuchaj. - Widziała po jego minie, że woli zakończyć rozmowę o Laurze. - Jako kierownik zespołu masz wystarczająco dużo spraw na głowie, może więc sama zorganizuję sobie wyjazd do Dry Creek, co? Jestem pewna, że dogadam się z panem Bridgerem...

- Jak chcesz.

- Tak będzie lepiej. Ekipa filmowa dostatecznie utrudnia wam pracę. Postaram się nie zajmować ci...

- Wszystko, co robisz, mnie zajmuje - wyrwało mu się. Było za późno, nie mógł już cofnąć tych słów.

Popatrzyli na siebie, oboje trawieni głęboko skrywaną tęsknotą, z której nie potrafili się wyzwolić, po czym Matt poderwał się z krzesła i ruszył do drzwi.

- Na razie - rzekł, znikając w korytarzu, nim zdołała go zatrzymać.

Właściwie nie miała powodu go zatrzymać. Zdawała sobie sprawę, że nic nie ulży jego cierpieniu. I nic nie zmniejszy jej własnego bólu.

Nie mogła się już doczekać końca sezonu.

Postanowiła, że przyjedzie z ekipą do Dry Creek równo za tydzień. Lem Bridger umówił ją na rozmowy z kilkoma osobami, a burmistrz, który przeprowadził się do Dry Creek kilka lat po tamtych tragicznych wydarzeniach, chętnie udzielił jej wszelkich potrzebnych informacji. Miała zamiar przeprowadzić wywiad grupowy z sześcioma mieszkańcami, którzy dokładnie pamiętali, co się wtedy działo, a gdyby zaszła konieczność, mogłaby wrócić innego dnia na rozmowy z pojedynczymi osobami.

Wszyscy byli uprzedzeni, że wizyta może zostać odwołana, ale tak się nie stało. Przez cały tydzień - ku rozpaczy łowców tornad - była ładna, słoneczna pogoda; Matt zakładał, że powinna się utrzymać przynajmniej do poniedziałku.

Ruszyli w drogę z samego rana: Teddi, Bryce, Griff i Matt. Teddi próbowała wytłumaczyć Mattowi, że nie musi z nimi jechać, lecz gdy ujrzała pretensję w jego oczach, zamilkła. Nie chciała odrywać go od pracy, on zaś sądził, że go nie potrzebuje i wzbrania się przed jego towarzystwem. Oczywiście mylił się; bardzo go potrzebowała, ale nie miała prawa prosić go o cokolwiek, nie wiedząc, czym będzie mogła mu się rewanżować.

Decyzję Matta, który jednak postanowił się z nimi wybrać, przyjęła więc z radością, choć mu o tym nie powiedziała.

Jazda trwała trzy godziny; z każdym mijającym kilometrem narastał w Teddi niepokój. Zastanawiała się, jakie to będzie uczucie zobaczyć po latach swoje rodzinne miasto. Na pewno wszystko się w nim pozmieniało. Ale czy na lepsze?

Ciekawa była czy odbudowano dom na Oak Street, w którym mieszkała z siostrą i rodzicami? Czy w szkole zbudowano nową salę gimnastyczną, czy tylko naprawiono uszkodzoną ścianę? Czy Dry Creek jest pełnym życia, kwitnącym miasteczkiem, czy może tornado zniszczyło coś więcej niż budynki? Może pozbawiło ludzi zapachu, nadziei na przyszłość?

Wkrótce po zjeździe z autostrady przekonała się, że Dry Creek wygląda niemal jak wymarłe miasto. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła było stare kino dla zmotoryzowanych. Znikł zerwany przez tornado wielki biały ekran. Ogromny plac, na którym parkowały samochody, pokrywały teraz chwasty. Znikły kramy, w których sprzedawano przekąski, natomiast wciąż stała budka w której kupowało się bilety; okna miała zabite deskami, ściany i dach porośnięte bluszczem i chwastami.

Reszta miasta prezentowała się równie posepnie. Na Main Street mnóstwo sklepów było zamkniętych na cztery spusty. W dawnym sklepie Riley'a mieścił się klub karate. Niby tu i ówdzie widać było, że próbowano odnowić miasto, nadać mu ładniejszy wygląd, ale najwyraźniej próby się nie powiodły.

Wiele miejsc się nie zmieniło, w sumie jednak Teddi dość często przecierała oczy ze zdumienia. Tam, gdzie kiedyś był warsztat ślusarski, teraz znajdował się bar szybkiej obsługi, dawna kawiarenka przekształciła się w wypożyczalnię wideo, a w fabryce, w której pracował ojciec Teddi, mieścił się pchli targ.

Chociaż do spotkania z burmistrzem było jeszcze kilka godzin, zaraz po przyjeździe Teddi złożyła mu kurtuazyjną wizytę. Następnie przystąpiła do filmowania tych samych obiektów, które przed dwudziestoma laty sfilmowała ekipa stacji telewizyjnej. Oczywiście obecność filmowców nie przeszła w miasteczku nie zauważona, ale nikt nie rozpoznał Teddi. Komisarz policji wstrzymał dla niej ruch na drodze, sklepikarze - wdzięczni za reklamę - byli chętni do współpracy.

Przez cały czas Teddi zachowywała stoicyzm, który Mattowi wydawał się dziwnie niepokojący. Nie podobało mu się, że potrafi wyłączyć emocje tak, jak się zakręca wodę w kranie. Przecież musiała coś czuć, ale co? Niczego po sobie nie okazywała.

To się zmieniło wczesnym popołudniem, kiedy poszli do małej restauracyjki, którą Teddi pamiętała z młodości. Wprawdzie obecny lokal różnił się od dawnego wystrojem, ale kanapki z pieczonym na ruszcie mięsem były takie same jak dwadzieścia lat temu. Na Teddi spłynęła fala sentymentalnych wspomnień.

- To był najpopularniejszy lokal wśród miejscowej młodzieży - powiedziała, kiedy zajadali się kanapkami. - Zwłaszcza w soboty i niedziele panował w nim tłok. Przyjeżdżałyśmy tu z Jessiką na rowerach, żeby szpiegować moją siostrę. Kiedy Cathy nas



przyłapywała, udawałyśmy niewiniątka, mówiłyśmy, że to zbieg okoliczności, ale ona i tak wiedziała. Czemu się zresztą trudno dziwić, skoro przyłapywała nas prawie w każdą sobotę.

- Może powinna była zmienić lokal? - powiedział Griff.

- Och, próbowała, ale wszędzie ją odnajdywałyśmy. Często zakradałyśmy się do kina dla zmotoryzowanych i podglądałyśmy Cathy przez tylną szybę samochodu. Potem wracałam do domu i opowiadałam mamie, jak Cathy obściskowała się z chłopakiem. Ale była ze mnie skarżypyta!

Bryce zachichotał.

- Pewnie siostra miała ochotę sprać cię na kwaśne jabłko?

- Nie. Jej było wszystko jedno, bo mama mi nie wierzyła. Co? - zapiszczała, naśladując matkę. - Moja kochana córeczka miałaby się zachowywać jak typowa nastolatka? Wykluczone!

- Po chwili ciągnęła normalnym głosem: - Tak więc jeśli któraś z nas obrywała, to raczej ja. Za to, że się zakradałam do kina i że wymyślałam brednie.

Matt patrzył na nią zachwycony. Oczy lśniły jej tak jasno i wesoło jak w dniu, gdy ją spotkał po raz pierwszy.

- Czy byłaś bardzo zbuntowana? - spytał.

- Och, byłam diabłem wcielonym - odparła ze śmiechem.

- Mama z tatą sądzili, że wyrosnę na największego zbrojaka w historii Dry Creek. A rodzice Jessiki uważali, że przeze mnie ich córka się wykolei. Gdziekolwiek szłam, Jessika też szła, cokolwiek robiłam, ona też robiła. Tworzyłyśmy naprawdę niesamowitą parę.

- I co się z nią stało? - spytał Griff. - Nadal utrzymujecie kontakt?

Błysk w oczach Teddi zgasł.

- Nie. Dom Jessiki zawalił się podczas tornada. Ona sama zmarła dwa dni później, nie odzyskawszy przytomności. - Sięgnęła po szklanekę i wypila łyk soku.

- Przykro mi, Teddi - szepnął Griff.

- Mnie też. - Spojrzała na zegarek. - No dobra, bierzmy się do roboty.

Ponownie zakręciła kran, stłumiła wszystkie emocje. Czas wracać do pracy.

Burmistrz wspaniałomyślnie pozwolił filmowcom korzystać ze swego przestronnego salonu. Wraz z żoną patrzył zafascynowany, jak Griff ustawia oświetlenie, a Bryce kamery.

Wkrótce zaczęli się schodzić zaproszeni do udziału w filmie mieszkańcy Dry Creek, którzy przeżyli tornado. Okazało się, że każdy z nich doskonale pamięta Teddi. Ona ich również pamiętała.

Zbliżająca się do dziewięćdziesiątki Myra Brick była równie sroga i ekscentryczna jak dawniej. Toby Daniels chodził do tej samej szkoły co Teddi, ale dwie klasy wyżej; podkochiwała się w nim, ale on wodził maślanym wzrokiem za Cathy. Bob Hennessey był gliniarzem, póki tornado nie przewróciło radiowozu, w którym jechał; teraz poruszał się na wózku inwalidzkim i pracował w centrali telefonicznej miejscowego pogotowia ratunkowego.

Na swój sposób cała szóstka miała mniejszy lub większy wpływ na życie małej Teddi, dlatego dorosła Teddi czuła się z nimi związana.

Podczas gdy Bryce z Griffem nagrywali, ona rozmawiała ze swymi dawnymi sąsiadami, delikatnie nakłaniała ich, aby wrócili wspomnieniami do przeszłości, opowiedzieli, jak tornado zmieniło ich życie i życie miasteczka.

Słuchając tego, co mówią, zdała sobie sprawę, że jej własne wspomnienia niewiele się różnią od ich wspomnień. Tamtej nocy każdy w Dry Creek stracił kogoś bliskiego i całymi latami nie mógł pogodzić się z tragedią. Teoretycznie Teddi zawsze o tym wiedziała, ale dopiero teraz w pełni to do niej dotarło.

I poczuła się mniej osamotniona.

- Dobra, chłopcy. Starczy. Chyba mamy dość materiału - powiedziała do Bryce'a i Griffa po prawie dwóch godzinach nagrywania.

Natychmiast wyłączyli kamery i zaczęli pakować sprzęt.

- Dziękuję, że państwo zechcieli podzielić się ze mną swoimi wspomnieniami - zwróciła się do sześciuosobowej grupy.

- Wiem, że to nie było łatwe.

- Masz rację, kochanie - rzekła Lois Esterhaus; wstała z kanapy i wilgotną chusteczką otarła oczy. - Czas nie wszystkie leczy rany.

Teddi odruchowo podeszła do kobiety, której syn był jedną, z dwudziestu siedmiu ofiar tragedii, i otoczyła ją ramieniem. Przez chwilę, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, stały przytulone do siebie.

Inni też zaczęli się podnosić i szykować do wyjścia. Teddi z każdym kolejno się żegnała, aż wreszcie w pokoju została już tylko

Myra Brick. Teddi ujęła staruszkę za łokieć, gdy ta, szurając nogami i podpierając się laseczką, ruszyła do drzwi.

- Muszę przyznać, Tereso, że wyrosłaś na całkiem porządną kobietę.

- Tak. - Teddi parsknęła śmiechem. - Jeśli ktokolwiek miałby prawo w to wątpić, to właśnie pani. Czy została mi już wybaczona kradzież tych wspaniałych pomidorów, które zamierzała pani zgłosić do konkursu?

Staruszka podniosła na Teddi swe niebieskie oczy.

- Nie, nigdy ci tego nie wybaczę. Tamtego roku po raz pierwszy nie zdobyłam głównej nagrody.

- Och, tak mi przykro...

Myra Brick poklepała Teddi po ramieniu.

- Żartuję, moja droga. Byłaś młoda i roznosiła cię energia. W Dry Creek potwornie się nudziłaś. Zawsze wiedziałam, że stąd wyjedziesz. Szkoda tylko, że do wyjazdu zmusiła cię tragedia...

- To prawda.

- Byłaś już na cmentarzu?

- Nie. - Teddi trochę się zdenerwowała. Staruszka pogroziła jej artretycznym palcem.

- Powinnaś się, kochanie, wybrać. Każdego roku proboszcz z miejscowego kościoła baptystów kładzie kwiaty na grobach ofiar kataklizmu, ale to nie wystarczy. Rodziny też powinny dbać o swoich zmarłych.

- Wybiorę się. Na pewno - obiecała Teddi, wbijając sobie paznokcie w dłoń, żeby powstrzymać napór łez.

Staruszka uśmiechnęła się figlarnie.

- Nie mam już pomidorów, które mogłabyś mi ukraść, ale serdecznie zapraszam na róże.

- Dziękuję. - Teddi roześmiała się wzruszona. Odprowadziła Myrę Brick do drzwi, po czym wyszła z nią na zewnątrz, gdzie prawnuk staruszki kręcił się niecierpliwie przy starym, zniszczonym wozie. - Do widzenia. - Teddi pomogła staruszce wsiąść do samochodu. - Cieszę się z tego spotkania po latach.

- Ja też, moja droga. I pamiętaj, nikt nie żyje wiecznie. Odwiedź mnie kiedyś.

Teddi zatrzasnęła drzwi. Patrząc, jak samochód rusza sprzed domu burmistrza, z trudem hamowała łzy.

- Teddi?

Usłyszawszy za sobą Matta, w pierwszym odruchu chciała rzucić mu się w ramiona ale w porę się zreflektowała. Nie ma prawa szukać u Matta pocieszenia. Zanim więc obróciła się do niego, przybrała na twarz maskę, starannie ukrywając emocje.

- Wspaniale się spisałaś - powiedział z taką czułością i zatroskaniem w głosie, że Teddi znów poczuła ucisk w gardle. - Sprawiałaś, że się otworzyli, że wrócili pamięcią do bolesnych przeżyć...

- Na tym polega moja praca.

- Trochę cię to kosztowało, prawda?

- Owszem - potwierdziła. - Ale nic mi nie będzie.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz przepaść, jaka się między nimi wytworzyła, była zbyt wielka, by udało się ją pokonać za jednym razem.

- Co teraz? Wracamy do Turner?

- Nie. Zostało nam jeszcze jedno miejsce.

- Jakie? - zdziwił się.

- Oak Street - powiedziała przez ściśnięte gardło i skierowała się do mikrobusu.

RS

Miała w głowie dwa diametralnie różne obrazy Oak Street. Jeden przedstawiał spokojną, uliczkę, po obu stronach której rosły drzewa, a dalej stały skromne, ale ładnie utrzymane domy ze starannie przystrzyżonymi trawnikami i zadbanymi rabatkami. Na drugim obrazie ta sama ulica wyglądała tak, jakby niedawno toczyły się na niej działania wojenne. Domy były zburzone, tylko gdzieś tam wśród rumowiska tkwiła ściana czy resztki muru, wokół zaś walały się szczątki codziennego życia: dachówki, kawałki porcelany, naczynia kuchenne, odzież, pogięty rower, połamana lalka...

Żaden z tych obrazów nie pasował do dzisiejszej Oak Street. Zniszczonych domów nie odbudowano - zostały rozebrane. Dwa kwartały, w których tornado wyrządziło największe szkody, zajmowało teraz osiedle tandetnych domków wzniesionych przez opiekę społeczną.

Teddi poczuła bolesne klucie w sercu. Sądziła, że ujrzy jakiś znajomy widok, niekoniecznie te same domy co przed laty, ale przynajmniej takie, które byłyby do nich podobne.

- Wszystko jest inne niż na kasecie - powiedział Bryce, gdy wysiedli z mikrobusu.

- Trzymaj. - Teddi podała mu plik zdjęć zrobionych z filmu, o którym mówił. Wcześniej, kierując się zdjęciami, ustawiali kamerę w tym samym miejscu, w którym dwadzieścia lat temu stała kamera ekipy telewizyjnej.

Bryce przejrzał ponownie zdjęcia.

- Żadnego podobieństwa - stwierdził.

- Wiem.

Podał zdjęcia Griffowi i zerknął na Teddi.

- Co mam filmować?

Rozejrzała się dookoła, starając się skupić na pracy i nie myśleć o przeszłości.

- Przejdź na drugą stronę, a potem idź prosto, tak jak ci na tamym starym filmie. Obejdź te dwa kwartały.

- W porządku.

Bryce z Griffem zaczęli wyładowywać sprzęt. Tym razem Teddi nawet nie zaproponowała im pomocy. Wolnym krokiem ruszyła przed siebie, zamierzając odbyć własną podróż w przeszłość.

- Mogę iść z tobą? - spytał cicho Matt.

Poczuła ogromną ulgę. Nie chciała samotnie odbywać tej wędrówki, a nie śmiała prosić Matta, by jej towarzyszył.

- Tak, oczywiście - odparła ucieszona.

- Bryce ma rację. - Idąc przerzucał zdjęcia, które wzięł od Griffa. - Nic się tu nie ostało, chociaż trudno się dziwić, zważywszy na skalę zniszczeń. Prawdę mówiąc, nie sposób po zdjęciach poznać, jak ta ulica wcześniej wyglądała.

- Ładnie. - W głosie Teddi pobrzmiwała nuta smutku. - Tam... - wskazała na budynek po drugiej stronie jezdni - stał jeden z najstarszych domów w miasteczku, który od czterech pokoleń należał do rodziny Morganów. Był w idealnym stanie; Morganowie bardzo o



niego dbali. W jednym rogu znajdowała się cudowna okrągła wieżyczka...

Matt jeszcze raz przejrzał stos zdjęć. Ku swemu zdumieniu odnalazł dom, o którym Teddi mówiła. Rozpoznał go właśnie po wieżyczce, jedynym ocalałym fragmencie.

Szli dalej. Teddi opisywała inne domy przy dawnej Oak Street, a także ludzi, którzy w nich mieszkali. Głos miała trochę spięty, ale w sumie sprawiała wrażenie opanowanej. Matt jednak podejrzewał, że ulica, o której opowiada, nie jest jej obojętna. Niebawem jego przypuszczenia się potwierdziły.

- Och, zobacz! - Teddi uklękła na chodniku. - Wciąż widać!

Kucnąwszy obok, Matt ujrzał zastygłe w czasie i betonie, wypisane dużymi literami imię i nazwisko Teddi, a pod nim pięcioramienną gwiazdę.

- Mieszkałaś na tej ulicy... - powiedział cicho.

- Tak. - Pogładziła delikatnie rysunek. - Zamierzałam jechać do Hollywood i zostać najlepszą aktorką na świecie. To była moja gwiazda. Trochę dalej była gwiazda Johna Wayne'a...

Matt podszedł parę kroków i ryknął śmiechem. Istotnie, spostrzegł gwiazdę z nazwiskiem słynnego aktora, a dalej gwiazdę Katherine Hepburn i Seana Connery'ego. W Dry Creek w Oklahomie mała Teddi O'Brien stworzyła własną Aleję Gwiazd.

- Żeby je narysować, wykradłam się w nocy z domu. Do rana beton stwardniał. Członkowie rady miejskiej byli wściekli. Chcieli, żeby na koszt moich rodziców zrywać chodnik i kłaść nowy. Ojciec

odmówił. Tłumaczył, że przecież nie popisałam żadnych sprośności. Klócili się przez kilka tygodni, aż wreszcie sprawa przycichła.

- To miło, że marzenia Teddi O'Brien przetrwały.

- Też tak uważam.

Kiedy podniosła wzrok, oczy miała wilgotne od łez. Matt z całej siły musiał się powstrzymać, żeby nie zagarnąć jej w ramiona i nie przytulić do siebie.

- Gdzie stał twój dom?

- Widzisz tamten wielki dąb?

Drzewo rosło w dziwnym miejscu, wciśnięte między jezdnię a chodnik. Było duże, rozłożyste, ale jakby wykrzywione, z większością gałęzi skierowanych w jedną stronę. Przetrzymało tornado, nie zważyło się, ale mimo iż od tej pory minęło dwadzieścia lat, już nigdy nie zdołało się wyprostować.

- Widzę.

- Właśnie tam mieszkałam.

- Na drzewie? - spytał z uśmiechem.

- Czasem. - Teddi odwzajemniła jego uśmiech. - Na drzewie mieściła się moja ulubiona kryjówka. A ponieważ była ulubiona, to bez trudu mnie znajdowano.

Podeszli bliżej. Kiedy zatrzymali się pod grubymi, poskręcanyimi konarami, Teddi popatrzyła w bok, gdzie kiedyś stał dom.

- Dobrze, że go nie ma - szepnęła.

- Co?

- Dobrze, że nikt go nie odbudował. Chyba bym tego nie zniosła.  
- Wzięła od Matta plik fotografii i zaczęła je przeglądać. Po chwili wyciągnęła jedną. - Spójrz, tak wyglądał.

Matt spojrział na zdjęcie i zrobiło mu się słabo. Z jednej strony domu tkwił wbity w ścianę samochód, z drugiej strony brakowało całej bocznej ściany i kawałka sufitu, a przez powstały otwór widać było fragment sypialni z mosiężnym łóżkiem i pozbawioną drzwi szafą, w której wisiały jakieś ubrania. Nie zburzoną wewnętrzną ścianę wciąż zdobiło kilka obrazów.

Wiedział, że nie ma w tym nic niezwykłego, bo tornada często zachowują się w sposób nieprzewidywalny. Kiedyś oglądał zniszczenia, jakich dokonała trąba powietrzna szalejąca zimą - co już samo w sobie było dziwne; w domu, w którym zerwane były dwie ściany, odkrył stojącą w nienaruszonym stanie świątecznie przystrojoną choinkę.

Ale tamten dom nie należał do kobiety, którą kochał.

- Gdzie byłaś, kiedy to się stało?

Musiał o to spytać. Teddi przysunęła do zdjęcia drżącą rękę.

- Tutaj. - Wskazała łóżko nieopodal szafy. - A łóżko Cathy jest...  
o, tutaj. - Tym razem wskazała jakiś ciemny, zamazany kształt z brzegu fotografii.

Matt przyjrzał mu się uważnie; po chwili zorientował się, że jest to mosiężne łóżko, takie samo jak to pierwsze, tyle że całkiem zdeformowane. Dosłownie oniemiał z przerażenia.

- Spałyście w jednym pokoju? - wydusił wreszcie. Teddi skinęła głową. Nie patrzyła na Matta, patrzyła tam, gdzie kiedyś stał jej dom, i

ponownie przeżywała tamtą straszną noc. Twarz miała bladą, usta mocno zaciśnięte.

Nie mógł się dłużej powstrzymać i delikatnie dotknął jej ramienia. Kiedy nie odskoczyła powoli przesunął rękę niżej, do jej dłoni. Zaciśnęła palce wokół jego ręki i trzymała ją mocno, jakby on, Matt, stanowił pomost między terażniejszością a przeszłością.

- Nie musisz tego robić, Teddi - szepnął.

- Muszę. Po to przyjechałam do Oklahomy, żeby dłużej nie uciekać przed przeszłością. - Podniosła na niego wilgotne oczy. - A jak mam przestać uciekać, jeśli boję się spojrzeć na to, co mnie dręczy od lat?

Wyglądała tak delikatnie, tak krucho, że chciał ją przytulić i chronić przed złem. A jednocześnie był dla niej pełen podziwu za jej siłę i odwagę. Mur, który zbudował pomiędzy sobą a Teddi, runął niczym zamek z piasku na trasie tornada.

Nieco dalej wyjechał zza rogu samochód z zepsutym tłumikiem. Ogłuszający warkot wstrząsnął powietrzem i Teddi podskoczyła przerażona. Słowa same zaczęły wypływać jej z ust:

- Najbardziej utkwiał mi w pamięci ten potworny huk. Jakby pędził na nas pociąg towarowy. Obudziłam się, ale zupełnie nie wiedziałam, co się dzieje. Błyskawice rozświetlały pokój. Zdziwiłam się, że nie słychać piorunów. Tylko ten koszmarny, monotony huk. Spojrzałam na Cathy, która usiadła zaspana na łóżku, a potem nagle zrobiło się ciemno. Usłyszałam okropny łoskot; dom zatrzęsł się, jakby zaraz miał się przewrócić. Dach trzeszczał, z sufitu dochodził jęk. Przez moment nie mogłam oddychać...

Urwała i wciągnęła głęboko powietrze, jakby chciała się przekonać, czy uczucie duszności, które ją ogarnęło, na pewno jest tylko wspomnieniem. Bo miała wrażenie, że koszmar zaczyna się od nowa. Obrazy z przeszłości przesuwały się jej przed oczami, powodując niehumaniczny ból. Jedynym pomostem z teraźniejszością była ręka Matta

- Kiedy następna błyskawica rozświetliła pokój - kontynuowała po chwili - Cathy już nie było. Wszystko zniknęło: łóżko, ściana, komoda, sprzęt stereo, wszystko i wszyscy. Po paru godzinach znaleźli mnie ratownicy; podobno tak mocno trzymałam się mosiężnych prętów łóżka, że siłą musieli odginać mi palce. - Na moment zamilkła; głos uwiązł jej w gardle. - Ja jedna przeżyłam. Rodzice nawet się nie obudzili. Samochód...

- Już dobrze, Teddi - szepnął.

Skinęła głową i popatrzyła w dół na ich splecione ręce.

- Przepraszam. - Speszona, chciała puścić dłoń Matta, ale on nie zwolnił uchwytu.

- Teddi, to normalne, że człowiek szuka jakiegoś pocieszenia...

Czułość i zrozumienie, które dojrzała w jego oczach, sprawiły, że coś w niej pękło. Nie była w stanie dłużej tłumić ani bólu, ani innych emocji, które dotąd tak dzielnie starała się ukryć przed światem.

- Dlaczego, Matt? - spytała, nie zwracając uwagi na łzy płynące jej po policzkach. - Dlaczego umarli? Dlaczego mnie zostawili?

Objął Teddy mocniej; tuliła się do niego, szlochając rozpaczliwie.

- Oni wcale nie chcieli umierać, Teddi - rzekł, głaszcząc ją po włosach. - Po prostu los tak zdecydował.

- Ale zabrali z sobą Cathy. Dlaczego mnie zostawili?

Nie potrafił jej odpowiedzieć ani ukoić jej bólu, nie chciał zaś pleść jakichś banałów. Jedyne, co mógł zrobić, to trzymać ją w ramionach - tam, gdzie było jej miejsce, a gdzie nie chciała, czy też nie mogła, na dłużej pozostać.

Łkała, aż wreszcie zabrakło jej łez. Kiedy w końcu wyzwoliła się z objęć Matta, poczuł się tak, jakby od nowa ją stracił.

W drodze powrotnej do Turner Teddi prawie się nie odzywała i była wdzięczna swym towarzyszom, że nie zadają jej pytań. Muzyka country wypełniała wnętrze samochodu, ale Teddi nie zwracała na nią uwagi. Była pochłonięta ważniejszymi rzeczami.

Zamierzała posłuchać rady Myry Brick i przed wyjazdem z miasta odwiedzić cmentarz, ale nie zdołała. Różne wydarzenia odżyły jej w pamięci, nie tylko śmierć siostry i rodziców, ale także zwykłe codzienne sprawy, o których dawno zapomniała lub nie chciała pamiętać: rodzinne obiady, kłótnie o czas powrotu do domu, wybuchy śmiechu z powodu jakichś zabawnych nieporozumień, majówki, wycieczki do zoo...

Całymi latami starała się pozbyć wspomnień, ponieważ przypominały jej o bólu. Teraz zrozumiała, że to był błąd. Że uciekając przed tym, co złe, nie dopuszczała do siebie tego, co dobre. Wiedziała, że jeżeli chce odzyskać równowagę, nie może chować głowy w piasek; musi pogodzić się z przeszłością, przejść do porządku nad tym, co przykre, aby móc się cieszyć tym, co miłe.

Już zmierzchało, kiedy dojechali z powrotem do ośrodka. W czwórkę wnieśli sprzęt do montażowni, po czym zaczęli zbierać się do wyjścia. Bryce, który widział, jak przed wyjazdem z Dry Creek Teddi, wstrząsana szlochem, stała w ramionach Matta, zawahał się, ale potem zerknął na meteorologa i szybko się pożegnał.

- Jak się czujesz? - spytał Matt, kiedy zostali sami.

- Nie najgorzej. Dobrze mi zrobiła dzisiejsza wycieczka. Mam wrażenie, jakbym odnalazła brakujący kawałek siebie. Tylko nie wiedziałam, że go zgubiłam. Dziwne, prawda?

- Nie, to całkiem naturalne. Każdy się zmienia, dorasta, a dorastając, zostawia za sobą jakąś część siebie. Niestety czasem zostawia za dużo.

- Chyba tak było ze mną. Chciałam uwolnić się od bólu, więc nie dałam sobie czasu na żalobę.

- Wrócisz do Dry Creek, zanim wyjedziesz z Oklahomy? Przed oczami stanął jej obraz cmentarza oraz świeżych grobów przykrytych stosami kwiatów.

- Nie. Jedna wizyta starczy. Nie mam tam czego więcej szukać. - Odwróciła się i zamknęła na klucz szafę ze sprzętem.

Matt zastanawiał się, czy Teddi delikatnie usiłuje dać mu do zrozumienia, że chce być sama. W Dry Creek potrzebowała jego wsparcia, ale to nie znaczy, że nadal go potrzebuje. Musiał jednak spróbować, zaryzykować, choć wiedział, że odmowa sprawi mu dotkliwy ból.

- Teddi... - Poczekał, aż na niego spojrzy, po czym spytał: - Może byś poszła ze mną na kolację? Jeśli nie chcesz rozmawiać o

tym, co dziś przeżyłaś, nie musimy. Możemy pomówić o sporcie, polityce lub...

- Pogodzie? - rzuciła z uśmiechem.
- Jeszcze ci ten temat nie zbrzydł?
- Zbrzydł. A co do kolacji, to...
- To co? - Czekał spięty, pewien, że zaraz usłyszy odmowę.
- Nie mam prawa ci się narzucać tylko dlatego, że nie chcę być sama.

Odetchnął z ulgą.

- Wcale się nie narzucasz. Przecież sam zaproponowałem.

Pragnęła z nim porozmawiać. Owszem, stęskniła się za nim, za jego towarzystwem, ale tym razem chodziło o coś więcej. Czuła, że Matt jest jednym z niewielu ludzi na świecie, którzy są w stanie zrozumieć, w jaki sposób tamto tragiczne wydarzenie sprzed dwudziestu lat zaważyło na jej życiu. Zawsze wiedziała, że może na niego liczyć - nawet wtedy, gdy ukrywała przed nim prawdę. Może gdyby mu ją wcześniej wyznała...

Ale gdybanie nie ma sensu. Popelniła błąd i teraz ponosi jego skutki.

- Dziękuję, Matt. Chętnie zjem z tobą kolację.

Pojechali do „Pogawędki”, każde swoim samochodem. Zajęli stolik za przepierzeniem, żeby mogli swobodnie rozmawiać, a jednocześnie nie czuć się zbyt izolowani od reszty gości. Matt był zaskoczony, że Teddi - tak jak wcześniej podczas obiadu - otwiera się, opowiada o swoim dzieciństwie. Z jej słów powoli wyłaniał się obraz



pełnej energii dziewczynki, której marzenia nie miały szansy się spełnić w tak małej miejscinie jak Dry Creek.

Rodzice chcieli, żeby była podobna do starszej siostry i nie potrafili zrozumieć, że w jej żywiołowości i braku pokory nie ma nic złego. Raz po raz starali się podciąć jej skrzydła - bezskutecznie. Wreszcie machnęli na nią ręką.

Słuchając wynurzeń Teddi, Matt przypomniał sobie pytanie, które wyrwało się jej, kiedy zwiedzali razem Oak Street.

- Teddi, naprawdę myślisz, że rodzice specjalnie cię zostawili?

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Nie. Nigdy mi to wcześniej do głowy nie przyszło. Prawdę mówiąc, zawsze sądziłam, że jest na odwrót. Że gdyby mogli wybierać, która córka ma przeżyć, wybraliby Cathy.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Ależ tak. - Skończyli jeść, więc siedziała wygodnie oparta o przepierzenie. - Kiedy byłam mała, czasem autentycznie ich nienawidziłam.

- Wszystkie dzieci czasem czują do rodziców nienawiść - powiedział. - Ja moich nie znosiłem za to, że mi nie pozwalali grać z chłopakami w baseball.

- Wciąż masz im to za złe?

- Jasne, że nie. Człowiek z tego wyrasta.

Przez chwilę bawiła się kuflem, obracając nim tak, by zostały na ściankach ślady po pianie.

- No widzisz? A ja nie wyrosłam - oznajmiła cicho. - Od dwudziestu lat jestem na nich wściekła.

- Za to, że chcieli, żebyś była taka jak Cathy?

- Nie. - Zamilkła, zastanawiając się, co Matt sobie o niej pomyśli. - Za to, że zmarli, nie dając mi szansy udowodnienia im, że wcale nie jestem taka zła. - Znów poczuła narastającą złość. - Pewnie by nie pochwalali tego, co robię, ale nigdy się o tym nie dowiem.

- Dlaczego mieliby nie pochwalać? - Chciał choć trochę zmniejszyć ból, który widział w jej oczach.

- Bo żyję inaczej niż tak zwane normalne kobiety - odparła z nutą sarkazmu w głosie. - Nie ustatkowałam się, nie wyszłam za męża, nie mam dzieci. Innymi słowy, nie spełniłam ich nadziei.

- Jesteś niesprawiedliwa, Teddi. Może istotnie chcieli, żebyś została szczęśliwą żoną i matką, ale co w tym złego? Myślę, że z czasem by cię zaakceptowali i cieszyli się z twoich osiągnięć.

- Pewnie masz rację - rzekła choć nie bardzo w to wierzyła. Pociągnęła łyk piwa. - Lepiej zmieńmy temat.

- Dlaczego? Boisz się, że dochodzimy do sedna? Że powiesz coś, co wolałabyś utrzymać w tajemnicy?

Natychmiast chciała zaprzeczyć, ale ugryzła się w język. Jednej rzeczy dowiedziała się o sobie w ciągu ostatniego miesiąca: że ma zbyt dużą łatwość w unikaniu tego wszystkiego, co mogłoby jej sprawić przykrość czy ból.

- Wiesz, Matt, świetny z ciebie psycholog.

- To samo powiedziałem kiedyś o tobie. Pamiętasz? Wtedy w Los Angeles?

- Proszę, proszę. - Roześmiała się. - Lekarzu, lecz się sam, tak? Robię, co mogę, Matt.

- I czynisz ogromne postępy.

- Mam nadzieję. - Ucieszyła ją jego pochwała. - Zresztą po tej pierwszej koszarnej pogoni mogło już tylko być lepiej.

- Nieprawda. Mogłaś jeszcze bardziej odgrodzić się od ludzi, ukryć głębiej swój strach, przywdziać kamienną maskę. Ty jednak wybrałaś inną drogę. Myślę, że wyjdiesz z tej próby silniejsza.

- To dziwne, zawsze uważałam się za silną, a tu nagle wszystkie moje wyobrażenia o sobie runęły. Na szczęście pomogła mi rozmowa z tamtymi ludźmi w Dry Creek. Przekonałam się, że nie jestem sama.

- Teddi, samotność to nie choroba. To wybór, jakiego się dokonuje. Taki sam jak to, czy przyjąć czyjeś zaproszenie na kolację.

Popatrzyła mu w oczy.

- Nie mówię o samotności w sensie fizycznym, Matt, lecz psychicznym. Czuję się wyobcowana. Inna.

Potrząsnął głową.

- Nie jesteś inna Teddi. W głębi duszy masz takie same potrzeby i pragnienia jak wszyscy. Jak wszyscy odczuwasz ból...

- Czasem trudno człowiekowi zrozumieć siebie - szepnęła. Przez chwilę Matt milczał, spoglądając na nią z zadumą.

- Dlaczego nie wyszłaś za mąż?

Zaskoczyło ją jego pytanie.

- Bo nigdy nie spotkałam mężczyzny, który by mnie w pełni akceptował. Moja praca onieśmiela większość facetów, a tym, którzy ją rozumieją i pochwalają, przeszkadza moja samodzielność.

Chciała dodać: „Myślałam, że ty jesteś inny”, ale nie dodała, bo i po co? Ten rozdział jest zamknięty. Wszystko wskazuje na to, że

pomiędzy nią a Mattem powoli zawiązuje się przyjaźń, ale na nic więcej żadne z nich nie może liczyć.

- A ty? Dlaczego się nie ożeniłeś? W końcu poza Laurą Cochran są jeszcze inne kobiety.

- To prawda - przyznał - ale Laura uświadomiła mi, że żadna nie wytrzyma tego stresu i napięcia, jakie się wiążą z moją pracą. Patrząc, jak ona cierpi po śmierci Joe'ego, a potem jak sama wychowuje syna, wiedziałem, że nie chcę nikogo narażać na tak wielki ból.

Postanowiłem przejść przez życie sam, bo nie wierzyłem, że istnieje na świecie kobieta, która potrafiłaby zrozumieć i zaakceptować moją pracę.

"Dopóki nie spotkałem ciebie" - Teddi wyczytała w jego oczach. Zrobiło się jej ciężko na sercu. Naprawdę Matta rozumiała. I naprawdę go kochała. Chciała dzielić z nim życie. Zdumiała się, albowiem nigdy dotąd taka myśl nie powstała jej w głowie. Wszystkie dotychczasowe romanse Teddy były intensywne, niekiedy burzliwe, ale krótkotrwałe. Dopiero przy Mat-cie zaczęła marzyć o rzeczach, o jakich przedtem nawet nie myślała.

Przez chwilę korciło ją, żeby powiedzieć mu to, ale wstrzymała się. Wprawdzie czuła się już znacznie lepiej, ale żeby dojść do pełnej równowagi, musiała jeszcze pokonać bardzo wiele barier i przeciwności. Wiedziała zaś, że dopóki nie ujrzy, co jest na końcu drogi, którą kroczy, nie może Mattowi składać żadnych obietnic.

Najgorsze było to, że nawet jeśli przysięgnie mu dożywotnią miłość, on i tak jej nie uwierzy. Okłamując go, straciła jego zaufanie; może byłaby w stanie je odzyskać, gdyby nie Laura. Tak czy inaczej

dopóki sama nie będzie pewna, co chce zrobić ze swoim życiem, przekonywanie Matta, że Laura się myli, nie ma sensu.

W zwykłe dni tygodnia „Pogawędkę” zamykano o dziewiątej wieczorem. Kiedy sprzątaczką zaczęła zmywać podłogę, zorientowali się, że reszta gości już dawno wyszła. Ich samochody były jedynymi na parkingu.

- Dzięki za szansę wygadania się - powiedziała, kiedy Matt podprowadził ją do czerwonego forda. - W ogóle dzięki za wszystko.

Skinął głową zadowolony, że mógł służyć jej wsparciem.

- Źle zaczęliśmy, prawda, Teddi? Bo od końca.

- Od końca? - Stała przy samochodzie, trzymając kluczyki w dłoni.

- Tak. Zostaliśmy kochankami, zanim mieliśmy szansę się zaprzyjaźnić.

- Faktycznie. Z mojej winy...

- Bez przesady. Nie zaciągnęłaś do łóżka opierającego się niewiniątka.

- To prawda. Ale oszukałam cię. Udawałam kogoś innego, niż byłam. Przepraszam, Matt. Wszystko bym dała, żeby to naprawić.

- Już dobrze. Oboje popełniliśmy błędy... Teddi uśmiechnęła się.

- Ale ja większe. Matt zaśmiał się.

- Moja dzielna, mała Teddi. Zawsze musi być najlepsza

- powiedział i nagle mina mu zrzędła, bo uświadomił sobie, że dzielna, mała Teddi nigdy nie będzie jego dzielną, małą Teddi.

- Przepraszam, Matt - powtórzyła. - Naprawdę nie chciałam cię skrzywdzić.

- Wiem. Za wiele oczekiwałem. Liczyłem na miłość do grobowej deski, a ty byłaś nastawiona na miły, niezobowiązujący romans.

- I wylądowaliśmy z niczym - rzekła cicho.

- Niestety, przeszłości nie da się cofnąć.

- Wiem. - Wyciągnęła rękę i położyła na jego ramieniu.

- Dzięki, Matt.

Jego oczy spochmurniały. Spięty, cofnął się o krok.

- Nie ma za co.

Teddi zrozumiała swój błąd. Dzisiejszy wieczór sprawił, że otworzyły się pomiędzy nimi drzwi, jednak jej potrzeba kontaktu fizycznego sprawiła, że się na powrót zamknęły. Może to i lepiej, pomyślała w duchu. W końcu nie ma Mattowi nic do zaoferowania prócz przeprosin za ból, jaki mu zadała.

A to za mało. I dla niej, i dla niego.

Po chwili Matt mruknął „dobranoc” i ruszyli każde w swoją stronę.

Czas uciekał. W ciągu następnych dwóch tygodni kilka razy wyjeżdżali w pogoń, ale ani razu nie mieli szczęścia. Szansa uchwycenia na taśmie wirującego słupa z każdym dniem malała, podobnie jak szansa udowodnienia przydatności Pandory. Teddi pracowała w pocie czoła, całymi godzinami przesiadując przy stole montażowym, zupełnie jakby dokumentem, który stworzy, chciała wynagrodzić Mattowi krzywdę. Wiedziała jednak, że bez dodatkowych ujęć tornada, bez dramatycznej pogoni, końcowy rezultat będzie płaski, nijaki.

Obiecała Mattowi, że nakręci porywający film i nie mogła znieść myśli, że znów sprawi mu zawód.

Stosunki między nimi nie poprawiły się od czasu kolacji w „Pogawędce”. Ilekroć Teddi patrzyła na Matta, wciąż widziała w jego oczach smutek, a także pewną rezygnację. Wprawdzie przestali się unikać i częściej rozmawiali, lecz nie mogli zburzyć muru, jaki sami wznieśli.

Teddi miała oczywiście świadomość, że nakładające się na siebie kłopoty, osobiste i zawodowe, powodują, u Matta ogromny stres. Któregoś dnia weszła do niego do gabinetu. Matt stał przed szafą z aktami, wyciągał kolejno różne szuflady, po czym z wściekłością wpychał je na miejsce.

- Co się stało? - spytała, zatrzymując się w drzwiach. Kiedy odwrócił się, jego twarz była równie posępna i zacięta jak burze, które tak bardzo kochał.

- Psiakość! - warknął. - Nie mogę znaleźć tych cholernych wykresów statystycznych! - Wrócił do przerwanej czynności.

Teddi nie miała pojęcia, o czym mówił, ale najwyraźniej poszukiwane wykresy musiały być dla niego bardzo ważne.

- Pytałeś Coreya? Zwykle on wszystko segreguje...

- Nie pytałem. Dziś po południu ma na uniwerku jakieś specjalne zajęcia laboratoryjne.

- Może ja bym ci mogła pomóc? - zaproponowała.

- Nie!

Teddi wzięła głęboki oddech i weszła do pokoju.

- Matt...

- Co? - Odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

- Powiedz mi, o co naprawdę chodzi?

Głos miała spokojny, kojący. Zbyt dobrze знаła Matta, by wierzyć, że brakująca teczka z aktami może go aż tak rozdrażnić. Zatrzasnął kolejną szufladę, wyładowując na niej część złości. Po chwili, tonem znacznie bardziej opanowanym, odpowiedział na pytanie Teddi.

- Ed Parker wezwał mnie rano do siebie. Prosił o ostateczny raport w sprawie Pandory, żeby można było oficjalnie zakończyć badania.

- Jak to? - W Teddi również wstąpiła złość na Parkera za jego gruboskórność. - Przecież sezon burzowy jeszcze trwa!



- Jeśli chodzi o Eda już się zakończył. - Matt usiadł z powrotem przy biurku. - Ed nigdy nie był wielkim zwolennikiem projektu i nie wierzy, żebym w ciągu tygodnia mógł cokolwiek udowodnić. Dla niego badania nad Pandorą to strata czasu i pieniędzy.

- Sezon jeszcze trwa - powtórzyła Teddi, starając się tchnąć w Matta trochę otuchy. - Jeszcze wszystko może się zdarzyć.

- W ciągu tygodnia? - spytał z powątpiewaniem. - Ed ma rację. Nic z tego nie będzie.

- W przeciwieństwie do rozgrywek baseballowych sezon burzowy nie kończy się jednego konkretnego dnia - przypomniała mu.

- Wyznaczyłeś termin, jeśli chodzi o filmowanie, i właśnie ten termin wkrótce mija, ale przecież po moim wyjeździe burze wciąż będą przetaczać się nad Oklahomą.

Po twarzy Matta przemknął cień niezadowolenia, szybko jednak opanował emocje. Nie chciał myśleć o wyjeździe Teddi, o tym, że już się więcej nie zobaczą.

- To prawda, sezon burzowy nie ma ściśle ustalonego czasu trwania, ale pieniądze kończą się równo za dziesięć dni.

- Nie poddawaj się. Nie wolno rezygnować.

Kiedy tak na siebie patrzyli, jej słowa zaczęły nabierać nowego znaczenia, nowej głębi. Jakby odnosiły się nie tylko do pracy Matta ale również do jego życia prywatnego.

Pragnęła go dotknąć, pocieszyć, ale tamtego wieczoru po kolacji w „Pogawędce” przekonała się, że to nie najlepszy pomysł. Zresztą uścisk dłoni lub inny czuły gest byłby tylko kiepską namiastką tego, o czym naprawdę marzyła.

Chwila tkliwości minęła. Matt chrząknął i wykrzywił usta w uśmiechu.

- Czemu zawdzięczam twoją wizytę?

- Wiem, że pora jest nieodpowiednia - rzekła - ale chciałabym wiedzieć, co z wywiadem.

Nie musiała mu tłumaczyć, o jaki wywiad jej chodzi. Matt doskonale wiedział. Odchylił się na krześle i pokręcił głową.

- Obawiam się, że nic z tego nie będzie. Trzy razy prosiłem Laure, żeby przemyślała wszystko i zmieniła decyzję, ale bez powodzenia. Musimy zadowolić się wywiadem, który w zeszłym miesiącu przeprowadziłaś z Johnem Hoganem.

Teddi zrobiło się żal, nie tylko siebie, ale także Matta. Wiedziała, że rozmowa z Laurą wiele by wniosła do filmu. Dzięki ogromnemu poświęceniu Laury, dzięki jej pracy w Miejskim Komitecie Przeciwdziałania Kłęskom, tutejszy program ostrzegania i pomocy uchodził za najlepszy w całym stanie. Kiedy Laura, mimo wcześniejszej obietnicy, odmówiła udzielenia wywiadu, Teddi nagrała rozmowę z jej współpracownikiem, Johnem Hoganem.

- Szkoda, Matt. Hogan to miły człowiek, ale siedział jak na szpilkach. Nie potrafił się rozluźnić. Musiałam ciągnąć go za język, żeby wydobyć jakiegokolwiek informacje. Pomijając wszystko inne, jego wiedza na temat programu ostrzegania i pomocy jest znacznie skromniejsza niż Laury.

- Psiakrew! Siłą Laury nie sprowadzę! - wybuchnął Matt, po czym zreflektował się: - Przepraszam, Teddi. To nie twoja wina.

- Częściowo moja. Wiem, jak się tym gnębisz.

Postępowaniem Laury zadręczał się nie tylko Matt, ale również Corey. Laura do syna też się nie odzywała. Zdaniem Teddi, bez powodu unieszczęśliwiała dwóch mężczyzn, którzy ją naprawdę kochali. Oczywiście Teddi nie miała prawa jej potępiać. Sama również przysporzyła Mattowi trochę bólu i cierpień.

- Nie przejmuj się, Matt. Poradzę sobie z materiałem, który mam.

Jednak po wyjściu z gabinetu uznała, że nie może zrezygnować. Wywiad z Laurą nie przesądzi o sukcesie lub porażce filmu, ale na pewno będzie dla niego korzystny. A zatem ona, Teddi, musi zrobić wszystko, aby przekonać Laurę do wzięcia udziału w filmie. Matt zasługuje na to, żeby dokument o tornadach był jak najlepszy.

Postanowiła wybrać się do Laury na rozmowę. Dwa miesiące temu Laura, nie owijając w bawełnę, powiedziała jej kilka przykrych prawd. Nadszedł czas, żeby się zrewanżować.

Widok małych, zielonych ludzików zdziwiłby Laurę mniej niż widok Teddi. Otworzyła niechętnie drzwi, ale nie zaprosiła Teddi do środka.

- Jestem zajęta - oznajmiła chłodno.

- Więc tym bardziej przepraszam za najście - rzekła Teddi przyjaznym tonem - jednak chciałabym z tobą chwilę porozmawiać.

- Wątpię, żebyśmy miały sobie coś do powiedzenia.

- Przekonajmy się.

Laura zawahała się moment, ale nie umiała poskromić ciekawości. Odsunęła się na bok, pozwalając Teddi wejść.

- Proszę. - Wskazała ręką kanapę.

Dom Laury, choć nieduży, był pięknie urządzone. Teddi dostrzegła wiele podobieństw między nim a domem Matta. Widocznie Laura nie tylko zaopatrywała swego przyjaciela w pyszne dania, ale również służyła mu radą w kwestii wystroju wnętrza.

- Jak tu ślicznie - powiedziała, siadając na obitej kwiecistą tkaniną kanapie.

- Bądź łaskawa przejść do rzeczy. Tak jak mówiłam, jestem zajęta. Przygotowuję przyjęcie weselne.

Teddi zrozumiała, że rozmowa z Laurą nie będzie łatwa.

- W porządku - rzekła. - Chcę z tobą pomówić o filmie. Zgodziłaś się udzielić wywiadu, więc najwyższa pora ustalić termin...

Laura przysiadła na krawędzi fotela i posłała Teddi lodowate spojrzenie.

- Moja droga, tylko tracisz czas. Mówiłam Mattowi, że się rozmyśliłam. Zresztą John Hogan wszystko ci dokładnie wytłumaczył...

- Nie bardzo - przerwała jej Teddi. - Program ostrzegania i pomocy jest twojego autorstwa. Wiesz o nim więcej niż ktokolwiek inny. Prawdę mówiąc, dziwi mnie, że poświęciwszy zagadnieniu tyle pracy, nie chcesz skorzystać z okazji, żeby go przedstawić szerszej widowni. Znajomość programu może uratować wiele istnień ludzkich...

Laura roześmiała się gorzko.

- Niezła jesteś, muszę ci to przyznać, ale nie dam się szantażować. Bez względu na to, co twierdzicie, wasz film po prostu gloryfikuje pracę łowców tornad.

- Na początku byłaś innego zdania - wytknęła jej Teddi.
- Ale zmieniałam zdanie.
- Zmieniałaś swój stosunek do Matta.
- To nie twój interes - warknęła Laura.
- A nie twoim był mój romans z Mattem - odgryzła się Teddi. -

Jeśli dobrze pamiętam, nie powstrzymało cię to przed wyrażeniem kilku niepoehlebnych opinii o mnie.

Punkt dla niej, pomyślała w duchu Laura.

- Nie chciałam, żeby Matt cierpiał.
- A teraz chcesz?- spytała Teddi. Kolejny punkt dla niej.
- Nie wiem, co ci Matt opowiedział, ale nie sędzę, żebyś była w stanie cokolwiek pojąć - oznajmiła sztywno Laura. -Matt zdradził naszą przyjaźń. Tego nie mogę mu wybaczyć.

Teddi zrobiło się jej żal. Pomimo butnej pozy Laura sprawiała wrażenie delikatnej, kruchej istoty.

- Przyjaciołom wiele się wybacza...
- Ale nie wszystko. - Laura potrząsnęła głową. - Gdybyś miała dzieci, może potrafiłabyś mnie zrozumieć, a skoro ich nie masz, to lepiej się nie wtrącaj.

- Lauro, widzę dwoje zaprzyjaźnionych ludzi, którzy cierpią bez powodu.

- Bez powodu? Ratowanie życia mojego syna jest dla mnie wystarczającym powodem!

- Gdyby twoja strategia odnosiła jakikolwiek skutek, przyznałabym ci rację, ale tak nie jest, prawda? - Teddi na moment zamilkła po czym mówiła dalej: - Dość dobrze poznałam Coreya. Jest

nieszczęśliwy; cierpi, że się od niego odcięłaś, ale nie zamierza rezygnować z pracy. Matt również jest nieszczęśliwy, ale nie może chłopaka wyrzucić z zespołu tylko dlatego, że ty tego chcesz. No i ty jesteś nieszczęśliwa, bo ubzdurzyłaś sobie, że Corey zginie. - Uniosła pytająco brwi. - Powiedz mi, Lauro, czy już zaczęłaś czynić przygotowania do pogrzebu?

Laura Cochran poderwała się jak oparzona.

- Jak śmiesz! Proszę stąd natychmiast wyjść! Teddi nie ruszyła się z miejsca.

- Jeszcze nie skończyłam.

- Mylisz się! Właśnie że skończyłaś. Nie mam ochoty wysłuchiwać tych plugawych bredni! Wiem, że przestaliście się z Mattem spotykać. Jeśli mnie za to winisz, w porządku, może niepotrzebnie się wtrącałam, ale nie musisz się na mnie mścić.

- Nikt się nie mści, Lauro. A już zwłaszcza Matt. Robi to, co jego zdaniem jest dla Coreya najlepsze.

- Nie ma prawa się mieszać.

- Tak sądzisz? A ja myślę, że dałaś mu to prawo. Chciałaś, żeby zastępował Coreyowi ojca, a tobie pomagał podejmować decyzje dotyczące wychowania syna.

- Co w tym złego? - spytała Laura szorstkim tonem. - Zostałam sama z małym dzieckiem, a Matt rwał się do pomocy.

- Wcale cię nie krytykuję, ale nie można dawać i odbierać.

Wykorzystałaś Matta...

- Ja? A ty? Uwiodłaś go, żeby sprawdzić własną odwagę! Czy może być coś gorszego?

- Owszem, może - odparła Teddi, nie wdając się w dyskusje na temat swej odwagi lub jej braku. - Powiedzenie komuś, kto latami był dla twojego syna jak ojciec: „Dobra, kochany, już starczy. Basta”.

- Wcale mu tego nie powiedziałam! - oburzyła się Laura.

- Czyżby? A jednak tak się zachowujesz. Tylko dlatego, że nie umiesz poradzić sobie z własnym lękiem...

- Mój mąż zginął, bo się uganiał za tornadami. Mój syn idzie w ślady ojca. Boję się, żeby też nie zginął. Czy to takie dziwne?

- Nie, ale czy to ci daje prawo decydować o jego życiu? Laura wbiła w nią mordercze spojrzenie.

- Wiesz co? Może porozmawiamy o tym, kiedy sama zostaniesz matką. Komuś, kto wiezie beztróskie życie, uwielbia ryzyko i dla frajdy wykonuje karkołomne ewolucje, zawód łowcy tornad może wydawać się zupełnie normalny. Ja natomiast nie lubię igrać ze śmiercią i nie chcę, żeby mój syn z nią igrał.

- Ależ nie igra. Ja też nie.

- Tak? To dlaczego tu przyjechałaś? Chryste, tornado zabiło ci rodzinę, a ty urządzasz sobie na nie polowanie!

Teddi nie miała pojęcia, jak to się stało, że z pozycji w ataku nagle znalazła się w obronie.

- Przyjechałam stawić czoło swoim lękom. Dawnym lękom, które pogrzebałam i o których istnieniu zapomniałam. Nie chcę ciągle uciekać od przeszłości, Lauro. Chcę zrozumieć to, co się zdarzyło przed laty, a potem przejść nad tym do porządku dziennego. Ty również powinnaś to zrobić.

Każdemu innemu Laura mogłaby powiedzieć: nie wiesz, co to znaczy stracić ukochaną osobę, być samą, przerażoną, pełną obaw co do przyszłości. Ale Teddi wiedziała. Teddi straciła wszystkich i wszystko, kiedy była młodą dziewczyną. Ona, Laura, przynajmniej była dorosłą kobietą, kiedy zginął jej mąż, poza tym miała syna, którym musiała się opiekować, i przyjaciela, na którym mogła polegać. Ale to nie zmieniało faktu, że Teddi O'Brien nie powinna krytykować jej metod wychowawczych.

- Skończyłaś? - spytała chłodno.

Teddi uświadomiła sobie, że niepotrzebnie się fatygowała. Rozmowa z Laurą nic nie dała. Laura nie zmieniła zdania; nie zamierzała udzielić wywiadu ani przebaczyć Mattowi.

- Tak - odparła; wstała i ruszyła do wyjścia. - Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

- Nie miałam wyboru. - Przystanął na moment przy drzwiach. - Nie przyjechałaś tu tylko z powodu wywiadu, prawda?

- Nie, nie tylko - przyznała Teddi.

- Czy to nie dziwne? Już nic was nie łączy, więc mój stosunek do Matta nie powinien cię obchodzić.

- A jednak obchodzi. Bo widzisz, Lauro, mam do Matta wiele ciepłych uczuć. I nie chcę patrzeć, jak cierpi.

- Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć.

- Wszyscy popełniamy błędy - powiedziała smutno Teddi. -

Wydaje nam się, że podejmujemy słuszną decyzję, a potem okazuje się, że kogoś unieszczęśliwiamy.

Laura przyjrzała się jej uważnie.



- Naprawdę go kochasz? - spytała.

- Tak. - Teddi skinęła głową.

- W takim razie żal mi was obojga.

- A mnie żal nas wszystkich, Lauro. Mamy wiele wspólnego. Na swój sposób wszyscy troje staramy się pogodzić z tragedią, jaka nas spotkała.

- Ty już się pogodziłaś?

- Jeszcze nie. Może nigdy nie zrozumieję, dlaczego stało się to, co się stało, ale próbuję dojść do ładu z przeszłością po to, żeby móc patrzeć w przyszłość.

- Ja też to robię - rzekła Laura.

- Wiem, ale jednocześnie chcesz decydować o życiu swojego syna. Nie trzeba być matką, żeby wiedzieć, że to się nigdy nie udaje. - Teddi otworzyła drzwi i wyszła na werandę. - Do widzenia, Lauro.

- Dowidzenia.

Laura zamknęła drzwi; oparła się o nie czołem, próbując nie myśleć o tym, co Teddi powiedziała. Jej argumenty brzmiały logicznie, ale serce matki buntowało się...

Matt wypił kolejny łyk piwa, po czym postawił butelkę na balustradzie biegnącej wzdłuż werandy i wbił wzrok w czarne niebo.

Tydzień. Nie, nawet mniej. Sześć dni. Do wyjazdu Teddi zostały - szybko przeliczył w głowie - sto trzydzieści dwie godziny. Za sto trzydzieści dwie godziny skończy się tortura i on, Matt, będzie mógł w miarę normalnie żyć.

Dwa miesiące temu był całkiem szczęśliwym człowiekiem. Uwielbiał pracę, w dodatku liczył na to, że uda mu się udowodnić swą

teorię na temat skuteczności Pandory. Czas wolny od pracy poświęcał Laurze i Coreyowi. Nagle w jego świat wtargnęła Teddi O'Brien, pełna temperamentu kobieta, dzięki której uwierzył, że życie może składać się z czegoś więcej niż pracy, teorii naukowych oraz rodzin zastępczych.

Dała mu nadzieję, a potem ją odebrała.

Marzył o tym, żeby Teddi wróciła już do Kalifornii, a jednocześnie bał się jej wyjazdu bardziej, niż go pragnął. Przez ostatnie dwa miesiące przeżywał istne katusze. Wodził za Teddi wzrokiem, ale nie mógł jej dotknąć; patrzył, jak przewycięża strach i próbuje odnaleźć siebie; słuchał jej dźwięcznego śmiechu, obserwował isierki w jej oczach... Każda chwila była dla niego piekłem.

Najgorszy był dzień, który spędzili w Dry Creek. Właśnie wtedy wszystko zrozumiał. Trzymając w objęciach szlochającą Teddi, zdał sobie sprawę, że nie powinien się łudzić. Po takiej tragedii, jakiej doświadczyła w dzieciństwie, nawet nieustraszona Teddi nie zechce się wiązać z łowcą tornad. Flirt czy romans - proszę bardzo, ale na pewno nie małżeństwo.

Pocieszał się, że może będzie mu łatwiej, kiedy Teddi wyjedzie, lecz sam w to nie wierzył. Zbyt duże odcisnęła piętno na jego życiu, zbyt dużą ranę zostawiła w sercu.

Opróżnił butelkę. Kusilo go, żeby iść po drugą, a może nawet nalać sobie czegoś mocniejszego, uznał jednak, że stan upojenia niewiele mu pomoże.

Dzwonek do drzwi wyrwał go z ponurych rozważań. Matt nie cierpiał, gdy ludzie użalali się nad sobą, a ostatnio sam zdecydowanie za często to robił. Obiecał sobie, że po wyjeździe Teddi skończy z tym raz na zawsze.

- Zaraz! - zawołał, idąc przez salon do drzwi. Ponieważ nie spodziewał się Teddi, nie przywdział swego pancerza ochronnego. Otworzył drzwi i na widok ukochanej kobiety poczuł, jak mu serce łomocze.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Matt, ale chciałabym z tobą porozmawiać.

- Wejdz. - Odsunął się na bok, żeby zrobić jej przejście. - Właśnie siedziałem na werandzie za domem, podziwiające piękną noc. Napijiesz się czegoś? - Wskazał głową na pustą butelkę, którą trzymał w ręce. - Piwa? Wina?

- Chętnie piwa.

- Za moment wrócę.

Udał się do kuchni, a kiedy po chwili wyłonił się z dwiema butelkami, Teddi czekała na werandzie. Twarz miała pocętkowaną; światło księżyca, które przedzierało się przez liście, tworzyło delikatne wzory na jej czole i policzkach. Pod Mattem ugięły się nogi. Wiedział, że dłużej nie wytrzyma, że musi znaleźć sposób na to, aby przestać ją kochać.

Ale wiedział też, że tego wieczoru na pewno się nie odkocha. Podał Teddi butelkę piwa, po czym oparł się o balustradę.

- O co chodzi? - spytał.

Teddi również oparła się o balustradę, zachowując pomiędzy sobą a Mattem sporą odległość.

- Zrobiłam coś bardzo głupiego - rzekła.

- Poczekaj, niech zgadnę... Skasowałaś wszystkie taśmy?

- Nie. - Uśmiechnęła się.

- Przeciążyłaś się i spowodowałaś spięcie?

- Też nie. - Przyjrzała mu się uważnie. - Ile dziś wypijeś? Matt uniósł butelkę.

- To dopiero druga. Nie bój się, jestem trzeźwy.

- To dobrze. Chyba dobrze. Zresztą sama nie wiem. Zmarszczył czoło.

- A co? Lepiej by było, gdybym wysłuchał cię w stanie lekkiego upojenia?

- Może. - Spoważniała. - Byłam przed chwilą u Laury.

- To raczej tobie przydałoby się coś mocniejszego.

Wbrew woli zaśmiała się.

- Cieszę się, że potrafisz z tego żartować.

- Mylisz się, Teddi, cała ta sprawa z Laurą szalenie mnie przygnębia. - Pociągnął łyk piwa. - Czuję się tak, jakby czegoś mnie pozbawiono, jakby chirurgicznie usunięto mi jakiś ważny organ. Nie wyrostek czy woreczek żółciowy, ale naprawdę coś ważnego. -

Odwróciwszy głowę, spojrzał w ciemne niebo. - Po co u niej byłaś? Co ci powiedziała?

- Poprosiłam ją, żeby jeszcze raz zastanowiła się nad wywiadem

- odparła. - Najpierw odwołałam się do jej poczucia

odpowiedzialności, a kiedy to nie zadziałało, po prostu nie

wytrzymałam. Od czasu, kiedy spotkałyśmy się u ciebie na przyjęciu, tyle się we mnie nazbierało złości, że... Nie wiem, czy przypadkiem jeszcze bardziej wam nie zaszkodziłam.

Matt wiedział, że nic nie może im bardziej zaszkodzić, i wcale się nie dziwił Teddi, że wygarnęła Laurze, co o niej myśli. Teddi nie należała do osób, które nie kończą napoczętych spraw.

- I co, rozniosłaś Laurę na strzępy?

Teddi uśmiechnęła się, szczęśliwa, że Matt nie jest na nią wściekły.

- Nie całkiem. Ona też mi co nieco wygarnęła. Między innymi ponownie oskarżyła mnie o to, że cię wykorzystałam. Powiedziałam jej, że ma ten sam grzech na sumieniu.

Pokrótkce streściła mu przebieg rozmowy z Laurą.

- W pewnym sensie masz rację - rzekł, kiedy skończyła. - Tyle że Laura nigdy nie prosiła mnie o pomoc. Jakoś tak samo wyszło.

Teddi oparła się biodrem o balustradę i przez długą chwilę w milczeniu wpatrywała się w twarz Matta.

- Jesteś porządnym facetem, Matt - powiedziała wreszcie, głosem cichym, delikatnym niczym pieszczota. - Masz szlachetne serce i głębokie poczucie sprawiedliwości. Przejmujesz się kłopotami innych, a kiedy się w coś angażujesz, to już na zawsze. To się nieczęsto zdarza. Naprawdę wyjątkowy z ciebie człowiek.

Poczuł, jak wzrasta w nim napięcie od nadmiaru emocji. Przełknął ślinę i moment odczekał, ale to niewiele mu dało.

- Cieszę się, że tak uważasz - rzekł wzruszony. - Dziękuję za komplement.

- To nie komplement, to prawda.

Miał ochotę porwać Teddi w ramiona, więc czym prędzej zacisnął ręce na balustradzie, po czym odwrócił głowę, żeby tylko na nią nie patrzeć, bo gdy na nią patrzył, pragnął tulić ją mocno do siebie.

- Czy mi się zdaje, czy ta rozmowa ma posmak pożegnania? - spytał.

Teddi również z trudem utrzymywała dystans pomiędzy sobą a Mattem, nie śmiała jednak przekroczyć tej niewidzialnej linii.

- Chyba ma - odparła. - Zostało już niedużo czasu, a oboje doszliśmy do takiej wprawy w unikaniu się, że... Nie wiem, czy nadarzy się inna okazja, a jest kilka rzeczy, które chciałabym ci powiedzieć.

- Na przykład?

Bał się tego, co może usłyszeć. Bał się rozstania.

- Na przykład, że miałeś rację.

Oderwał wzrok od ciemnych drzew w ogrodzie i spojrzał na jej twarz.

- Kiedy? W jakiej sprawie? - zapytał.

Odwróciła spojrzenie; czyniąc swoje wyznanie, nie potrafiła patrzeć mu w oczy.

- Od tamtego dnia w Dry Creek wiele się nad sobą zastanawiałam. Na Oak Street, gdzie stał mój dom, wybrałam się dlatego, żeby udowodnić samej sobie, że nie boję się wspomnień z przeszłości. I chyba... - Zawahała się, świadoma, że tym, co powie, sprawi mu ból. - Chyba ty też byłeś takim sprawdzianem. Na początku.

Mimo jej wcześniejszych zaprzeczeń, Matt doskonale o tym wiedział, a jednak poczuł bolesne klucie w sercu.

- No cóż. Dzięki za szczerość.

- Pamiętasz, kiedy w Los Angeles pocałowałam cię w moim domu?

Odruchowo zacisnął ręce na poręczy balustrady.

- Coś sobie przypominam...

- To był ten sprawdzian. Ten jeden pocałunek. Czułam do ciebie straszliwy pociąg, ale cały dzień usiłowałam go zwalczyć. Bałam się tego, kim jesteś. Tego, co robisz. Wieczorem, kiedy się żegnaliśmy, wiedziałam, że bez zachęty z mojej strony sam nigdy nie przekroczysz tej cienkiej linii dzielącej życie zawodowe od prywatnego. Więc cię pocałowałam. - Wzruszyła ramionami. - Możesz to nazwać, jak chcesz. Sprawdzianem odwagi, próbą...

- A tego wieczoru, kiedy się kochaliśmy? - spytał. Musi wiedzieć, musi znać odpowiedź. - Czy wtedy to też była próba?

Teddi uśmiechnęła się na wspomnienie tamtego cudownego wieczoru.

- Nie, Matt - odparła. - Wtedy to nie była żadna próba. Wtedy to była żądza. Pragnęłam cię tak bardzo, że nie robiło mi najmniejszej różnicy, czym się zajmujesz. Chyba w głębi duszy wierzyłam, że jesteś jedynym facetem na świecie, który może mnie zrozumieć. Nie tę nieustraszoną Teddi, którą wszyscy znają, ale tę prawdziwą, przerażoną, która ciągle ucieka od przeszłości. Tamtego wieczoru to nie był sprawdzian, Matt. To, co czuliśmy, co przeżywaliśmy, było autentyczne. Przynajmniej dla mnie.

Wpatrując się uważnie w jej szmaragdowe oczy, Matt nabrał przekonania, że Teddi nie kłamie. Przejęty, ledwo mógł oddychać. Wszelkie tarcze i mury, za którymi się krył, żeby nie zwariować, runęły; na jego twarzy malowała się już tylko miłość i tęsknota.

- Dla mnie również - powiedział cicho. - Dla mnie również tamten wieczór należał do najwspanialszych w moim życiu.

Wyciągnął rękę i opuszkami palców delikatnie pogładził Teddi po policzku. Chwilę później, zanim się zorientował, co robi, ujął ją pod brodę i powoli obrócił w swoją stronę. Przysunęła się krok bliżej i nagle tama pękła. Matt chwycił Teddi w objęcia i zaczął ją całować, dając upust tłumionym od dawna emocjom.

Ona równie gorliwie odwzajemniała jego pasję i żar, miłość i pragnienie. Tak długo na to czekała, tak długo o tym marzyła...

Jego ręce przesuwały się po jej ciele, gładząc ją, pieszcząc, dostarczając jej niezwykłych rozkoszy. Pojękując cicho, w uniesieniu wpijała się w jego wargi. Ich pocałunek był jak ogień, który wymknął się spod kontroli. Chciała, by ją trawił bez końca, by gorące płomienie docierały wszędzie. Pragnęła kochać się z Mattem, a gdy już będzie po wszystkim, pragnęła wyznać mu swoją miłość. Pragnęła w nocy dać mu siebie, a rano obietnicę, że zostanie z nim na zawsze.

Ale gdzieś z głębi duszy, spod pokładów żaru i chuci, dobiegł ją wewnętrzny głos, mówiący, że nie powinna czynić takich obietnic. Owszem, kochała Matta i chciała go uszczęśliwić, lecz aby mogli razem iść przez życie, musiała najpierw pogodzić się z sobą i swoją przeszłością. Nie mogła Mattowi ofiarować tylko części siebie. Zasługiwał na więcej - na całość.



A prawda była taka, że pomimo cierpienia, na jakie naraziła i siebie, i Matta, pomimo lęków, które stopniowo przezwyciężała, i sprawdzianów, którym się poddawała, Teddi nie odnalazła jeszcze wszystkich brakujących kawałków siebie. Wiedziała, że dopóki tego nie zrobi, może najwyżej podarować Mattowi jedną noc, noc pełną namiętności, która niczego jednak nie zmieni.

Matt też to wiedział. Potrafił nawet dokładnie określić, kiedy Teddi to sobie w pełni uświadomiła, bo w pewnym momencie ich pocałunek stał się mniej natarczywy, a bardziej czuły. Tak, Matt pragnął czegoś więcej niż jednej nocy, czegoś więcej, niż Teddi mogła mu dać.

Ból, który ścisnął go za serce, po chwili przeszedł w gorycz. Matt wciągnął gwałtownie powietrze i odepchnął Teddi od siebie. Ział do niej nienawiścią. Chyba jeszcze nikogo tak bardzo w życiu nie nienawidził. A potem nagle spojrzał w jej oczy i dostrzegł w nich ból równie wielki jak jego własny.

Nienawiść wyparowała, pozostała tylko pustka.

- Lepiej już idź - powiedział cicho, kierując się do domu. - Znasz drogę.

W kwiaciarni o wdzięcznej nazwie „Niezapominajka” Teddi zamówiła trzy bukiety barwnych wiosennych kwiatów, które wzięła z sobą na cmentarz. W drodze do Dry Creek-przez większość czasu towarzyszyła jej mżawka, ale w południe niebo się wypogodziło, tak jak przewidział Matt. Nawet na Teddi nie spojrział, kiedy na porannej odprawie zespołu ogłosił, że raczej nic nie wskazuje na to, aby dziś mieli ruszyć w pogoń.

Właśnie wtedy Teddi podjęła decyzję o kolejnej wyprawie do Dry Creek. To znaczy samą decyzję podjęła w nocy, kiedy nie mogąc zasnąć, ciskała się po łóżku, a rano po prostu uznała, że skoro nie będą dziś polować na tornado, najlepiej skorzystać z okazji i jechać od razu. Wczoraj wieczorem, kiedy Matt zostawił ją na werandzie, a sam skierował się do domu, przez moment kusiło ją, aby go zawołać, powstrzymać. Była gotowa obiecać mu wszystko, żeby tylko spędzić w jego ramionach tę jedną noc.

Ale jedna noc jej nie satysfakcjonowała. Chciała spędzić z Mattem resztę życia. Wiedziała jednak, że nie może składać mu żadnych obietnic, dopóki nie otworzy pewnych drzwi, których przed miesiącem nie miała nawet odwagi uchylić. Musi je otworzyć, po czym przestąpić próg i zapalić wszystkie światła, by rozproszyć panujący wewnątrz mrok, a następnie bardzo dokładnie przyjrzeć się temu, co się w środku znajduje. Dopiero gdy to uczyni, odzyska

spokój i równowagę; stanie się kobietą godną takiego mężczyzny jak Matt.

Dlatego teraz klęczała przed trzema grobami, które zbyt długo stały zaniedbane. Oczyszczyła je, wyrwała porastające ziemię chwasty, po czym zmusiła się, aby wrócić myślami - i sercem - do przeszłości.

O ileż łatwiej było ignorować ból, udawać, że go nie ma, niż gmerać we własnej duszy. Ale to właśnie robiła. Nie ukrywała dłużej żadnych uczuć, żadnych emocji. Rozmawiała z rodzicami i siostrą, tak jakby oni byli obok i mogli ją słyszeć. W pewnym sensie chyba mogli. Rodzina, którą straciła w młodości, nadal w niej żyła, zamrożona w jej pamięci, nie zmieniona przez czas. Gdyby rodzice i Cathy nie zginęli dwadzieścia lat temu, byłiby teraz innymi ludźmi. Zmieniłyby się ich poglądy, spojrzenie na życie. Istniejące dawniej różnice zdań albo by zniknęły, albo by się pogłębiły.

Teddi pragnęła pogodzić się z przeszłością, zaakceptować ją. Jako dziecko była małym nieposłusznym łobuziakiem. Swoim rodzicom ciągle sprawiała zawód. Nie byli w stanie jej zrozumieć. Kochali ją, tak jak wszyscy rodzice kochają swe dzieci, ale ona zawsze miała wrażenie, że ich miłość bierze się z poczucia obowiązku. Nawet nie była pewna, czy ją lubią, wiedziała jednak ponad wszelką wątpliwość, że zamiast niej woleliby mieć zupełnie inne dziecko.

Siedząc w słońcu, opowiadała rodzicom, co zrobiła ze swoim życiem. Opowiadała im o swoich przyjaciółach i dokonaniach. Mała dziewczynką która kiedyś wdrapała się na wieżę ciśnień, żeby się przekonać, czy z wysoka widać Anglię, zjeżdżyła cały świat. Wspinała

się po górach i ścianach lodowców. Usiłowała pobić rekordy prędkości. Niczym orzeł szybowiała w przestworzach. Zdobyła szacunek środowiska filmowców. Nakręciła mnóstwo filmów dokumentalnych. Wiele lat od dziś ludzie nadal będą je oglądać i mówić: „Taka była Teddi O'Brien. To zrobiła to widziała, to osiągnęła”.

Kiedy tak rozmawiała z rodzicami, gdy wylewała z siebie żale i pretensje, gdy opowiadała im o swoich radościach, smutkach i przygodach, w pewnym momencie zrozumiała, że filmy służą również czemuś innemu. Że nie tylko stanowią dokument ukazujący różne aspekty życia, ale świadczą też o jej wartości jako człowieka.

- Wiem, że wolelibyście, żeby przeżyła Cathy - powiedziała łamiącym się głosem. - Zawsze to wiedziałam. Gdybyście mogli wybierać, która z nas ma przeżyć, która najwięcej w życiu osiągnie i przysporzy wam najwięcej dumy, bez wahania wybralibyście Cathy. - Otarła spływające po policzkach łzy. - Kto wie, może mielibyście rację. Cathy wyszłaby za męża i urodziła kilkoro dzieci, waszych wnuków. Działałaby w Komitecie Obywatelskim, na pewno zostałaby przewodniczącą komitetu rodzicielskiego. Miłą kochana Cathy, zawsze śpiesząca innym z pomocą, byłaby przez wszystkich uwielbiana. - Teddi przełknęła ślinę. - Ale ja chyba nie spisałam się najgorzej, co, mamusiu? Czy gdybyś żyła, byłabyś ze mnie dumna? Choć trochę?

- Teddi, dziecino...

Kiedy usłyszała za sobą wysoki, piskliwy głos, myślała, że z przerażenia wyzionie ducha. Czym prędzej jednak wzięła się w garść,

przetarła rękawem łzy i obejrzała się. Zobaczyła stojącą obok Myrę Brick.

- Dzień dobry, pani Myro... - wykrztusiła. Staruszka poklepała Teddi po ramieniu.

- Przepraszam, moja droga. Nie powinnam była ci przeszkadzać. Po prostu zaskoczył mnie twój widok.

Teddi podniosła się z ziemi.

- Chciałam złożyć kwiaty na grobach.

- Są śliczne - rzekła Myra, po czym wzdychając smutno, spojrzała na mały bukiet róż, który trzymała w ręce. - Szkoda tylko, że tak szybko więdną.

- To prawda. - Teddi ponownie przetarła oczy. - Ale nie chciałam przynosić sztucznych. Wolę świeże i pachnące...

- Ja też. - Myra wskazała brodą w stronę bramy cmentarnej. - W każdy piątek kursuje tu specjalny mikrobus. Przyjeżdżam nim do Leona i zawsze przywożę mu kilka róż, które najpiękniej tego dnia kwitną w ogrodzie. - Nagle staruszka przechyliła na bok głowę i popatrzyła uważnie na Teddi. - Dobrze się czujesz, kochanie?

- Tak, doskonale.

- Pewnie masz mnóstwo spraw do omówienia z rodziną? Teddi uznała, że nie ma sensu zaprzeczać, iż prowadziła ze swymi bliskimi rozmowę.

- Tak... Czy pani rozmawia z Leonem?

- Ależ naturalnie! - odparła z uśmiechem staruszka. -

Oczywiście on mi słowem nie odpowiada, ale ja i tak wiem, że mnie słyszy. Podobnie jak Nora z Bobem słyszą ciebie.

- Mam nadzieję.

Myra Brick nie zdradzała najmniejszej ochoty do odejścia. Patrząc na nią, Teddi pomyślała sobie, że pewnie staruszce znudziły się monologi i marzy o tym, aby wreszcie móc z kimś normalnie porozmawiać. Zdziwiła się jednak, kiedy Myra zaczęła opowiadać o jej, Teddi, rodzicach.

- Pamiętam, kiedy Nora i Bob kupili miejsce pod grób. Mój Leon zasiadał w radzie, która zajmowała się sprzedażą kwater...

- Nic o tym nie wiedziałam. Staruszka poklepała ją po ręce.

- Byłaś dzieckiem, kochanie. Bardziej interesowały cię takie rzeczy jak kradzież pomidorów z mojego ogródka niż kupno przez rodziców działki na cmentarzu.

- Kiedy ją nabyli? - Formalnościami pogrzebowymi zajęła się ciotka. Teddi nigdy nie pytała jej o szczegóły pochówku.

- Kilka lat przed śmiercią. Nie pamiętam dokładnej daty, ale pamiętam, jak się razem tu wybraliśmy: ja, Leon i twoi rodzice. W owym czasie pomagałam Leonowi z robotą papierkową, prowadziłam kartotekę, zapisywałam uwagi i życzenia klientów... - Krzywym, artretycznym palcem wskazała pusty kawałek ziemi obok nagrobka Nory O'Brien. - Pewnie wiesz, że to miejsce przeznaczone jest dla ciebie?

Teddi poczuła, jak nagle wszystko w niej zastyga.

- Dla mnie?

- Tak. To twój grób - odparła Myra tonem tak spokojnym, jakby mówiła: „Twój kapelusz” lub „Twoje buty”. Po chwili kontynuowała:

- Nora z Bobem kupili cztery przyległe działki. Wyraźnie zażyczyli

sobie, żeby ich dwoje pochowano w środkowych, Cathy kazali pochować po stronie ojca, a ciebie po stronie matki.

- Nie miałam o niczym pojęcia - szepnęła Teddi.

- Leon próbował wyperswadować im ten pomysł. Oczywiście nawet nie przypuszczał, że zaledwie kilka lat później cała trójka straci życie. Nie, po prostu usiłował wytłumaczyć twoim rodzicom, że prawdopodobnie ty i Cathy będziecie wolały być pochowane obok swoich mężów, a pojedyncze miejsca znacznie trudniej potem odsprzedać - wyjaśniła staruszka. - Ale oni się uparli. Nora oznajmiła, że chcą z Bobem leżeć koło córek, żeby ciągle was mieć na oku.

Tama pękła. Teddi nie była w stanie dłużej pohamować płaczu; łzy ciekły jej po twarzy nieprzerwanym strumieniem. Matka pragnęła mieć ją na oku. Wszystko sobie do końca zaplanowała. Zależało jej, aby po śmierci mieć koło siebie młodszą córkę. A zatem chyba musiała ją kochać.

Myra Bricks delikatnie ujęła Teddi za łokieć.

- Och, mój Boże. Nie chciałam cię, kochanie, zasmucać. Jestem starą kobietą, która lubi wspominać dawne czasy.

- Nic się nie stało - rzekła Teddi, uśmiechając się przez łzy. - Cieszę się, że mi pani o tym opowiedziała. Mama pewnie wychodziła z założenia, że nawet w życiu pozagrobowym będę wymagała opieki i nadzoru.

- Wciąż patrzysz na rodziców oczami małego dziecka, prawda? - Staruszka okazała się wyjątkowo przenikliwa.

- Chyba tak. Inaczej nie umiem.

- Oni cię kochali, Tereso. Nie umieli okiełznać twojej dzikiej, psotnej natury, ale darzyli cię wielką miłością.

Choć bardzo tego pragnęła, trudno było Teddi uwierzyć w słowa staruszki.

- Chcieli, żebym była taka jak Cathy...

- Dziwisz się? - Myra zachichotała. - Cathy nie skakała z dachów i nie wdrapywała się na wieżę ciśnień. Rodzice po prostu bali się o ciebie. Bali się, że ich kochane maleństwo zrobi sobie krzywdę...

Teddi poczuła skurcz, jakby ktoś przekręcał klucz w jej sercu. Raptem drzwi się otworzyły: ze środka zaczęły wysypywać się nagromadzone żale i wątpliwości, pozostawiając za sobą cudowną błogość i spokój.

- Dziękuję, pani Myro - szepnęła, wierzchem dłoni ocierając z policzków łzy.

- Za co, moje dziecko?

Teddi potrząsnęła głową, nie potrafiąc znaleźć właściwych słów.

- Po prostu dziękuję.

Droga powrotna do ośrodka trwała trzy godziny i były to najdłuższe trzy godziny, jakie Teddi kiedykolwiek przeżyła. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie dojedzie na miejsce. Odnalazła bowiem to, czego tak długo szukała. To, czego zawsze jej brakowało. Pewność, że była kochana - że zasługiwała na miłość.

Oczywiście wspomnienia starej kobiety jeszcze o niczym nie świadczyły, ale Teddi nie potrzebowała dowodów na piśmie. Ważne było jej samopoczucie. Po raz pierwszy w życiu nie czuła się wybrakowana, niepełna. Po raz pierwszy w życiu znikł mrok,



wszystkie drzwi były otwarte, słońce wpadło do środka. Wreszcie mogła dać Mattowi obietnicę, którą tak bardzo pragnął usłyszeć.

A jeśli nie uwierzy? Był pewny, że z powodu tragicznych wydarzeń, jakie miały miejsce w jej przeszłości, nie mogą razem budować przyszłości. Musi go przekonać, że się myli. Jeżeli nie zdoła go przekonać od razu, będzie przekonywać tak długo i skutecznie, aż w końcu nie będzie miał nawet cienia wątpliwości.

Nie mogła się doczekać spotkania.

Im bliżej było do Turner, tym bardziej się niecierpliwiła. Jakieś dwadzieścia minut od ośrodka nagle dojrzała coś, co sprawiło, że przeniknął ją dreszcz podniecenia. Po czternastu pościgach, po nieustannej obserwacji nieba i dziesiątkach godzin spędzonych na oglądaniu filmów o burzach i tornadach, nauczyła się dostrzegać różnicę pomiędzy niewinnie wyglądającą białą chmurą, która wkrótce rozplynie się w powietrzu, a taką, która przeobrazi się w potężną chmurę burzową.

Ciemna, skłębiona chmura, którą miała naprzeciw siebie, była z tego drugiego gatunku. Na oczach zafascynowanej Teddi rosła, pęczniała i niczym wygłodzony potwór, w którego się z wolna przeistaczała, kolejno pożerała wszystkie mniejsze chmury na swej drodze.

W czasie porannej odprawy Matt przewidywał, że będzie ładny, słoneczny dzień, Teddi jednak wiedziała, że nie należy się dziwić niespodziewanym zmianom pogody. Niekiedy mieli kilka dni, żeby przygotować się do wyjazdu w teren, kiedy indziej wyjazdy, które wydawały się niemal na sto procent pewne, bywały w ostatniej chwili

odwoływane. Zdarzało się też tak jak teraz, że chmury burzowe nadciągały nagle i bez zapowiedzi.

Była podniecona tym, co się działo na niebie, a jednocześnie rozczarowana. Oboje potrzebowali burzy - Matt, aby wreszcie udowodnić przydatność Pandory; ona, aby uzyskać ciekawszy materiał do filmu - ale ta chmura pojawiła się całkiem nie w porę. Burza narastała na wschód od Turner. Teddi nie miała wątpliwości, że gdy dojedzie do ośrodka, Matt z zespołem będzie szykował się do pogoni, może nawet już będzie w drodze. Pragnęła mu powiedzieć, jak ogromnie go kocha, zdawała sobie jednak sprawę, że gdy czarne niebo rozdzierają błyskawice, nie czas na miłosne wyznania.

Dochodziła czwarta po południu, kiedy dotarła do ośrodka. Chmura wisiała na zachodnim horyzoncie, przytłaczające swoim rozmiarem kopułę, w której mieściła się stacja dopplerowska. Teddi wbiegła do budynku, mając nadzieję, że zespół jeszcze nie wyruszył w pogoń, ale ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła że praca w ośrodku toczy się normalnym trybem. Nikt się nigdzie nie spieszył, nikt podniesionym głosem nie wydawał żadnych poleceń. Zdumiona, przystanąła na moment przy szklanej ścianie, za którą znajdowała się stacja kontrolna, i zajrzała do środka. Technicy siedzieli, pijąc kawę i zimne napoje; spokojnie wykonywali swoje obowiązki, nie zwracając uwagi na ekrany radarów.

Czyżby się pomyliła? Czyżby to był najzwyczajniejszy w świecie, niewinny cumulus? Nie mogła w to uwierzyć. Zbyt dobrze знаła wszystkie oznaki zbliżającej się burzy.

Wciąż zdumiona brakiem jakiegokolwiek aktywności, ruszyła na poszukiwanie Matta. Instynkt podpowiadał jej, że to jest właśnie ta burza, na którą od dawna czekają, chciała więc osobiście powiadomić o niej Matta.

Kiedy Matt wyszedł na korytarz i ujrzał podążającą w jego stronę Teddi, ledwo powstrzymał odruch, aby się cofnąć i ukryć w gabinecie. Nie chciał się z nią widzieć ani dziś, ani jutro. Specjalnie skrócił poranną odprawę, żeby jak najmniej czasu przebywać z Teddi w jednym pokoju, potem zaś odetchnął z ulgą, gdy Bryce powiedział mu, że wzięła dzień wolny, bo ma jakieś sprawy do załatwienia. Jedynie świadomość, że nie spotka jej na terenie ośrodka, pomogła mu przetrwać dzień.

- Matt!

Zacisnął zęby i odwrócił się, powtarzając sobie w myślach, że zostało już tylko pięć dni tej tortury. Jednakże promienny uśmiech, jaki dojrzał na jej twarzy, sprawił, że te pięć dni nagle wydało mu się wiecznością. Nie rozumiał, jak Teddi może być tak szczęśliwa po tym, co zaszło wczorajszej nocy. Dlaczego jej oczy błyszczą jak diamenty? Dlaczego ona sama promienieje radością? Dlaczego jest tak niebywale piękna? I dlaczego, do jasnej cholery, on tak bardzo ją kocha?

- O co chodzi? - spytał oschle.

Szedł w stronę stacji kontrolnej i nawet nie zwolnił kroku. Nie miał ochoty bawić się w uprzejmości. Minał Teddi, nie racząc na nią spojrzeć. Wciągnęła gwałtownie powietrze. Widziała nieumiejętnie skrywany ból w jego oczach, miała jednak dla Matta dwie

wiadomości, jedną natury osobistej, drugą natury służbowej, które - jak sądziła - ów ból zlikwidują. Wiadomość dotyczącą burzy musiała przekazać najpierw.

- Wiem, jak możesz zaoszczędzić kupę forsy - rzekła, zrównawszy się z nim.

Matt patrzył prosto przed siebie. Sam jej głos, tak pełen radości i zapału, działał na niego podniecająco.

- No?

- Wyrzuć cały ten specjalistyczny sprzęt, który tylko zagraca stację kontrolną, i zamiast tego postaw na dachu czatownika.

Matt wreszcie się zatrzymał.

- O czym ty, do licha, mówisz? - spytał.

- Wyjrzyj przez okno - powiedziała, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. - Wisi nad nami chmura burzowa wielkości małej planety. - Trochę przesadziła z rozmiarem, ale kto by się tym przejmował!

- To niemożliwe - burknął, choć oczywiście miał świadomość, że jeśli chodzi o pogodę, wszystko jest możliwe.

- A ja ci mówię, że pod twoim nosem zanosi się na istną nawałnicę.

Matt ruszył pędem na parking, Teddi tuż za nim.

- Zaledwie dwie godziny temu wypuściliśmy balon meteorologiczny. Wszystko było w normie. Dane satelitarne z godziny piętnastej nie wskazywały na jakiegokolwiek zmiany. Radar również nic nie pokazuje. Musiałś pomylić cumulonimbusa ze zwykłym cumulusem.

- Zaraz sam się przekonasz.

Wybiegł z budynku i stanął jak wryty. Chmura znajdowała się w odległości piętnastu czy dwudziestu kilometrów od Turner i nie ulegało wątpliwości, że jest to najprawdziwszy cumulo-nimbus. Teddi ma rację. Znosi się na wielką, wspaniałą burzę.

Odwrócił się i pognał z powrotem do ośrodka. Teddi deptała mu po piętach.

- No i co? Dobrze się spisałam?

Nie potrafił się oprzeć jej lśniącem radośnie oczom. To była ta sama Teddi, którą przed kilkoma miesiącami spotkał na kalifornijskiej pustyni: pełna temperamentu, nieposkromiona i nieustraszona, pozbawiona jakichkolwiek kompleksów czy zahamowań. Widząc ją tak szczęśliwą i dumą z siebie, nie mógł się dłużej na nią złościć. Jego gniew się ulotnił niczym kamfora, pozostał tylko smutek, żal oraz poczucie dotkliwej straty.

- Doskonale - odparł. - Na medal.

- Powiem chłopakom, żeby szykowali mikrobus.

- Dobra. Spotkamy się za dziesięć minut. - Skreślił w boczny korytarz.

- Matt! - Nie chciała go jeszcze puścić. Zatrzymał się i obejrzał.

- Co?

- Z tej burzy zrodzi się tornado. - Uśmiech miała zaraźliwy.

- Oby.

Przez chwilę wpatrywała się w niego intensywnie, mając nadzieję, że Matt wyczyta z jej oczu, jak bardzo go kocha.

- Jak będzie po wszystkim, musimy porozmawiać - rzekła.

Pokręcił głową; nieśmiały uśmiech, jaki gościł na jego twarzy, znikł.

- Nie, Teddi. Nie mamy o czym - powiedział, ruszając pośpiesznie przed siebie.

Pragnęła za nim pobiec, chwycić go za rękę i wytłumaczyć, że się myli. Zamiast tego wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić swoje skołatanе serce, po czym rzuciła się pędem w stronę montażowni.

- Kochani, zbierajcie się! - zawołała, wpadłszy do pokoju, i skierowała się do szafy, w której trzymali sprzęt. - Pora zakasać rękawy!

Bryce podniósł wzrok znad stołu montażowego, a Griff— nawet nie przekrzywiając czapki baseballowej, którą nosił zarówno na dworze, jak i w środku - zdjął z uszu słuchawki i spytał:

- Co się dzieje?

- Jedziemy na łowy.

- Dzisiaj? - Bryce zerknął na zegarek. - Już po czwartej. Zanim dotrzemy na miejsce...

- Chmura burzowa wisi niemal tuż nad nami. Matt prosił, żebyśmy byli gotowi za dziesięć minut.

- Nie wierzę - mruknął Griff, wyłączając dźwięk. - Czy matka natura nie mogła dać nam ostrzeżenia?

Teddi przewiesiła przez ramię torbę ze sprzętem.

- Nie bez kozery zjawiska atmosferyczne określa się mianem pogody - rzekła.

- Nie rozumiem... Uśmiechnęła się łobuzersko.

- Bo z jej kapryсами trzeba się pogodzić.

Obaj mężczyźni jęknęli. Griff nawet zdjął czapkę i cisnął ją w Teddi.

- No dobra, przyznaję, że to mało dowcipne - powiedziała dobrodusznie, odrzucając Griffowi czapkę. - Ale wstawajcie i w drogę.

Kiedy spotkali się na parkingu, chmura dominowała już nad całym krajobrazem. Niemal przez godzinę krążyli tam i z powrotem po krętych, wiejskich drogach, zanim udało im się zająć dogodną pozycję. Do tego czasu chmura, która z początku przypominała miękką watę cukrową, zamieniła się w groźnie wyglądającą sinoczną kurtynę. Około piątej Matt wreszcie wydał polecenie, by stanąć; pojazdy zatrzymały się i wszyscy natychmiast przystąpili do swoich zadań.

Bryce z Griffem rejestrowali na taśmie poczynania naukowców. Teddi nagrywała rozmowy. Stojąc w mikrobusie ze słuchawkami na uszach, obserwowała uważnie niebo, szukając czegoś, jakiegoś znaku, który świadczyłby o tym, że ta pogoń będzie inna od poprzednich.

Nagle przez słuchawki dobiegł ją podniecony głos Matta.

Pandora wreszcie dała pozytywny odczyt. W chmurach nieopodal tworzyło się tornado.

- Piętnaście, najwyżej dwadzieścia minut - odpowiedział Matt na pytanie, ile mają jeszcze czasu, zanim trąba zejdzie na ziemię. - Szykujmy roto!

Teddi ogarnął blady strach, ale ignorując go, ściągnęła z głowy słuchawki, wyskoczyła z mikrobusu i podbiegła na skraj drogi, dając Griffowi znak, że chce z nim zamienić słowo. Matt stał przy pikapie, studiując rozłożoną na masce mapę. Corey, Ryan i Gerry stali przy nim; wszyscy razem planowali najlepszą strategię.

- Będą rotować - powiedziała, kiedy od Griffa dzieliło ją parę kroków.

- Tak jak za pierwszym razem?

- Tak. Słuchaj, zostań tu z Nate'em. Ja podwożę Bryce'a na miejsce zrzutu.

Żal ścisnął ją za gardło. Wreszcie zaczęło się dziać coś ekscytującego, a ona została zepchnięta do roli kierowcy.

- Teddi!

Obróciwszy się, ujrzała zbliżającego się Matta.

- No i co? Tym razem się uda? - spytała.

- Na pewno - odparł uradowany. - Chyba że Pandora się myli.

- Dotąd nigdy jej się to nie zdarzyło.

- To prawda. Ale przedtem mieliśmy negatywne odczyty. Ten wreszcie jest pozytywny.

- No widzisz?

Matt nie miał czasu dumać nad entuzjazmem, który wyraźnie pobrzmiwał w głosie Teddi, ale niewiele brakowało, żeby z wdzięczności porwał ją w ramiona i pocałował.

- Jedziemy jakieś sześć kilometrów tą drogą.

- W porządku. Jedziemy za wami. Bądź ostrożny.

- Ty też! - Matt wrócił biegiem do pikapu.

- Dobra, Teddi, zobaczymy się później - powiedział Griff, ale zanim zrobił krok, Teddi chwyciła go za ramię.

W ułamku sekundy podjęła decyzję. Za niecały tydzień ma wyjechać z Oklahomy. Nie wiedziała, czy nadarzy się druga okazja.

- Daj mi swój plecak!



- Co? - zdziwił się Griff.

- Plecak ze sprzętem. Zdejmuj! Szybko!

Czas uciekał. Nie mieli chwili do stracenia. Griff czym prędzej wykonał polecenie. Do mikrobusu podbiegł Bryce.

- Hej, Bryce, zmiana planów - poinformowała kamerzystę. - Ty zostaniesz tu z Nate'em, a ja pojedę z Griffem kręcić rotowców.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej. - Przerzuciła przez ramię plecak Griffa i chwyciła jego kamerę. - Dobra! Jedziemy!

Wsiadła do mikrobusu, Griff zajął miejsce za kierownicą.

- Teddi, nie możesz... - sprzeciwił się Bryce.

- Muszę wiedzieć. - Popatrzyła mu w oczy. Przyjrzał się jej uważnie.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie.

Cokolwiek dostrzegł w jej twarzy, musiało go przekonać, bo cofnął się i zatrzasnął drzwi.

- Dobra. Powodzenia, moja śliczna.

Kilkanaście metrów przed nimi Corey wskoczył do skrzyni pikapu i uchwycił się dachu szoferki, aby nie wypaść podczas jazdy. Prowadził Gerry Hampton, obok niego siedzieli stłoczeni Matt i Ryan Sawyer.

- Czy to rozsądne, Teddi? - spytał Griff, ruszając z piskiem opon. - A jeśli znów zastygniesz w bezruchu?

- Nie zastygnę.

- Na pewno chcesz ryzykować?

Spojrzała przed siebie. Przez tylną szybę kabiny zobaczyła głowę Matta. Nie, nie ma prawa ryzykować, narażać filmu na niepowodzenie, ale musi wiedzieć. Jeżeli zdoła utrzymać kamerę, jeżeli raz na zawsze pokona strach, a tym samym udowodni sobie i innym, że uwolniła się od swojej tragicznej przeszłości, wówczas będzie mogła budować z Mattem nowe życie.

- Nie martw się, Griff. Poradzę sobie - oznajmiła z determinacją, ale nagle przypomniało jej się, ile razy powtarzała te słowa przed pierwszym pościgiem. Czuła jednak, że teraz będzie inaczej. Przecież nie może sobie pozwolić na porażkę. Zbyt wiele ma do stracenia.

- W porządku. Ty jesteś szefową - rzekł Griff i skupił się na prowadzeniu.

Deszcz zaczął bębnić w szybę. Teddi domyśliła się, że minęli tę część chmur, gdzie w górze powstawało tornado. Znajdowali się teraz przed nim, może nieco na wschód od niego. Przed sobą mieli gęstą, czarną kurtynę deszczu, która zasłaniała miasteczko o nazwie Harvest. Według informacji na znaku drogowym miasteczko leży sześć kilometrów dalej. Jeżeli tornado istotnie ma dotknąć ziemi, Teddi wolałaby być wszędzie, tylko nie na terenie zabudowanym.

Przejeżdżali koło prowadzącej na wschód piaszczystej drogi, kiedy nagle coś w radiu zaskrzeczało i pikap z rotowcami zaczął zwalniać.

- Dobra, stajemy - oznajmił Matt przez krótkofalówkę. -W razie czego spieprzamy tym gościńcem.

- W porządku, rozumiem - rzekła Teddi.

Griff nacisnął na hamulec. Gerry tymczasem zawrócił pojazd, tak by stał nosem w kierunku, z którego przybyli.

- Poczekaj, aż wysiądę, a potem też zawróć - poleciała Griffowi Teddi. - Musimy być gotowi do ucieczki.

- Jasne, szefowo.

Mikrobus stanął. Teddi wyskoczyła z kamerą. Na ugiętych nogach, co trochę zmniejszało drzenie obrazu, ruszyła przed siebie, filmując poczynania rotowców.

Matt zajął miejsce w skrzyni, mimochodem rzucając okiem w stronę kamery. Był tak przyzwyczajony do tego, że wszędzie towarzyszy mu Bryce lub Griff, że niemal nie zwracał już na nich uwagi. Kiedy jednak spostrzegł, kto trzyma kamerą, stanął jak wryty.

- Teddi?

- Wytocz ten cholerny bęben i uciekajmy! - zawołała, nie przerywając nagrania.

Nie miał czasu pytać, dlaczego stoi za kamerą. Jeśli wierzyć Pandorze, zostało im zaledwie kilka minut.

Przystąpił do działania. Rotowcy pracowali jak dobrze naoliwiona maszyna, każdy ich ruch był sprawny, precyzyjny, wielokrotnie przećwiczony. W czasie gdy Ryan z Mattem odpinali klamry przytrzymujące stalowy bęben, Corey z Gerrym opuścili tylną klapę oraz przymocowaną do niej kładkę. Następnie wszyscy czterej zaczęli wytaczać po specjalnie zaprojektowanych szynach ważący około stu czterdziestu kilogramów walcowaty przyrząd.

Teddi ustawiła się za pikapem, aby mieć jak najlepsze ujęcie. Widok rzeczywiście był niesamowity: czterech facetów ostrożnie

wytaczających bęben, gwałtowny wiatr chłосzczący ich ubrania, a w tle błyskawice przesywające niebo oraz czarne, skłębione chmury.

Ponieważ Teddi jako jedyna była zwrócona twarzą w kierunku burzy, ona pierwsza dojrzała kurzawą czerwonego pyłu, która szybko zaczęła przybierać kształt cienkiego, wirującego leja. Trąba znajdowała się w odległości kilku kilometrów, ale - oglądana przez celownik - wyglądała piekielnie groźnie. Była potężna, przerażająca i pędziła prosto na nich.

Teddi czuła, jak zimny, dławiący strach przenikają do szpiku kości, jednak nie opuściła kamery.

- Matt, zeszło! Tornado zeszło! - wrzasnęła filmując mężczyzn przy bębnie na tle wirującego w oddali słupa powietrza.

Serce dudniło jej w piersi. Wiedziała, że ma na taśmie spektakularne ujęcia, lecz myślała tylko o jednym: że tornado znów chce ją dopaść. I że jeśli tym razem mu się uda, wówczas zginie zarówno ona, jak i Matt, a na to nie mogła pozwolić. Matt nie może umrzeć, dopóki się nie dowie, jak bardzo go kocha. Nie może, po prostu nie może! Los nie powinien być tak okrutny.

- Szybciej, Matt! Bo pędzi w naszą stronę!

Matt nawet się nie obejrzał. Skoro Teddi twierdzi, że tornado gna prosto na nich, widocznie tak jest; nie zamierzał poddawać w wątpliwość jej słów. Niestety, Corey nie wytrzymał, chciał zobaczyć na własne oczy. Stojąc na pochyłej kładce, odwrócił się...

Wszystko stało się tak szybko, że nikt nie umiał powiedzieć, jak do tego doszło. Może zawiniło podniecenie, może szok spowodowany widokiem zbliżającego się leja, a może ostry podmuch wiatru, który

poderwał z ziemi tumany pyłu. Tak czy owak, Corey stracił równowagę i poluzował uchwyt na roto. Bęben przechylił się gwałtownie na bok i zanim inni zdolali go złapać, zsunął się z szyn i zgniótł chłopakowi stopę.

Wyjąc z bólu, Corey uwolnił nogę i spadł na asfalt, uderzając głową w twardą nawierzchnię.

- Corey! - krzyknął Matt.

Bał się jednak puścić bęben, żeby ktoś inny nie ucierpiał. Próbowali we trzech asekurować toczący się po pochyłej kładce bęben, dopóki nie stanął na solidnym, płaskim gruncie. Pośpiesznie zepchnęli go z drogi na pobocze, a następnie otoczyli Coreya.

Griff wyskoczył z mikrobusu, kiedy podnosili chłopaka.

- Dajcie go do mnie! - zawołał.

Otworzył szeroko drzwi. Delikatnie ułożyli Coreya na tylnym siedzeniu. Przez cały czas Teddi wszystko kręciła. Była filmowcem z krwi i kości; nawet nie przyszło jej do głowy, żeby wyłączyć kamerę. Odsunęła się od pikapu, usiłując zmieścić w jednym kadrze roto, tornado oraz mężczyzn. W pewnym momencie, kiedy nieśli Coreya do mikrobusu, wyszli poza kadr, ale po chwili Matt wrócił biegiem. Obraz samotnego Matta, za którym wiruje ogromny słup powietrza, miał tak niezwykłą, siłę oddziaływania, że Teddi wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana.

- Teddi! Jedziemy! - krzyknął Matt, podnosząc z ziemi kładkę.

Głos Matta wyrwał Teddi z transu. Nie wyłączając kamery, rzuciła się pędem do pikapu. Matt chwycił ją mocno w pasie i niemal

wrzucił do skrzyni, potem sam wskoczył. Siedzący za kierownicą Gerry dał nogę na gaz.

Teddi uklękła i wsparłszy kamerę na ramieniu, filmowała widoczny z przodu, nieco na prawo od drogi, czarny słup. Wydawało się szczytem szaleństwa pędzić w kierunku tornada, zamiast uciekać w stronę przeciwną, ale piaszczysty gościniec stanowił ich najlepszą drogę ucieczki. Prowadził na wschód, podczas gdy tornado wędrowało na północ.

Pojazdem zarzuciło na zakręcie. Teddi przewróciłaby się, gdyby Matt, który klęczał za nią, w porę jej nie przytrzymał. Jedną rękę zacisnął na krawędzi skrzyni, drugą objął Teddi w pasie, żeby mogła dalej filmować. Ich uda się stykały, także jej plecy z jego klatką piersiową.

Przez chwilę tworzyli jedność, tornado zaś bawiło się w berka na polach, ganiało to w prawo, to w lewo, to odrywało się od ziemi, to znów na nią wracało. Kiedy zbliżyło się do ogromnej stodoły, Teddi szybko zrobiła najazd kamerą; wirujący słup wzniosł się, jednym skokiem pokonał przeszkodę i jak gdyby nigdy nic pognał dalej.

Nagle znów oderwał się od ziemi - wyglądało to tak, jakby wsysały go chmury - i po paru sekundach zniknął. Po prostu rozpłynął się w powietrzu.

Pikap zaczął zwalniać. Teddi, podniecona, ale i wyczerpana, zdjęła z ramienia kamerę. Klęczała oparta o Matta, rozkoszując się jego bliskością. Oboje ciężko dyszeli.

- Udało mi się - szepnęła, gdy wreszcie złapała oddech.

- Nie mam wątpliwości. - Matt przytulił ją mocniej. Czują, jak pod powiekami wzbierają jej łzy.

- Udało mi się - powtórzyła, nawet nie próbując ich powstrzymać.

RS

Tego wieczoru w izbie przyjęć panował tłok. Tuż przed Harvest tornado ponownie zeszło na ziemię, niszcząc kilka domów oraz punktów usługowych. Potem wzbiło się w górę i przeskoczyło nad Turner. Po raz trzeci dotknęło ziemi na terenie nie zabudowanym. Wczesne doniesienia mówiły o niewielkiej liczbie ofiar, ale do najbliższego szpitala w Norman wciąż nadciągali kolejni ludzie, którym trzeba było opatrzyć rany lub nastawić połamane kości.

Kiedy niebezpieczeństwo minęło, Teddi z Mattem przesiedli się do mikrobusu Griffa, żeby odwieźć Coreya do szpitala, rotowcy zaś udali się po Nate'a i Bryce'a, żeby z ich pomocą załadować bęben do skrzyni pikapu. Teddi spodziewała się ich lada moment, ale wiedziała, że niełatwo im będzie przedostać się do szpitala. Izba przyjęć była prawie pusta, kiedy zjawili się z Coreym, ale zapełniała się w błyskawicznym tempie.

Matta dręczył potworny niepokój. Podczas drogi Corey tylko raz, na chwilę, odzyskał przytomność. Spojrzenie miał mętne; prawdopodobnie doznał wstrząsu mózgu. Korzystając z leżącej w mikrobusie apteczki, Matt niezdarnie opatrzył mu paskudną ranę na głowie, ale nie wiadomo było, jakie jeszcze chłopak odniósł obrażenia. Gdyby cokolwiek stało się chrześniakowi, Matt nigdy by sobie tego nie wybaczył.



Zawiadomił o wypadku ośrodek i poprosił, żeby ktoś porozumiał się z Laurą. Wiedział, że Laura urządzi mu piekielną awanturę, ale za wypadek Coreya winił wyłącznie siebie.

- Napij się - powiedziała Teddi, podając mu styropianowy kubek.

Matt przesunął wzrok z jej twarzy na kubek z kawą.

- Nie masz przypadkiem odrobiny whisky? Potrząsnęła głową.

- Niestety nie.

- Trudno. - Wziął kubek i pociągnął łyk brunatnego płynu. -  
Lepsze to niż nic.

Teddi usiadła przy nim na małej kanapie. Jej bliskość działała na niego kojąco. Zamiast prowadzić bezcelową rozmowę tylko po to, by wypełnić ciszę, siedzieli w milczeniu i czekali na wiadomość od lekarza.

Matt przymknął powieki i zaczął się w duchu modlić. Po chwili, czując czyjś lekki dotyk, otworzył oczy. Teddi trzymała go za rękę niepewnie, nieśmiało, jakby nie wiedząc, czy on sobie tego życzy.

Tak, życzył sobie. Zacisnął rękę na jej dłoni.

- Matt?

Słyszając głos Laury, poczuł bolesny ucisk w piersi. Laura - blada, z twarzą mokrą od łez - szła pośpiesznie w jego stronę.

- Gdzie Corey?- spytała ostrym tonem.

Wyrzuty sumienia razem z jej oskarżycielskim spojrzeniem sprawiły, że miał ochotę zapaść się pod ziemię.

- Badają go - rzekł, podnosząc się z kanapy. - Nie mamy jeszcze żadnych wiadomości.

Laura ruszyła w kierunku, który wskazał.

- Nie, Lauro! - Chwycił ją za ramię. - Tam nie można wchodzić...

- Puść mnie. - Bezszykownie usiłowała się uwolnić.

- Lekarz wyjdzie do nas, jak tylko będzie coś wiadomo - oznajmił Matt.

Przestała się wyrywać.

- I co, jesteś zadowolony? - spytała, patrząc na niego z wściekłością. - Tego chciałeś? Bo jest tak samo jak poprzednim razem. Inny szpital, ale identyczna sytuacja...

Wiedział, o co jej chodzi.

- Lauro, Corey nie umrze.

- Joe umarł.

- Corey to nie Joe, zresztą nie każdy łowca tornad ginie.

Dlaczego nie możesz tego zrozumieć?

- Dlatego, że sama musiałam wychowywać syna Joe'ego!

- Nieprawda - sprzeciwił się Matt. - Nie byłaś samą Lauro.

Zawsze mogłaś na mnie liczyć. Kto czekał z tobą w szpitalu, kiedy Corey miał usuwane migdałki? Kto ci towarzyszył podczas rozmowy z dyrektorem, kiedy Corey narozrabiał w szkole? Kto Coreya nauczył grać w baseball? Kto mu kibicował na wszystkich meczach? Kto go uświadomił, gdy nadeszła pora?

- Potrząsnął Laurę za ramiona. - Ja, moja droga. Ja. Zawsze przy was byłem. I wciąż jestem.

Widział, jak wyraz jej twarzy się zmienia, jak gniew topnieje, a jego miejsce zajmuje rozpaczliwy strach o zdrowie syna. Laura

skinęła głową i tak mocno przygryzła wargę, że niemal ją rozkrwawiła. Po chwili przytuliła się do Matta.

Otoczył ją ramieniem; objęci, czekali na wieści o ich synu.

Kiedy Laura weszła do poczekalni, Teddi dyskretnie usunęła się na bok. Teraz zdumiona przyglądała im się z drugiego końca sali. Widocznie Laura bardziej potrzebowała przyjaciela niż kogoś, kogo mogłaby winić.

Patrzyła, jak siedzą na kanapie, pocieszając się, i starała się nie czuć odtrącona. Pod wieloma względami Laura z Mattem stanowili rodzinę i mimo ostatnich nieporozumień łączyła ich prawdziwa miłość. Teddi zastanawiała się, czy w jej rodzinie też by się wytworzyła tak głęboka więź, gdyby ojciec z matką i siostrą nie zginęli. Obserwując Matta z Laurą, była pewna, że tak.

Z całego serca pragnęła powiedzieć Mattowi, jak ogromnym darzy go uczuciem, ale powoli zaczęła się obawiać, że może nie starczyć na to czasu. Wiedziała bowiem, iż dopóki Matt się nie przekona, że Coreyowi nic nie grozi, nie będzie miał ochoty słuchać jakichkolwiek wyznań.

Uzbroiła się w cierpliwość. Kilka minut później odetchnęła z ulgą, bo drzwi poczekalni otworzyły się i do środka weszła pielęgniarka. Pchała wózek, na którym siedział Corey. Teddi skinęła do Matta, wskazując mu drzwi. Matt obejrzał się, po czym poderwał się na nogi. Laura również.

- Corey! - zawołała Laura, podbiegając do wózka.

Kucnąwszy przy nim, ostrożnie uściśnęła syna. Chłopak objął matkę i popatrzył z rozbawieniem na Matta.

- Już dobrze, mamó. Starczy - powiedział lekko speszony. - Nie róbmy widowiska.

Tymczasem dołączył do nich lekarz. Laura uśmiechnęła się poprzez łzy i wstała, żeby zamienić z nim słowo.

- Jak on się czuje, panie doktorze? - spytała.

- Nic mu nie będzie - odparł lekarz, wręczając Mattowi solidny skórzany but o stalowym nosie. - Gdyby nie to, pewnie miałyby zmiażdżoną stopę i czekałaby go poważna operacja. A tak ma parę siniaków i uszkodzone ścięgno, ale kości są w porządku.

Matt zacisnął rękę na bucie. Jeszcze nigdy się tak nie cieszył z wprowadzonych przez siebie przepisów bezpieczeństwa.

- A nie miał czasami wstrząsu mózgu? - zapytał.

- Nic na to nie wskazuje. Proszę go jednak uważnie obserwować. Niech leży spokojnie do rana. Gdyby zaczął wymiotować albo dostał zawrotów głowy, proszę go natychmiast przywieźć.

- Założyli mi sześć szwów - mruknął Corey. - I ogolili kawałek głowy.

- Nie martw się, synu, włosy odrosną - powiedział lekarz.

- Najważniejsze, żebyś przez tydzień nie stawał na chorej nodze.

Podał Laurze receptę, po czym wrócił pośpiesznie do zatłoczonej izby przyjęć. Laura popatrzyła na syna.

- Wystraszyłeś mnie, Corey.

- Nic mi nie jest, mamó.

- Obiecuj, że to się nie powtórzy. Chłopak wzruszył ramionami.

- Przykro mi. Nie mogę ci tego obiecać.

Niemожność dania obietnicy... Z czymś to się Mattowi skojarzyło. Zerknął na Teddi, która siedziała po drugiej stronie poczekalni.

- Niestety, Lauro, w życiu nie ma żadnych gwarancji - powiedział z żalem. - Może to niesprawiedliwe, ale tak już jest.

Wpatrywała się w niego intensywnie, jakby usiłowała wyczytać coś z jego twarzy. Po chwili wręczyła mu kluczyki, które ścisnęła w dłoni.

- Możesz nas odwiedzić do domu?

- Oczywiście.

Nic, no prawie nic, nie mogło mu sprawić większej przyjemności. Wziął od Laury kluczyki i pchając wózek, ruszyli razem do drzwi.

- Świetnie się dziś spisałaś - rzekł, przystając na moment przy Teddi. - Moje gratulacje.

- Dzięki.

- Do jutra.

Teddi skinęła głową i kryjąc rozczarowanie, patrzyła, jak Matt z rodziną opuszcza szpital.

Dochodziła północ, gdy wreszcie uznał, że skoro chłopak do tej pory nie zwymiotował ani nie miał zawrotów głowy, to może zostawić go z Laurą i wrócić do domu. W trakcie wieczoru zadzwonił do ośrodka i ku swej radości dowiedział się, że roto znalazło się na trasie tornada oraz że wszyscy członkowie zespołu dotarli z powrotem w jednym kawałku. Przy okazji poprosił, aby ktoś podstawił mu furgonetkę pod dom Cochranów.

Wracał do siebie wyczerpany fizycznie i psychicznie. Jeszcze nigdy w ciągu zaledwie jednego dnia nie przeżył takiego wachlarza emocji, od wielkiej radości po ogromny smutek.

Ale to jeszcze nie był koniec. Zajeżdżając pod dom, musiał mocno zahamować, żeby nie zderzyć się z czerwonym fordem Teddi.

Nie wiedział, jak sobie poradzi. Czuł się wypompowany; nie miał siły na kolejną konfrontację. Teddi była dziś wspaniała, przypominała dawną siebie - kobietę, którą zatrudnił do nakręcenia filmu, kobietę, w której się zakochał.

Przeszła zwycięsko największą próbę w swoim życiu, czego więc może chcieć od niego?

Zaparkował w garażu i rozejrzał się, ale nigdzie Teddi nie dostrzegł. Nie było jej w fordzie, nie czekała na werandzie przed domem, dom zaś był zamknięty na klucz. Nasuwał się jeden wniosek: albo niczym wytrawny włamywacz potrafi otwierać zamki, albo siedzi na werandzie od strony ogrodu.

Ruszył wokół domu, starając się zapomnieć o tym, co się zdarzyło wczoraj wieczorem. Burza minęła, na niebie świecił księżyc, migotały dziesiątki gwiazd, toteż bez trudu dojrzał Teddi. Siedziała na poręczy balustrady, ubrana w białą suknię z miękkiego, lejącego się materiału. W blasku księżycy wyglądała jak srebrzysta zjawka.

Jęknął cicho i zacisnął pięści. Bał się tej rozmowy, nie chciał przeżyć kolejnego rozczarowania. Szedł po schodach niczym skazaniec wchodzący na szafot.

Teddi zsunęła się z poręczy.

- Jak Corey? - spytała po chwili, kiedy Matt stanął obok bez słowa.

- Dobrze. Środek przeciwbólowy podziałał na niego usypiająco.

- A Laura?

- Też dobrze - odparł znużony. - Słuchaj, Teddi, to był długi dzień. Padam na nos...

Nie dała się zbyć.

- Czy mógłbyś wytrzymać jeszcze parę minut? - poprosiła. - Mam ci coś ważnego do przekazania.

- Co?

- To.

Z kieszeni na biodrach wyciągnęła kartkę papieru, którą mu podała.

W ciemności nic nie widział, podszedł więc do ściany i zapalił światło. Na werandzie od razu zrobiło się jasno. Matt spojrzął na kartkę i zmarszczył czoło. Trzymał w ręku jakiś certyfikat, napisany na komputerze i wydrukowany ozdobną, czcionką, był jednak zbyt zmęczony, aby skupić się na tekście.

- Co to?

- Gwarancja.

Matt skrzywił się. Nie był w nastroju do żartów.

- Jaka gwarancja?

Teddi przez chwilę patrzyła mu w oczy, wreszcie rzekła:

- Że jestem gotowa spędzić resztę życia, przekonując cię o mojej miłości.

Tego już za wiele.

- Słuchaj, Teddi, wykonałaś dziś kawał porządnej roboty. Spisałaś się bardzo dzielnie. Nic dziwnego, że czujesz się na siłach stawić czoło światu i poradzić sobie z wszelkimi przeciwnościami losu. - Wyciągnął kartkę w jej stronę. - Ale to nie jest śmieszne.

- I dobrze, bo wcale nie ma być śmieszne. - Podeszła bliżej, nie zwracając uwagi na certyfikat. - To jest pewnego rodzaju zobowiązanie, Matt. Przyrzeczenie. Wyznanie miłości. Kocham cię.

Już stracił rachubę, ile bezsennych nocy przewracał się z boku na bok, marząc o tym, żeby usłyszeć takie słowa. Teraz jednak, gdy je słyszał, nie mógł w nie uwierzyć. Po prostu nie śmiał uwierzyć.

- Teddi, nie rób tego - powiedział błagalnym tonem, upuszczając kartkę na podłogę. - Proszę cię, nie rób tego. Dzisiejsza pogon za tornadem...

- To nie ma nic wspólnego z pogonią, Matt - oznajmiła łagodnie, cierpliwie, wiedząc, jak trudno będzie go przekonać o tym, że mówi prawdę. - Wybrałam się rano do Dry Creek, bo wczorajszy wieczór uzmysłowił mi, że muszę dojść do ładu ze swoją przeszłością, żebym mogła dzielić z tobą przyszłość. - Zaciśnęła obie ręce na jego dłoni i przyłożyła ją sobie do serca. - Udało mi się, Matt. Znalazłam to, czego szukałam. Chciałam natychmiast ci o tym powiedzieć. Gdyby nie burza, wyznałabym ci wszystko od razu po przyjeździe z Dry Creek. Kocham cię, Matt.

Wyczuwał ręką bicie jej serca, równomierne, rytmiczne niczym tykanie zegara. Pamiętał, jak pięknie wyglądała dzisiejszego popołudnia. Jak dawna Teddi, ta dzielna, pewna siebie istota, w której oczach nie czaił się strach. Po chwili uświadomił sobie, że nadal tak



wygląda. Przez całe popołudnie patrzyła na niego z miłością, lecz on nie potrafił dostrzec i zaakceptować jej uczucia. Wciąż nie był pewien, czy zdoła.

- Teddi, jeśli ci się wydaje, że dzisiejsza pogoda robi różnicę...

- Oczywiście, że tak - przerwała mu. - Świadczy o tym, że przestałam się bać tornad, a to znaczy, że mogę z nimi żyć.

Matt jęknął w duchu. Tak strasznie pragnął jej wierzyć.

- Tak mówisz dzisiaj, ale co będzie później? Czy siedząc w domu i martwiąc się o mnie, wciąż będziesz umiała zaakceptować moją pracę?

Teddi uniosła pytająco brwi.

- A ty moja?

- Co?

- Chyba nie oczekujesz, że z niej zrezygnuję?

- Jasne, że nie. Stanowi nieodłączną część ciebie.

- Więc czy będziesz nerwowo przemierzał pokój, gdy ja będę się przedzierać przez dżunglę w Peru?

Oczami wyobraźni ujrzał Teddi w stroju safari, która idzie z maczetą przez gęsty, tropikalny las, wyrabując sobie ścieżkę.

Uśmiechnął się na myśl o dzielnej globtroterce i zapomniał o dręczących go wątpliwościach.

- Masz rację - powiedział. - Albo będę nerwowo przemierzał pokój, albo będę z tobą podróżował.

Widząc w jego oczach ciepło i serdeczność, poczuła jak do jej własnych napływają łzy.

- To by było cudowne - rzekła. - Tworzylibyśmy zgrany zespół...  
Matt, chcę wyjść za ciebie za mąż.

Wiedział, że Teddi nie żartuje. Naprawdę teraz tego chciała. Ale czy jutro, pojutrze, popojutrze też będzie chciała?

- Czy to kolejne wyzwanie?

- Ależ tak! - zawołała. - Największe, jakie tylko może być. Nie wiesz, że małżeństwo zawsze jest wyzwaniem?

Ból i cierpienie, jakie trapiły go od kilku tygodni, toczyły pojedynek z miłością. I podczas gdy instynkt samozachowawczy mówił mu, żeby nie wierzyć słowom Teddi, serce mówiło mu coś całkiem innego.

Ponieważ jednak instynkt milczał, a serce biło mocno, kiedy wiosną patrzył na szybującą w powietrzu Teddi, Matt wiedział, czym powinien się kierować.

- Psiakość, Teddi, jeśli się rozmyślisz, to...

Puściła jego rękę i podniosła z podłogi certyfikat.

- Trzymaj. Jest podpisany. Jutro mogę pójść z tym do notariusza. Mogę wynająć samolot, żeby wypisał „Kocham Matta” na niebie. Mogę nawet dać ogłoszenie do „Timesa”. Mogę...

- Przestań gadać i pocałuj mnie.

Wziął ją w ramiona i uciszył w najbardziej skuteczny sposób, jaki znał.

Kiedy wreszcie ją puścił, nie miał cienia wątpliwości. Ona mówi prawdę. Kocha go i potrafi go w pełni zaakceptować. Niesłusznie porównywał ją z Laurą. Teddi jest wyjątkową i niepowtarzalną kobietą. Piękną, odważną i impulsywną. I należy do niego.